tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 6 (1257)
5-11.02.2024
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

JAN KLATA
KIEDYŚ IDEALIŚCI, DZIŚ ŁAJDACY

MAŁGORZATA ŻUBER-ZIELICZ
PRACA DOMOWA, CZYLI CO?

DR HAB. JAROSŁAW JÓŹWIAK
CORAZ CZĘSTSZE ADHD

BANDERA JAK „ŻOŁNIERZ WYKLĘTY"?

CO ROBIŁO CBA

Weronika Marczuk O MAFIJNYM UKŁADZIE PiS

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
06 >
9 771509 311409

eprasa.pl bf0249a9d2

CSK | CENTRUM SPOTKANIA KULTUR W LUBLINIE

13–18 LUT 2024

MIĘDZYNARODOWY
KONKURS WOKALNY
IM. ANTONINY CAMPI Z MIKLASZEWICZÓW
2024

Antonina Campi

OPERA MASTERCLASS

Marcin Kozieł | Adam Zdunikowski | Ewa Vesin
Olga Tsymbaluk | Mischa Kozłowski

KONCERT FINAŁOWY 18 LUT (NIE) | 17:00
Sala Koncertowa Filharmonii Lubelskiej

STOWARZYSZENIE IM. RICHARDA STRAUSSA

bezpłatne wejściówki:
kasa CSK
plac Teatralny 1

więcej na:
antonina.campi.spotkaniakultur.com

partner wydarzenia | mecenas CSK | partnerzy CSK | patroni medialni

eprasa.pl bf0249a9d2

Jerzy Domański

Uczcie się od kur

Zanim przeczytacie ten komentarz, straci posadę kolejny nominat PiS. Jeden z wielu tysięcy powsadzanych na stanowiska wedle jednego kryterium. Był, albo przebiegle udawał, że jest, propolskim patriotą kochającym naród. Wiem, że ten zlepek słów nie ma większego sensu, ale przecież tak o sobie mówili. Odmawiając wszystkim pozostałym patriotyzmu. A tym samym pracy tam, gdzie decyzje podejmują rządzący. Odkręcenie tego, co było robione przez osiem lat, musi więc potrwać. I to nie kilka tygodni czy miesięcy, ale przynajmniej rok. Ten proces to nie koszenie trawnika. Każdemu należy się uczciwa i sprawiedliwa ocena. Fachowiec kompetentnie wykonujący swoje zadania, nawet jeśli był koniunkturalistą i kunktatorem, nie może być potraktowany jak Kamiński i Wąsik. Ci dwaj powinni siedzieć. I tak myśli większość Polaków, którzy nie dali się nabrać na szopkę z przestępcami występującymi w roli ofiar.

Ich obrońcy uważają, że za walkę z komuną powinni mieć dożywotni immunitet, władzę i tyle kasy, ile potrzebują. Nie doczekają się tego.

Do PiS powolutku dociera, że nadużywanie władzy i budowanie fortun było za ich rządów procederem masowym. I kara musi być. Wyborcy, którzy głosowali na rządzącą teraz koalicję, czekają na głębokie rozliczenia. Muszą widzieć, że nowa władza codziennie czyści kawałek zapaskudzonej Polski. Wybaczą różne wpadki, ale odpuszczenia tego – nie. Trwające audyty w ministerstwach i agencjach pokażą, jak wielkie było rozpasanie, rozkradanie i marnotrawstwo.

Wpuszczanie tam świeżego powietrza i kompetentnych ludzi będzie budowało poparcie dla koalicji. Ale masowy powrót tych, którzy byli w spółkach skarbu państwa za poprzednich rządów PO-PSL, byłby katastrofą.

Jęczenie beneficjentów starej władzy, że za szybko, że za głęboko, jest tylko potwierdzeniem celności decyzji. A to, że tak bezpardonowo atakowany jest minister Bodnar, taktuję jako dobry początek sanacji sądownictwa i prokuratury. Pierwsze ważne kroki ministra wyróżniającego się kompetencją. Takich jak Bodnar jest w rządzie jeszcze tylko kilkoro. A reszta? Pewnie coś robią. I może jest to coś sensownego. Tylko kto o tym wie?

Polityka informacyjna rządu jest marna, wybiórcza i zwykle dotyczy tego, co już było. A gdzie wyprzedzanie wydarzeń? Gdzie pokazywanie skali wielorakich działań? Sam premier Tusk nie wystarczy.

Pocieszanie się, że PiS jest na tym polu jeszcze słabsze, do niczego nie prowadzi. Czasy mamy takie, że nie wystarczy robić rzeczy sensowne. Trzeba też umieć o tym interesująco mówić. Tak, by dotrzeć do zwykłych ludzi. Tych zagonionych, z wieloma własnymi problemami. Kura, jak zniesie jajko, to gdacze. Na początek – uczcie się od kur.

BĄKOWSKI

eprasa.pl bf0249a9d2

W NUMERZE

KRAJ

8 **Wrabianie w korupcję**
Brudne metody CBA

10 **Co robiło CBA**
– rozmowa z Weroniką Marczuk

13 **Po drobne się nie schylali**
Interesy Agencji Badań Medycznych

16 **Krótka historia niezawartej koalicji**
Tusk nie chce iść z lewicą

20 **Plagiatorka konserwatorką**
Kontrowersyjna nominacja

OPINIE

22 **Małgorzata Żuber-Zielicz**
Zejdźmy na ziemię

26 **Jakub Dymek**
Czy Biden musi odejść?

ZAGRANICA

28 **Planeta ludzi**
Siła paszportu

32 **Z Erdoğanem trzeba się liczyć**
Biznes kontra praworządność

34 **Spór wagi najwyższej**
Czy odchudzanie lekami jest etyczne

TECHNOLOGIE

38 **Koniec elektrobumu**
Auta elektryczne nie takie ekologiczne

HISTORIA

40 **Bandera jak „żołnierz wyklęty"?**
Relatywizm w ocenach UPA

44 **150. rocznica urodzin Wincentego Witosa**

KULTURA

46 **Zgniły nam sumienia**
– rozmowa z Janem Klatą

52 **Święto marionetek**
Tadeusz Makowski i dzieci z dreszczykiem

55 **Qulturalia**

66 **Kinga Flasza**
Najlepiej widzę, kiedy zamknę oczy

PSYCHOLOGIA

56 **Coś więcej niż brak skupienia**
– rozmowa
z dr. hab. Jarosławem Jóźwiakiem

OBSERWACJE

59 **Największy urlop świata**
Gigant w dziewiczym rejsie

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Uczcie się od kur

19 **Jan Widacki**
Kilka wskazówek dla prawnika,
który wciąż się uczy

31 **Andrzej Romanowski**
Wara od naszych!

37 **Roman Kurkiewicz**
A może zmienić coś naprawdę?

43 **Tomasz Jastrun**
Ciężkie czasy

51 **Wojciech Kuczok**
Zdrowo pod górkę

46
KULTURA

ZGNIŁY NAM SUMIENIA
– rozmowa
z Janem Klatą

56
PSYCHOLOGIA

COŚ WIĘCEJ NIŻ BRAK SKUPIENIA
– rozmowa z dr. hab. Jarosławem Jóźwiakiem

59
OBSERWACJE

NAJWIĘKSZY URLOP ŚWIATA
Gigant w dziewiczym rejsie

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl bf0249a9d2

O zmianach w edukacji

PYTANIE TYGODNIA
Czy brak prac domowych obniży poziom wiedzy uczniów?

Proponuję pilotowanie tematu pytania tygodnia: „Czy brak prac domowych obniży poziom wiedzy uczniów?”, żeby nie zepsuć kolejnej reformy edukacji. Nie znam się zbytnio na tym, a takich jak ja jest pewnie więcej, ale niepokoją mnie niektóre zapowiedzi, np. likwidacja kuratoriów. Kto w takim razie zapewni jednolitość programu nauczania? Religia – po co usuwać ją administracyjnie? Wystarczy likwidować lekcje religii, gdy nie chce na nie uczęszczać ponad połowa uczniów danej klasy, i po paru latach problem sam zniknie. Prace domowe – owszem, ale czy na pewno uczeń wkuje słówka angielskie, wzory chemiczne, fizyczne itp. na lekcjach? Może więc nie likwidować obligatoryjnie prac domowych choćby z polskiego, historii, ale także nie nakazywać ich, lecz motywować uczniów poprzez konkursy, np. na temat historii regionu, zabytków itp. I rzeczywiście nie stawiać za te prace stopni, lecz dowartościowywać uczniów w inny sposób. Niestety, zapowiadana reforma wydaje mi się powrotem do Polski B. Dzieciom z rodzin lepiej sytuowanych rodzice zapewnią zajęcia, które wzbogacą ich wiedzę szkolną. Być może też różne stowarzyszenia przyjdą dzieciom z pomocą. Ale dla uczniów ze wsi i małych miasteczek jest to początek drogi wykluczenia społecznego. Dziwne, że firmuje to polityczka lewicy.

Jan Machynia

Buntownicy Ziobry

Chciałbym zwrócić uwagę na niewłaściwe stwierdzenie, że Prawo i Sprawiedliwość upolityczniło prokuraturę (PRZEGLĄD nr 4). Otóż każde zjawisko w skali makro jest zjawiskiem politycznym. Prokuratura, będąc organem państwa, jest więc polityczna z natury i nie może być apolityczna, tak jak ochrona zdrowia nie może być amedyczna, a edukacja apedagogiczna. To, co PiS zrobiło z prokuraturą, to jej upartyjnienie i takiego określenia należałoby używać.

Janusz Wrzecion, Warszawa

Czy Czesi mają kompleks Polaków?

Czy Czesi mają kompleks Polaków?

Wiele osób oskarża Czechów o brak woli walki w obliczu zagrożenia ze strony hitlerowskich Niemiec. Czechosłowacja w 1938 r. miała nowoczesne uzbrojenie, w dziedzinie broni strzeleckiej i pancernej najlepsze w Europie, adekwatnie do obszaru i potencjału demograficznego. Problem był w tym, że armia czechosłowacka w połowie składała się z Czechów i Słowaków, a w połowie z Węgrów i Niemców. Wśród kadry oficerskiej Czesi i Słowacy stanowili mniejszość, a pamiętajmy, że ci drudzy ciążyli ku Niemcom. Jak zatem mógłby wyglądać realny opór? Wygrał pragmatyzm.

Dariusz Gutowski

•

Czego Czesi mają zazdrościć Polakom? Chyba tylko dostępu do morza. Ja Czechom zazdroszczę Jana Husa, Jana Žižki, Franza Kafki, Jaroslava Haška, „Pociągów pod specjalnym nadzorem”, zespołu Master’s Hammer i tego, że w 1620 r. w bitwie na Białej Górze wyginęła czeska szlachta.

Olaf Nowaczyk

ZDJĘCIE TYGODNIA

Polski Herkules. Prof. Henryk Skarżyński, wybitny specjalista otochirurgii, otolaryngologii, audiologii i foniatrii dzieci i dorosłych, za zasługi w promowaniu i realizacji innowacyjnych metod diagnostyki i leczenia wad słuchu otrzymał tytuł Herkulesa. Przyznaje go Stowarzyszenie Dziennikarzy dla Zdrowia w konkursie „Dziennikarz Medyczny Roku”, organizowanym już od 16 lat. 27 stycznia 2024 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl bf0249a9d2

PKB Polski w 2023 r. wzrósł o 0,2%. To najsłabszy wynik w XXI w. (GUS).

•

Prezydent Duda podpisał ustawę budżetową na rok 2024. I jednocześnie skierował ją do Trybunału Konstytucyjnego, bo… w pracach Sejmu nie brali udziału Kamiński i Wąsik. Dla Dudy obaj ciągle są posłami. Zapowiedział też, że będzie wetował ustawy, dopóki oni nie wrócą do parlamentu. Czyli głupio, głupio, coraz głupiej.

•

W sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" **50,4% badanych opowiada się za uchwaleniem ustawy dopuszczającej aborcję do 12. tygodnia życia płodu**. Za pozostawieniem obowiązujących obecnie przepisów było 20,8% ankietowanych.

•

Odwołanie Daniela Obajtka ze stanowiska prezesa Orlenu to dopiero początek jego problemów. Do firmy wejdą kontrole i prokuratorzy, którzy ocenią skutki decyzji byłego prezesa. I polityczne serwituty wobec PiS.

•

Prof. Henryk Skarżyński otrzymał od Stowarzyszenia Dziennikarzy dla Zdrowia **tytuł Herkulesa** za zasługi w promowaniu i realizowaniu w praktyce innowacyjnych metod diagnostyki oraz leczenia wad słuchu u pacjentów w Polsce i na świecie.

•

Piotr Patkowski został odwołany ze stanowiska prezesa Polskiej Agencji Nadzoru Audytowego. Minister finansów Andrzej Domański uznał, że nie posiada on „kompetencji do pełnienia tak ważnej dla polskiej gospodarki funkcji". Patkowski ma kłopot ze zrozumieniem tej decyzji.

•

Rafał Skąpski otrzymał za publikację trzech tomów wspomnień jego babci Zofii Skąpskiej „Dziwne jest serce kobiece" **Nagrodę im. ks. prof. Bolesława Kumora** w kategorii Książka Roku o tematyce sądeckiej. Nagrodą finansową podzielił się z WOŚP.

•

Największe budżety na rok 2024 mają: Warszawa – 24,52 mld zł, Kraków – 8,11 mld zł, Wrocław – 6,78 mld zł, Łódź – 5,81 mld zł, Poznań – 5,41 mld zł i Gdańsk – 4,65 mld zł.

•

40 tys. lekarzy to emeryci. Prawie 2 tys. ma przeszło 80 lat, ale ciągle pracują **(„Polityka")**.

•

Nie żyje Andrzej Szajna, wybitny gimnastyk, 34-krotny mistrz Polski, mistrz świata w ćwiczeniach wolnych (1975), wielokrotny medalista mistrzostw Europy.

•

Od otwarcia w 2010 r. Centrum Nauki Kopernik odwiedziło 13 mln osób.

•

Najmniej wody, czyli 214 litrów, potrzeba na wyprodukowanie kilograma pomidorów. Na wyprodukowanie litra mleka zużywa się 1000 litrów wody.

•

Najpopularniejszymi imionami nadawanymi dzieciom w 2023 r. były **Zofia, Zuzanna i Laura** oraz **Nikodem, Antoni i Jan.**

•

Lista ofiar Janusza Palikota rośnie. Kolejne przedsiębiorstwa alkoholowe bankrutują. Inwestorzy tracą pieniądze, a pracownicy od miesięcy czekają na wypłaty. I na szybkie, skuteczne działania prokuratury.

PRZEBŁYSKI

Dawid Wildstein, czyli zarabianie na Trójce

Jakoś nas ta wiadomość nie zdziwiła. Dawid Wildstein, 40-letni synalek Bronisława, jako wicedyrektor radiowej Trójki zarabiał miesięcznie 31 tys. zł. I tak od maja 2022 r. do grudnia 2023 r.

Nie było to jedyne źródełko dojnej zmiany, z którego Wildstein obficie czerpał. Junior doprowadził Trójkę do takiej katastrofy, że nawet Radio Maryja miało więcej słuchaczy. A Dawid Wildstein? Choć nawet jak na PiS wyjątkowy bufon i grafoman, liczyć kasę jednak umie.

Pomocna dłoń biskupa

Czy ksiądz oskarżony o pedofilię może zamiast do celi trafić na fotel dyrektora? Może, ale musi mieć ważnego krewnego. Ks. Mateusz N. był proboszczem parafii Błogosławionej Jolanty w Kostrzynie pod Poznaniem. Jak na kościelne standardy młodym, bo 33-letnim. Ale gdy się ma w diecezji wujka biskupa, to i cuda się zdarzają.

Byłoby więc pięknie, gdyby nie skłonność księdza do czynności seksualnych wobec osoby małoletniej poniżej 15. roku życia. Ks. Mateusz stracił posadę. Ale ma nową, dyrektora Domu Księży Emerytów w Poznaniu. Biskup pomocniczy poznański Grzegorz Balcerek wyciągnął do krewniaka pomocną dłoń.

Kolejna tablica

Czytelniczka przysłała nam informację o tablicy ku czci Andrzeja Dudy. Pikanterii całej sprawie dodawał fakt, że prezydent sam ją na MTP odsłonił w „niezwykłym" towarzystwie Karczewskiego i Kuchcińskiego. Takiego lizusostwa nikt się po MTP nie spodziewał.

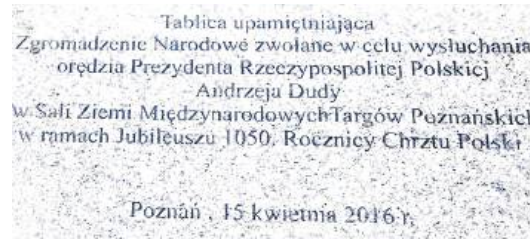

Tablica jest ohydna wizualnie. W Poznaniu wzbudziła ogromne kontrowersje, pomijając już to, że słów jubileusz i rocznica zgodnie z polską ortografią nie piszemy wielką literą.

Wykupili sobie laurkę

Tak szybko odchodzą pupile dojnej zmiany, że nie ręczymy za aktualność składu zarządu Polskiej Fundacji Narodowej. Ani nawet za to, że ta fundacja jeszcze jest. Kierownictwo PFN czuje chyba nadchodzący koniec, bo w połowie stycznia prezes Marcin Zarzecki oraz członkowie zarządu Michał Góras i Cezary Andrzej Jurkiewicz wykupili w „Sieci" (tygodnik braci Karnowskich) całe cztery strony, by pokazać, czego to oni nie dokonali. Wspierali, sponsorowali, upowszechniali, promowali i tak jeszcze ze 20 czasowników podkreślających zasługi fundacji. Aż strach pomyśleć, gdzie bez nich byłaby nasza kinematografia. Żal będzie żegnać ludzi tak skromnych. I tak oddanych partii prezesa K.

Polska Fundacja Narodowa wspiera rozwój polskiej kinematografii jako koproducent, sponsor i dystrybutor produkcji filmowych

FOT. YOUTUBE, ARCHIWUM (2)

eprasa.pl bf0249a9d2

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego tak wielu lewicowców popiera PiS?

PIOTR CISZEWSKI,
przewodniczący Stowarzyszenia Historia Czerwona

Przede wszystkim z lewicy do PiS odpłynęła duża część elektoratu socjalnego z mniejszych i średnich miast. Stało się tak, po pierwsze, dlatego, że PiS obiecało programy socjalne; ogromne znaczenie miało 500+, bo pokazało, że w ogóle da się robić jakieś programy socjalne i znajdą się na to pieniądze. Po drugie, zadziałało podwyższenie płacy minimalnej, ograniczenie zatrudnienia na umowach śmieciowych i zauważenie wielu innych problemów społecznych, chociażby wykluczenia transportowego. Oczywiście PiS nie rozwiązało tych problemów, ale jako główna siła polityczna je zauważyło. Właśnie dlatego ludzie w dużej mierze poparli jego rządy.

RAFAŁ WOŚ,
zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność"

Odwróciłbym to pytanie i zastanowił się, dlaczego tak wielu ludzi, którzy uważają się za lewicowców, nie popiera PiS albo nie traktuje go z pewną życzliwością. Dziwi mnie to z prostego powodu – żadna siła polityczna nie zrobiła po 1989 r. dla lewicowej sprawy tyle co PiS w latach 2015-2023. Mam na myśli przede wszystkim zmianę w myśleniu o gospodarce i pracownikach. Zrozumiano, że rozwój gospodarczy jest dla człowieka, a nie człowiek dla rozwoju gospodarczego. Do tego walka z nierównościami za pomocą takich programów jak 500+ czy podwyżka płacy minimalnej. Ta niechęć osób określających się jako lewicowcy może więc wynikać z tego, że mają tę lewicowość bardzo płytką i nieprzemyślaną, ograniczoną do kwestii ideologicznych. Podczas gdy realne spojrzenie na to, co się wydarzyło w społeczeństwie w latach 2015-2023, powinno zwrócić uwagę osób o lewicowej wrażliwości.

PAULINA MATYSIAK,
posłanka na Sejm X kadencji, Razem

Po liberalnych rządach Platformy Obywatelskiej, których symbolem były umowy śmieciowe, wysokie bezrobocie i fatalne warunki pracy, PiS zrobiło mały krok w stronę państwa opiekuńczego. Wprowadziło 500+, regularnie podnosiło płacę minimalną, w tym minimalną stawkę godzinową. Dopóki lewica nie będzie silnym partnerem w koalicyjnym rządzie, istnieje obawa, że wrócimy do liberalnej, antypracowniczej polityki gospodarczej i społecznej.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl bf0249a9d2

Wrabianie w korupcję

Jak Centralne Biuro Antykorupcyjne chciało pogrążyć prawniczkę Weronikę Marczuk i prezesa Wydawnictw Naukowo-Technicznych Bogusława Seredyńskiego

Andrzej Sikorski

To była jedna z najgłośniejszych akcji CBA pod wodzą Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Być może nigdy by do niej nie doszło, gdyby agent Tomek (Tomasz Kaczmarek) nie rozpracowywał wcześniej byłej pary prezydenckiej – Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich, którzy rzekomo ukrywali majątek.

Kontakt referencyjny

W czasie tej operacji Kaczmarek zaprzyjaźnił się z Janem – synem administratorki i byłej właścicielki posiadłości w Kazimierzu. Jan był związany ze znienawidzoną przez Prawo i Sprawiedliwość telewizją TVN i tak pojawił się pomysł, by poznać jeszcze kogoś z tego środowiska. Padło na Weronikę Marczuk, prawniczkę i producentkę, która była wtedy jurorką popularnego programu „You Can Dance" i gwiazdą TVN. Marczuk znała Kwaśniewskich, przyjaźniła się z synową byłego premiera Leszka Millera, która również pochodzi z Ukrainy. Początkowo miała być tzw. kontaktem referencyjnym, czyli pośrednikiem, dzięki któremu agent Tomek mógł wniknąć w rozpracowywane środowisko.

Marczuk poznała Kaczmarka w jednej z krakowskich restauracji. Ten, udając biznesmena, przysiadł się z kolegą i butelką wina do stolika, przy którym producentka siedziała z członkami ekipy TVN. W swojej książce „Chcę być jak Agent" Marczuk opisywała to następująco: „Nikt z nas nie był zachwycony przyjęciem od nieznanych mężczyzn butelki wina wraz ze wspólną, rzecz jasna, degustacją. Podziękowaliśmy, ale to nie wystarczyło. Panowie się przysiedli. Tomek od razu uderzył w wysokie tony. Mówił o Ukrainie, współpracy, partnerstwie w biznesie… Nie chcąc obcesowego traktowania trochę jednak nachalnych panów, podjęłam rozmowę. Zostawił wizytówkę. Nie zostawił wrażenia. Po tygodniu zadzwonił, by się umówić. Tym razem zaprezentował się już znacznie lepiej. Szczery, uważny, rzeczowy. Wiele razy po tym spotkaniu i po kilku innych z nim odbytych zastanawiałam się, co powoduje, że człowiek z jego pozycją tak ostentacyjnie obnosił się z pieniędzmi. Bo w swoich opowieściach Tomek nie szczędził detali i kwot. Próbował umacniać swoją biznesową wartość w moich oczach".

> Po wyjściu z restauracji Marczuk została zatrzymana przez CBA i trafiła do policyjnej izby zatrzymań, którą opuściła po kilku dniach po wpłaceniu kaucji.

Zarzucanie sieci

Kaczmarek chciał uwieść Weronikę Marczuk (podobnie jak wcześniej posłankę PO Beatę Sawicką), ale gdy okazała się nieczuła na jego zaloty, zaczął odgrywać rolę przyjaciela. A ponieważ kreował się na bogatego biznesmena, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych, w pewnym momencie zaproponował prawniczce, aby ta reprezentowała jego rzekomą firmę Estate Management (fikcyjnie założoną na potrzeby prowokacji), poprzez którą chciał kupić Wydawnictwa Naukowo-Techniczne.

Pomysł z wrobieniem w korupcję Weroniki Marczuk i prezesa WNT Bogusława Seredyńskiego był absurdalny, ponieważ całą procedurę nadzorowało Ministerstwo Skarbu – organizowany był przetarg w formie aukcji publicznej i nie było możliwości, aby ktoś wziął łapówkę za jego ustawienie. Nie było też żadnych przesłanek, by ktokolwiek, kto pracował przy organizacji przetargu, chciał coś załatwić niezgodnie z prawem. Nie wspominali o tym ani Marczuk i Seredyński, ani nikt inny.

Nie mając żadnych nawet poszlak, że może dojść do popełnienia przestępstwa przy prywatyzacji WNT, agent Tomek razem z kompanem poszli na całość. Najpierw próbowali wcisnąć Seredyńskiemu łapówkę. Mówili, że „znają polską rzeczywistość", że „jak się nie posmaruje, to się nie pojedzie", że „mogą dać, komu trzeba". Seredyński odmówił. Tłumaczył, że WNT mają zostać sprzedane w jawnym przetargu Ministerstwa Skarbu i że wygra ten, kto da najlepszą cenę. Agenci naciskali i prosili o wskazanie osoby, której trzeba dać łapówkę. Prezes WNT odpowiadał, że to bez sensu.

Takich spotkań odbyło się kilkanaście. Agenci zmienili więc podejście. Zaprzyjaźnili się z Seredyńskim. Zabrali prezesa WNT i jego partnerkę na wycieczkę na Dolny Śląsk. Zaprosili nawet na fikcyjny ślub jednego z nich. Na spotkaniach coraz częściej pojawiał się alkohol. W takiej luźnej atmosferze Seredyński zaczął się zwierzać z kłopotów

eprasa.pl bf0249a9d2

Za sprawę Weroniki Marczuk i Bogusława Seredyńskiego Mariusz Kamiński i Tomasz Kaczmarek nigdy nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności. Kamińskiego uchronił immunitet, a postępowanie przeciw Kaczmarkowi umorzyła prokuratura po przejęciu władzy przez PiS.

finansowych. „Biznesmeni" zaproponowali mu „przyjacielską pożyczkę", ale odmówił.

Podczas jednego ze spotkań towarzyskich, które odbyło się w mieszkaniu Seredyńskiego, agenci upili go do nieprzytomności (mówili m.in.: „Nie leć w ch… i bierz kasę"), a potem wcisnęli mu 10 tys. euro zawinięte w kartkę papieru. Gdy prezes WNT wytrzeźwiał i chciał zwrócić pieniądze, usłyszał, że jest to przyjacielska pożyczka. Seredyński uległ, ale powiedział, że musi podpisać umowę i zgłosić pożyczkę w urzędzie skarbowym. Nie zdążył, bo został zatrzymany przez CBA.

Podobnie agent Tomek postąpił z Weroniką Marczuk. Nalegał, aby spotkali się nie w kancelarii, ale w modnej warszawskiej restauracji. Miał podpisać dokumenty i zapłacić gotówką należne kancelarii wynagrodzenie za prawie pół roku prowadzenia spraw. Wręczył papierową torebkę z dużym napisem Armani, co wywołało zaskoczenie Marczuk. O tym, że jest w niej 100 tys. zł, poinformował prawniczkę, dopiero gdy wychodzili z restauracji. Marczuk była zdziwiona, bo zgodnie z ustaleniami miała dostać 42 tys. zł. Uzgodnili, że wystawi fakturę, a w razie gdyby firma agenta Tomka nie wygrała przetargu, dokona zwrotu części pieniędzy. Zaraz po wyjściu z restauracji Marczuk została zatrzymana przez CBA i trafiła do policyjnej izby zatrzymań, którą na mocy decyzji sądu opuściła po kilku dniach po wpłaceniu kaucji.

Nastąpił zwrot akcji i to agenci CBA stali się podejrzanymi. Jesienią 2013 r. prokurator generalny Andrzej Seremet wystąpił do Sejmu o uchylenie immunitetów Mariuszowi Kamińskiemu i Tomaszowi Kaczmarkowi.

Wykreowane przestępstwo

Jednak po jakimś czasie prokuratura nabrała wątpliwości co do owej korupcji i oczyściła Weronikę Marczuk i Bogusława Seredyńskiego z zarzutów. Śledczy uznali, że Seredyński nie powoływał się na wpływy w Ministerstwie Skarbu, by załatwić korzystną prywatyzację, i w żadnym momencie nie żądał pieniędzy od agentów podających się za biznesmenów. Przesłuchani świadkowie, którymi byli m.in. urzędnicy Ministerstwa Skarbu, potwierdzili, że działania Seredyńskiego i Marczuk przy procesie prywatyzacji WNT były transparentne i nie budziły ich zastrzeżeń. Według pracowników ministerstwa prezes WNT zgodnie z prawem i w dobrej wierze przekazywał agentom informacje o firmie oraz procesie prywatyzacji, bo traktował ich jak poważnych inwestorów. Jerzy Jerszow, który w resorcie odpowiadał za nadzór właścicielski nad spółką WNT, zeznał, że Seredyński miał w ramach swoich licznych kontaktów szukać potencjalnych nabywców, którzy przystąpiliby do przetargu, i bardzo dobrze oceniał jego pracę, a gdy dowiedział się o akcji CBA, oświadczył wiceministrowi Krzysztofowi Łaszkiewiczowi, że „to prowokacja wobec ministerstwa".

Prokuratura, oceniając działania CBA wymierzone w Marczuk i Seredyńskiego, nabrała wątpliwości, czy były one legalne. Podważano część dowodów z podsłuchów i nagrań, których dokonywali agenci, pojawiły się istotne wątpliwości co do prawidłowości oraz dopuszczalności przeprowadzonych działań operacyjnych. Wbrew przepisom ustawy o CBA agenci zaczęli operację i zastosowali wobec Seredyńskiego oraz Marczuk techniki inwigilacji, nie mając wcześniej wiarygodnych informacji o przestępstwie, a namawiając prezesa WNT i prawniczkę do przyjęcia pieniędzy, sami wykreowali sytuację przestępstwa. Takie działania były niezgodne z prawem.

FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

eprasa.pl bf0249a9d2

Nastąpił zwrot akcji i to agenci CBA stali się podejrzanymi. Jesienią 2013 r. prokurator generalny Andrzej Seremet wysłał do Sejmu wnioski o uchylenie immunitetów Mariuszowi Kamińskiemu i Tomaszowi Kaczmarkowi (który porzucił służbę w CBA i został posłem PiS). Śledczy chcieli postawić im zarzuty przekroczenia uprawnień w operacjach wymierzonych w Kwaśniewskich, Marczuk i Seredyńskiego. Dodatkowo w sprawie Seredyńskiego Kaczmarek miał usłyszeć zarzuty tworzenia fałszywych dowodów i próby wręczenia korzyści majątkowej. Wnioski o uchylenie immunitetów przeleżały w Sejmie ponad osiem miesięcy. Kaczmarek w międzyczasie zrzekł się immunitetu, a do głosowania nad odebraniem immunitetu Kamińskiemu doszło w czerwcu 2014 r.

Za pociągnięciem Kamińskiego do odpowiedzialności karnej głosowała większość, 216 posłów. Ale to nie wystarczyło – wniosek prokuratury upadł. Do uchylenia immunitetu potrzebnych było 231 głosów, czyli większość bezwzględna. Dziewięciu posłów ówczesnej koalicji rządzącej – siedmiu z PO i dwóch z PSL – głosowało przeciw wnioskowi. Aż 34 posłów PO i PSL wstrzymało się od głosu, co oznaczało głosowanie na korzyść byłego szefa CBA. 25 posłów PO i PSL nie przyszło na głosowanie. Nieobecni byli niemal wszyscy członkowie rządu – z premierem Tuskiem na czele.

Wybuchł skandal, a Tusk zapowiedział wyciągnięcie konsekwencji wobec posłów, którzy nie zagłosowali za odebraniem immunitetu Kamińskiemu. Ci tłumaczyli się, że były szef CBA przekonał ich do swoich racji. Przedstawiciela prokuratury nie było w Sejmie, a poseł z komisji regulaminowej, który przedstawiał wniosek o odebranie immunitetu, „miał bardzo słabe wystąpienie" i posłowie „właściwie nie mogli dowiedzieć się, za co Kamiński ma odpowiadać". Kaczmarkowi też się upiekło. Choć usłyszał prokuratorskie zarzuty, to po przejęciu przez PiS władzy i kontroli nad prokuraturą sprawa została umorzona.

Andrzej Sikorski

Rozmawia Andrzej Sikorski

Jak zareagowała pani, gdy sąd skazał Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika na więzienie, a potem zostali oni doprowadzeni do aresztu?

– Pyta mnie pan nie tylko o fakty, ale i o emocje. Te są wypadkową sumy wartości, jakie się posiada i jakim się hołduje, oraz instynktów, które mamy jako ludzie. To wszystko powoduje, że mówimy tu nie o jednej reakcji na informację o skazaniu czy doprowadzeniu, ale o moim życiu od tamtych wydarzeń, od których minęło ponad 15 lat.

Na wszystko, co mam, musiałam ciężko pracować. Nikt mi niczego nie dał w prezencie. Jako zaledwie 20-latka wyjechałam z targanej mnóstwem problemów Ukrainy. Zdobyłam w Polsce wykształcenie. Skończyłam z wyróżnieniem prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Dostałam się na aplikację i zostałam radcą prawnym, a potem wspólnikiem w kancelarii. Jako juror występowałam w popularnym programie telewizji TVN, miałam też przygotowywać własny program w TVN Style. Udzielałam się charytatywnie i społecznie. I nagle pojawia się niejaki pan Tomek, który niszczy mi życie… Panowie Kamiński i Wąsik zostali skazani, po kilkunastu latach, właśnie za tego typu działanie, jakie prowadzili wobec mnie. Za przekroczenie uprawnień. Za wymyślanie przestępstw. Fałszowanie dowodów, prowokacje – to wszystko przypomina bardziej układ mafijny niż służbę państwową do walki z korupcją. I to, na szczęście, widzą sądy.

Moje życie dzieli się na „przed" i „po". Bo nikt nie oddał mi straconych kontraktów – telewizje zerwały ze mną relacje, klienci z żalem, ale wypowiadali umowy. Wszystko się zmieniło. Straciłam tamtą siebie i starałam się przez cały ten czas zbudować nową. Skrzywdzonych przez CBA osób było więcej, ale o tym się nie mówi.

Czy prezydent słusznie zrobił, ułaskawiając byłych szefów Centralnego Biura Antykorupcyjnego?

– Prerogatywy prezydenta opisuje konstytucja. Nie chcę tu oceniać, jakie kryteria stosują prezydenci, ułaskawiając skazanych. Wiem natomiast, że prezydent powinien być przedstawicielem całego narodu, co oznacza, że jego decyzje nie powinny być namaszczane przez jego obóz polityczny. Na pewno każdy marzy o takim prezydencie, bo to oznaczałoby rzeczywiście prawy i sprawiedliwy system. Zanim doszło do zgodnego z prawem ułaskawienia, mieliśmy „akt z 2015 r.", tak nazywane jest obnażenie przez Andrzeja Dudę jego poglądów przez „wyręczenie systemu sądowniczego". Ta instytucja powinna być wyjątkowym, bardzo wzniosłym gestem miłosierdzia, tymczasem u nas głowa państwa stwierdza, że jeszcze przed prawomocnym wyrokiem dokona aktu łaski wobec dobrze sobie znanych kolegów z tego samego obozu. Środowisko prawnicze było zdumione, ale to przecież nie pierwszy i nie ostatni raz, kiedy zamarliśmy z przerażenia, gdy przez ostatnie lata rządzący ramię w ramię z prezydentem rozmontowywali trójpodział władzy.

Andrzej Duda nie zamierza zejść z obranego kursu.

– I dlatego mamy to, co dzieje się od październikowych wyborów. Nie odzobaczy się, kolokwialnie mówiąc, prezydenta, który powierza straceńczą misję utworzenia rządu premierowi Morawieckiemu tylko po to, żeby jeszcze przez kilka tygodni wydrapywać, co się da z urzędów i spółek skarbu państwa. Nie odzobaczy się prezydenta zapraszającego do Pałacu Namiestnikowskiego, do symbolu tego urzędu, panów Kamińskiego i Wąsika, by tam ukryli się przed policją

Panowie Kamiński i Wąsik zostali skazani właśnie za takie działanie, jakie prowadzili wobec mnie. Za przekroczenie uprawnień, wymyślanie przestępstw, fałszowanie dowodów, prowokacje.

eprasa.pl bf0249a9d2

Co robiło CBA

Mafijny układ PiS

WERONIKA MARCZUK

mającą ich doprowadzić do miejsca odbywania kary. Nie odzobaczy się ich tulonych przez prezydenta, jakby wrócili z frontu, jakby byli żołnierzami walczącymi za ojczyznę, gdy kilkaset kilometrów od Warszawy trwa prawdziwa wojna, na której ludzie oddają swoje życie za rzeczywiście dobrą sprawę. Nie odzobaczy się wreszcie prezydenta, który z groźną miną i uniesionym, grożącym palcem mówi o „terrorze praworządności"…

Co powiedziałaby pani żonom Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, które tak gorliwie broniły mężów, mówiąc o ich uczciwości i walce z korupcją?

– Ta niesamowicie oburzająca narracja, jaką narzuca nam PiS – pokazywanie, że sprawcy są ofiarami, sprawia mi ból. Sformułowania, że są więźniami politycznymi, że są torturowani – w to nie chce się wierzyć, to wciąż nie mieści się w głowie nie tylko mnie, lecz także ogromnej rzeszy obywateli. Jak długo ten potworny cynizm, tę bezwzględność i arogancję będziemy tolerować?! Wszyscy wiemy, że to, co robi dawny obóz władzy, to nic innego jak budowanie nowego mitu założycielskiego przed wyborami samorządowymi, europejskimi oraz prezydenckimi. Ci ludzie starają się jakoś pozbierać po klęsce, by mieć jakikolwiek kapitał, aby przekonywać obywateli do swoich racji. Nie cofają się nadal przed niczym, przed żadną nikczemnością. Sprawcy są na sztandarach, „krystalicznie czyści", są męczennikami. Brak słów, choć musimy je mieć, żeby się nie poddawać temu zakrzywianiu rzeczywistości. Żony teraz już ułaskawionych i będących na wolności byłych szefów CBA, byłych ministrów, są częścią tej machiny. Oczywiście, że będą ich bronić,

> Skrzywdzonych przez CBA osób było więcej, ale o tym się nie mówi.

choć wszyscy pokiwaliśmy głowami z niedowierzaniem, gdy argumentem za wypuszczeniem męża z więzienia po kilku dniach odbywania kary miała być nieumiejętność ustawienia termostatu w domu.

Jak ocenia pani postawę agenta Tomka, Tomasza Kaczmarka, który po latach ujawnił niegodziwości, jakich się dopuścił, i przeprosił swoje ofiary?

– Chcę wierzyć w to, że ludzie się zmieniają. Że kiedy zaczynają rozumieć, jakie popełnili błędy, zaczyna się proces ich naprawiania. Pan Kaczmarek był narzędziem, wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę, ale istnieje instytucja odmowy wykonania rozkazu. Uważam jego przeprosiny za szczere. I po ludzku za nie podziękowałam. Uważam to jednak za paradoks dziejowy. Za takie szkody przeprasza żołnierz. Tymczasem generał, który wydawał rozkazy, w glorii i chwale buduje sobie na krzywdach ofiar przyszłość polityczną. Doceniam to, że Tomasz Kaczmarek uderzył się w piersi jeszcze w systemie, który go karmił. Oczywiście miał problemy z prawem i być może to było katalizatorem. Jednak uznał, że mówienie głośno o tym, czego był częścią, jest ważne. A prawda jest jedna i się obroni. Musimy odkryć

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/DDTVN/EAST NEWS

eprasa.pl bf0249a9d2

i pokazać całej Polsce, co pod przykrywką walki z korupcją robiło CBA. Mam nadzieję, że komisje śledcze i odpartyjniona prokuratura będą działać sprawnie. I wszyscy, którzy pomylili misję państwowca z misją partyjnego aparatczyka i konformisty, dostaną od państwa i społeczeństwa jasny przekaz.

Fakty w pani sprawie są jednoznaczne i niepodważalne, jednak narracja polityków PiS i wspierających ich mediów o tym, że Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik walczyli z korupcją, u części opinii publicznej, a na pewno w tzw. twardym elektoracie, wywołała przekonanie, że coś było na rzeczy... Czy czuje pani na sobie piętno „aferzystki"?

– To jest bardzo bolesne... Mówimy o twardym elektoracie PiS jako o osobach, do których nie przemawiają żadne racjonalne argumenty. Tymczasem ja coraz częściej patrzę na tych ludzi jako na kolejną grupę ofiar tego, co stworzyła ideologia przywódców tej partii. Przemontowali oni bowiem świat, do którego dostęp mają ich wyborcy, i stworzyli rzeczywistość równoległą. Zmanipulowali do reszty widzów telewizji, kiedyś publicznej. Zawłaszczyli narrację z wielu kościelnych ambon. Starszym ludziom zamknęli oczy na fakty, młodym tłumaczyli fakty w kontekstach teorii spiskowych. Ponieważ głównym orężem PiS było i jest dzielenie ludzi, to uwielbiają każdego metkować. Wskazują, kogo trzeba nienawidzić, a kogo kochać. To taki wodzowski teatr lalek. Tyle że 15 października 2023 r. lalki ożyły, odzyskały świadomość i chcą zmiany. I ja, ofiara systemu PiS, czuję się w obowiązku świadczyć swoją historią, żebyśmy nigdy nie powtórzyli takich działań nawet w jakimś małym stopniu.

Nie chodzi o zemstę. Wprowadźmy prawdziwą definicję prawa i sprawiedliwości. Zróbmy wreszcie coś prewencyjnie. Dość naszego, nie tylko polskiego, ale bardzo słowiańskiego powiedzenia „mądry Polak po szkodzie"! Wyciągnijmy wreszcie wnioski i zapobiegnijmy rozkładowi państwa bez względu na to, kto by tego próbował. Wszyscy jesteśmy za to odpowiedzialni.

Andrzej Sikorski

Za szkody przeprasza żołnierz. Tymczasem generał, który wydawał rozkazy, w glorii i chwale buduje sobie na krzywdach ofiar przyszłość polityczną.

Ja, ofiara systemu PiS, czuję się w obowiązku świadczyć swoją historią, żebyśmy nigdy nie powtórzyli takich działań.

eprasa.pl bf0249a9d2

Po drobne się nie schylali

Fundusz Sprawiedliwości przy Agencji Badań Medycznych to pikuś

Marek Czarkowski

Jak wynika z raportu Najwyższej Izby Kontroli, Fundusz Sprawiedliwości z 681 mln zł dotacji przyznanych w latach 2017-2020 jedynie 228 mln zł przeznaczył na pomoc świadczoną bezpośrednio pokrzywdzonym przestępstwami, a zaledwie 24,2 mln zł na pomoc postpenitencjarną. Większość środków trafiła do kategorii „wydatki na zapobieganie przestępczości", czyli pieniądze zasiliły fundacje zarządzane przez działaczy i sympatyków Prawa i Sprawiedliwości, poszły też na wozy strażackie dla OSP, thermomiksy dla kół gospodyń wiejskich, „dzieła ojca dyrektora" z Torunia oraz warte 100 mln zł przedsięwzięcia byłego egzorcysty, zakonnika, który wypędzał z „opętanej" diabła przy użyciu salcesonu.

Jakże skromnie wyglądają jednak te osiągnięcia na tle wydatków powstałej w czerwcu 2019 r. z inicjatywy ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego Agencji Badań Medycznych. Jak ustalili inspektorzy NIK, Narodowy Fundusz Zdrowia przekazał jej ponad 888 mln zł, ale dla pacjentów pożytek z jej działalności był niewielki.

Mimo że nie wiadomo, jakie są korzyści dla budżetu państwa i systemu ochrony zdrowia z badań wspieranych przez agencję – choć do sporządzania takich analiz była zobowiązana ustawowo – NFZ planował przekazać jej w latach 2023-2025 1,3 mld zł. Nie dziwmy się, Agencja Badań Medycznych to wyższa półka, pisowska śmietanka.

Człowiek Szumowskiego

Centralną postacią w krótkich dziejach ABM był jej prezes, dr hab. n. med. Radosław Sierpiński. W 2018 r. został doradcą w gabinecie politycznym ministra Szumowskiego. A gdy powstała agencja, do roku 2021, z krótką przerwą, pełnił obowiązki jej prezesa. 12 czerwca 2021 r. w drodze konkursu, w którym był jedynym kandydatem, został jej pełnoprawnym prezesem na kadencję, która miała się zakończyć w roku 2027. W grudniu ub.r. ministra zdrowia Izabela Leszczyna odwołała go z funkcji.

Centralną postacią w krótkich dziejach ABM był jej prezes, dr hab. n. med. Radosław Sierpiński.

Zdaniem części środowiska medycznego i niektórych dziennikarzy Sierpiński to postać kontrowersyjna. Gdy w 2019 r. przez krótki czas pełnił obowiązki prezesa ABM, miał 31 lat. Zorganizowany wówczas konkurs na to stanowisko wygrał ceniony chirurg, kierownik kliniki w Katedrze i Klinice Chirurgii i Urologii Dzieci i Młodzieży Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego prof. Piotr Czauderna. Jednak po kilku miesiącach, w grudniu 2019 r., Czauderna podał się do dymisji. Oficjalnie z powodu chęci powrotu do pracy klinicznej i badań naukowych. Mniej oficjalnie – „nie chciał się kopać z koniem", czyli z cieszącym się zaufaniem ministra zdrowia Sierpińskim, który natychmiast powrócił jako p.o. prezes do opuszczonego przez Czaudernę gabinetu.

Kariera naukowa niedawnego prezesa ABM jest olśniewająca. W roku 2018, pięć lat po ukończeniu studiów, obronił doktorat. Jego promotorem był prof. Łukasz Szumowski. Pod koniec 2020 r. ukazało się kilka artykułów naukowych, których współautorem był dr Sierpiński. Po czym złożył on na Uniwersytecie Medycznym im. Piastów Śląskich we Wrocławiu wniosek o nadanie mu stopnia doktora habilitowanego. Profesorowie tej uczelni uznali, że w pełni na niego zasługuje, i 22 kwietnia 2021 r., trzy lata po uzyskaniu doktoratu i 11 dni przed ogłoszeniem konkursu na prezesa ABM, Sierpiński uzyskał habilitację niezbędną, by mógł się ubiegać o stanowisko

FOT. PAP/JAKUB KACZMARCZYK

eprasa.pl bf0249a9d2

prezesa agencji. Źli ludzie sugerowali istnienie związku między tym faktem a hojną dotacją w kwocie 29 mln zł, którą p.o. prezes ABM Sierpiński przyznał wrocławskiej uczelni.

Jego talenty i profesjonalizm były cenione w najwyższych kręgach rządowych. W listopadzie 2020 r. został powołany na stanowisko pełnomocnika prezesa Rady Ministrów ds. rozwoju sektora biotechnologii i niezależności Polski w zakresie produktów krwiopochodnych. Miał się zająć budową w Polsce fabryki frakcjonowania osocza. W jednym z wywiadów oświadczył: „Jestem zdeterminowany, aby w ciągu trzech lat taka fabryka w Polsce ruszyła".

Jednak nie ruszyła. Nawet fundamentów pod nią nie wylano. Winna była pandemia COVID-19. Za to szybko rosły zarobki prezesa Sierpińskiego. W 2022 r. otrzymywał miesięcznie 38 tys. zł, w roku 2023 – już 43 tys. zł. Plus nagrody roczne – w roku 2021 – 60 tys. zł, a rok później 80 tys. zł.

Powstałej w czerwcu 2019 r. z inicjatywy Łukasza Szumowskiego Agencji Badań Medycznych NFZ przekazał ponad 888 mln zł, a do 2025 r. planował przekazać jeszcze 1,3 mld zł.

Taki talent nie mógł się ograniczać. Dr Sierpiński zasiadał w radach nadzorczych aż 10 podmiotów, m.in. w Radzie Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, był zatrudniony w Collegium Medicum Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, został powołany do Rady Naukowej PZU Zdrowie SA oraz Rady Nadzorczej PZU Zdrowie SA, trudził się w Radzie Nadzorczej Kauno Tiltai, spółki budującej obiekty infrastruktury, chciano go w Radzie Nadzorczej Totalizatora Sportowego, Radzie Programowej Instytutu Spraw Społecznych, Radzie Medycznej KGHM Polska Miedź oraz Radzie Nadzorczej KGHM TFI SA. W przypadku Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji chodziło o zlecenie. Na wszystkie te aktywności Sierpiński uzyskiwał zgody kolejnych ministrów zdrowia – Łukasza Szumowskiego i Adama Niedzielskiego.

Siedziba Agencji Badań Medycznych mieści się w 19-piętrowym wieżowcu przy Moniuszki 1A w Warszawie. I znów źli ludzie twierdzili, że prezes Sierpiński dla siebie i 140 pracowników na czterech piętrach, czyli ponad 2,2 tys. m kw., urządził prawdziwe PiSancjum.

Jakby tego było mało, w ubiegłym roku podjął decyzję, że w połowie 2024 r. przeniesie się do słynącego z luksusu i równie wysokich cen wynajmu (37-40 euro za metr kwadratowy) najwyższego budynku w stolicy – Varso Tower. Tego nie zdzierżyła nowa ministra zdrowia Izabela Leszczyna, która po odwołaniu Sierpińskiego z funkcji prezesa ABM zażądała, by w celu ograniczenia kosztów zmniejszono powierzchnię wynajmu. Co też się stało.

Na początku stycznia br. Ministerstwo Zdrowia złożyło w Prokuraturze Rejonowej Warszawa Śródmieście-Północ doniesienie w sprawie byłego już prezesa Agencji Badań Medycznych. Chodziło o podejrzenie poświadczenia nieprawdy. Sierpiński, startując w konkursie na prezesa agencji, przedstawił zaświadczenie o zatrudnieniu na stanowisku kierowniczym wystawione przez jedną z firm Anny Szumowskiej, żony Łukasza Szumowskiego. Kontrolerzy NIK stwierdzili, że „we wskazanym w zaświadczeniu okresie (2017 r.) pracodawca zatrudniający Radosława Sierpińskiego nie dokonał zgłoszenia do ubezpieczeń społecznych i ubezpieczenia zdrowotnego". Także w Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej nie widniała informacja o prowadzeniu działalności przez Radosława Sierpińskiego, co mogłoby potwierdzać jego doświadczenie na stanowisku kierowniczym. A doświadczenie to było wymagane, by objąć stanowisko prezesa Agencji Badań Medycznych.

Badać, by badać

W Polsce wcale nie jest łatwo wydać zgodnie z prawem 1 mld zł albo więcej na badania kliniczne lub inne, związane z lekami czy procedurami medycznymi. We wrześniu 2023 r. ABM miała na rachunku niewykorzystane 300 mln zł. NIK w konkluzji swojego raportu stwierdziła, że ustawowe zadania agencji pokrywały się z zadaniami takich instytucji jak Narodowe Centrum Badań i Rozwoju oraz Narodowe Centrum Nauki.

Zgodnie z ustawą o ABM jej celem jest wspieranie innowacji w ochronie zdrowia, ze szczególnym uwzględnieniem rozwoju niekomercyjnych badań klinicznych i eksperymentów badawczych. Działalność agencji polega m.in. na dofinansowywaniu badań naukowych i prac rozwojowych w dziedzinie nauk medycznych i nauk o zdrowiu oraz projektów interdyscyplinarnych wyłonionych w drodze konkursu. Podobne zadania, tj. inicjowanie i realizacja programów obejmujących finansowanie badań naukowych lub prac rozwojowych oraz działań przygotowujących do ich wdrożenia, zostały wymienione w ustawach o Narodowym Centrum Nauki i Narodowym Centrum Badań i Rozwoju.

W latach 2020-2021 ABM organizowała konkursy i nabory, w których oceniano wnioski dotyczące tematyki COVID-19, w ramach wsparcia opracowania terapii i rozwoju szybkich testów diagnostycznych. Projekty dotyczące szczepionek przeciw COVID-19 prowadziły także NCN i NCBiR.

Najwięcej emocji wzbudził zorganizowany w 2021 r. przez ABM konkurs na rozwój innowacyjnych rozwiązań terapeutycznych z wykorzystaniem technologii RNA. Rozdzielono w nim ponad 291 mln zł, choć planowano przeznaczyć 350 mln. Na ogłoszonej przez ABM liście znalazły się m.in. Warszawskie Zakłady Farmaceutyczne Polfa, które utworzyły konsorcjum z Instytutem Chemii Bioorganicznej PAN i otrzymały 93,9 mln zł, oraz spółka Celon Pharma, która mogła liczyć na 83,6 mln zł.

Emocje podsyciła spółka Acellmed, należąca do córki byłego ministra zdrowia Mariana Zembali, która wspólnie ze Śląskim Parkiem Technologii Medycznych Kardio-Med

eprasa.pl bf0249a9d2

Silesia oraz Uniwersytetem Wrocławskim aspirowała o 18,2 mln zł. Spółce OncoArendi Therapeutics (obecnie Molecure), której prezesem jest Marcin Szumowski, brat byłego ministra zdrowia, przyznano niemal 40 mln zł.

Niedawno na stronie internetowej ABM pojawiło się oświadczenie, że agencja „nie finansowała żadnego komercyjnego projektu związanego ze spółkami powiązanymi z rodziną byłego Ministra Zdrowia prof. Łukasza Szumowskiego. Co więcej, jedna ze spółek – w wyniku negatywnej oceny wniosku w naborze konkursowym – skierowała sprawę przeciwko ABM do sądu". Czyżby chodziło o to przedsięwzięcie?

W ocenie NIK nie w pełni skuteczny był system nadzoru i kontroli nad projektami badawczymi w agencji. Ponadto w latach 2019-2022 ABM w znikomym stopniu wypełniała swoje zadania dotyczące inicjowania i realizacji własnej działalności badawczej. W roku 2020 na zlecenie ministra zdrowia realizowała jedno własne badanie naukowe: „Opracowanie szczepionki na koronawirusa (wirusa SARS-CoV-2) – udział polskich ośrodków naukowych we wdrożeniu platformy technologicznej generowania rekombinowanych szczepionek nowej generacji". Prace te nie zakończyły się sukcesem.

W tym samym roku na zlecenie ministra zdrowia agencja sfinansowała badania kliniczne, których celem była ocena skuteczności stosowania amantadyny w leczeniu chorych zakażonych wirusem SARS-CoV-2. Okazało się, że amantadyna nie jest skuteczna.

W 2021 r. prezes Sierpiński zapowiedział, że w kolejnym roku ABM przeznaczy 100 mln zł na program, który wesprze badania nad zastosowaniem sztucznej inteligencji w ocenie zdjęć diagnostyki obrazowej, w procesie podejmowania decyzji medycznych zwłaszcza w onkologii czy w analizie dużych zbiorów danych, np. z badań klinicznych. Taki konkurs ogłoszono. Rozstrzygnięcie okazało się zaskoczeniem. Spółka Nivalit wraz z Samodzielnym Publicznym Zakładem Opieki Zdrowotnej Szpitalem Uniwersyteckim w Krakowie otrzymała 3,8 mln zł na realizację projektu „MENTALIO – system wsparcia decyzji diagnostycznych i terapeutycznych w obszarze zdrowia psychicznego nastolatków w oparciu o algorytmy sztucznej inteligencji". Spółka Stermedia wspólnie ze spółką Affexy oraz Instytutem Psychiatrii i Neurologii otrzymały zaś 6,6 mln zł na realizację projektu „Opracowanie innowacji produktowej w zakresie wspomagania diagnostyki i leczenia w podstawowej opiece zdrowotnej, ambulatoryjnej opiece specjalistycznej (AOS) oraz leczeniu szpitalnym". Wydano więc nie zakładane 100 mln zł, lecz niewiele ponad 10 mln na sztuczną inteligencję w branży medycznej w Polsce. Dlaczego tak mało? Zabrakło pomysłów i wykonawców.

Radosław Sierpiński miał się zająć budową fabryki frakcjonowania osocza, która miała ruszyć w ciągu trzech lat. Jednak nie ruszyła. Nawet fundamentów pod nią nie wylano.

Spółce OncoArendi Therapeutics (obecnie Molecure), której prezesem jest Marcin Szumowski, brat byłego ministra zdrowia, przyznano niemal 40 mln zł.

Leków jak nie było, tak nie ma

Nie wiem, jakie były oczekiwania ministra Łukasza Szumowskiego, gdy lobbował za powołaniem Agencji Badań Medycznych. Co miało się zmienić na lepsze w systemie służby zdrowia w Polsce? Można zrozumieć, że chcąc mieć na czele tej instytucji swojego człowieka, wypromował dr. Radosława Sierpińskiego. Musiał wiedzieć, jaki jest stan i jakie są możliwości naszych spółek farmaceutycznych i biotechnologicznych, które za pośrednictwem agencji będą sięgały po pieniądze podatników. Badania kliniczne, które miały się stać podstawowym celem finansowania przez agencję, to jedno, a badania nad nowymi lekami to zupełnie inne wyzwanie.

Musimy sobie uświadomić, że ostatni oryginalny lek opracowany od początku do końca nad Wisłą został wprowadzony na rynek na przełomie lat 60. i 70. XX w. Dziś większość spółek działających w tym obszarze żyje z przyznanych przez NCBiR, PARP i Agencję Badań Medycznych grantów. Chętnie też emituje akcje i obligacje, co pozwala im czasem nawet bardzo dobrze żyć. Wielokrotnie pisaliśmy o tym na łamach PRZEGLĄDU. Podawaliśmy przykłady spółek, które aż nazbyt agresywnie sięgały po kasę, po to by w finale oświadczyć: chcieliśmy dobrze, a wyszło jak zwykle.

Działalnością ABM zajęła się ostatnio sejmowa Komisja Zdrowia. W trakcie dyskusji wyszło na jaw, że po agencyjne granty sięgnęło kilku członków Rady Agencji Badań Medycznych (nie jako osoby, ale jako instytucje). Byli to profesorowie Bogusław Machaliński (wiceprzewodniczący rady), Marcin Moniuszko, Jerzy Sieńko i Piotr Rutkowski. Nie uznano tego za konflikt interesów, ale trzech z tych uczonych nie zasiada już w radzie. Grantów nie otrzymali zaś prof. Maria Siemionow czy prof. Mirosław Ząbek.

Prof. Łukasz Szumowski ostatnio został odwołany przez ministrę Leszczynę z funkcji dyrektora Narodowego Instytutu Kardiologii. Resort zdrowia zapowiedział konkurs na stanowisko prezesa ABM. Czy ktoś nowy będzie w stanie efektywniej wydawać pieniądze przeznaczone na badania? Obawiam się, że nie. Bo wiele musi się zmienić, by w Agencji Badań Medycznych wszystko zostało po staremu.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bf0249a9d2

Krótka historia niezawartej koalicji

Tusk nie chce iść do wyborów samorządowych z Lewicą

Donald Tusk uderzył boleśnie we Włodzimierza Czarzastego, który o wspólną listę zabiegał najmocniej.

Robert Walenciak

Dobry pomysł wziął w łeb. We wtorek, 30 stycznia, Donald Tusk zadzwonił do Włodzimierza Czarzastego z informacją, że Platforma Obywatelska pójdzie do wyborów samorządowych sama, że rezygnuje z koalicji z Lewicą. Tak wygląda w polityce czarna polewka.

Chwilę potem, podczas konferencji prasowej, Tusk ogłosił, że model trzech komitetów się sprawdził, więc nie ma sensu go zmieniać. I że Koalicja Obywatelska zarejestruje w wyborach do samorządów własny komitet. „Lewica w szoku", natychmiast skomentowały media.

Uznajmy to za pewną przesadę, ale… Ledwie dwa dni wcześniej mieliśmy zapowiedzi, że negocjacje w sprawie porozumienia Koalicja Obywatelska-Nowa Lewica idą dobrze. A nawet bardzo dobrze. Jeszcze wcześniej, 18 stycznia, ogłoszono, że Nowa Lewica upoważniła Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia do rozpoczęcia rozmów z KO o wspólnym starcie w wyborach samorządowych. Na 3 lutego zwołano posiedzenie Rady Krajowej Nowej Lewicy, która miała zatwierdzić koalicję z Platformą. Wydawało się, że wszystko już ułożone.

Cóż więc takiego się stało, że te negocjacje poszły źle?

•

Jeden z naszych rozmówców na to pytanie odpowiada pytaniem: a czy jesteśmy pewni, że szły dobrze? I zwraca uwagę na jeden szczegół – wszystkie przecieki na temat koalicji Platformy i Lewicy wychodziły ze środowiska Włodzimierza

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl bf0249a9d2

Czarzastego. To była gra, która miała kształtować opinię publiczną i postawić Donalda Tuska przed faktem dokonanym. Ale plan ten się nie powiódł.

Inny nasz rozmówca z Lewicy temu zaprzecza. – To były poważne rozmowy – tłumaczy. – Rozmawialiśmy gdzieś od dwóch tygodni na temat powołania wspólnego komitetu wyborczego. Umowa miała obejmować wszystkie szczeble: od powiatów, poprzez duże miasta, po sejmiki wojewódzkie. W niektórych miastach mieliśmy mieć wspólnych kandydatów na prezydentów i burmistrzów. Teraz to już przeszłość.

Dlaczego przeszłość? Po pierwsze, chociaż nie jest to najważniejszy powód, Włodzimierz Czarzasty przelicytował.

– Przyszedł z własnymi sondażami – opowiada człowiek ze środowiska PO. – Wynikało z nich, że jak pójdziemy razem, to będzie wielki sukces, a jak oddzielnie – to klapa. I może ktoś by się na to nabrał, ale to jest jego stary numer, że przynosi jakieś sondaże i mówi, że trzeba robić tak, jak on chce. Więc ktoś od nas zlecił własne badania i wyszło inaczej, że Platformie ta koalicja raczej się nie opłaca. Że opłaca się przede wszystkim Hołowni, a jeśli chodzi o Platformę – niewiele jej daje. A czasami wręcz nic. Tak runął argument Czarzastego. Na jego niekorzyść zagrało jeszcze jedno – w sztabie byli źli, że miały być ciche rozmowy, a wyszły w mediach.

•

A inne powody? Jeden już został wskazany. Z sondaży zamówionych przez PO wynikało, że wspólna lista KO-Nowa Lewica przesunęłaby w oczach wyborców taką koalicję mocno w lewo. I część wyborców Platformy, o centrowych czy wręcz centroprawicowych poglądach, oddałaby głos na Trzecią Drogę. Platforma zyskałaby więc wyborców lewicowych, ale straciłaby tych ze swojej prawej strony. I wyszłaby na zero.

A nawet gorzej niż na zero, bo Tuskowi wcale nie zależy na tym, by Hołownia i Kosiniak-Kamysz byli naprawdę mocni.

Z tego punktu widzenia idea koalicji KO-NL runęła tak naprawdę w połowie stycznia, gdy Hołownia i Kosiniak-Kamysz ogłosili, że na czas wyborów samorządowych reaktywują Trzecią Drogę, że PSL i Polska 2050 idą do wyborów wspólnie i nie zamierzają łączyć się z nikim innym. Czyli odrzucają ideę wspólnej listy Koalicji 15 Października.

Nie dziwmy się, PSL i Hołownia mają wielką szansę, by w tych wyborach się zbudować. PSL – odzyskać dawne wpływy, Hołownia – potworzyć struktury. Byliby niemądrzy, gdyby taką okazję wypuścili z rąk.

– Przypominam, co mówił Kosiniak-Kamysz – sufluje nasz rozmówca. – Że idą osobno i że najlepiej, jeśli rządząca koalicja pójdzie do wyborów w dwóch blokach. Jeden to Trzecia Droga, drugi – KO-Nowa Lewica. Wiedział, że taka sytuacja jest dla Trzeciej Drogi najwygodniejsza.

Ale o tym też wiedziano w Platformie. Że zwłaszcza w regionach przechylonych w prawo, w Małopolsce, na Podkarpaciu, na Lubelszczyźnie, na Podlasiu, koalicja z Lewicą nie przynosi dodatkowych punktów. Bo Lewica jest tam słaba, poparcie ma pięcioprocentowe i część wyborców, tych konserwatywnie nastawionych, jako koalicjant zniechęca.

No i jest inny powód, o którym głośno powiedział Tusk – że baronowie są przeciw. Chodziło mu o wojewódzkich liderów PO. Kalkulacja aparatu Platformy jest prosta. Koalicja z Nową Lewicą oznacza, że na listach wyborczych trzeba się posunąć. Oddać dobre miejsca koalicjantom. A jaki ma to sens, jeżeli dodatkowych mandatów z takiej koalicji nie będzie? Po co pracować w kampanii na innych?

•

Ale wydaje się, że na decyzję Tuska wpłynęła jeszcze jedna rzecz – poczuł, że może zepchnąć lewicowców jeszcze mocniej w dół. I to zrobił.

Na pewno boleśnie uderzył we Włodzimierza Czarzastego, który o wspólną listę najmocniej zabiegał. Bo co oznacza jej brak? Gdyby była, szef partii miałby w rękach wspaniały instrument – mógłby obdarowywać miejscami biorącymi swoich przybocznych. Co ważniejsze – nawet mając jednego czy dwóch radnych mógłby się domagać udziału w zarządach województw i miast. Zwróćmy uwagę, jak Lewica postępowała podczas podziału stanowisk wojewodów – wolała zrezygnować z przysługującej jej liczby bodajże trzech wojewodów, aby zyskać dwa razy tyle stanowisk wicewojewodów.

Podobny mechanizm mielibyśmy po wyborach samorządowych. On oczywiście wciąż nie jest wykluczony, ale Lewica musi najpierw wyszarpać mandaty. Czyli stanąć do wyborów i uzyskać w nich dobry rezultat, by uczestniczyć w podziale łupów.

W życiu politycznym oznacza to, że w wypadku koalicji KO-NL miejsca na listach wyborczych oraz miejsca w zarządach województw, miast, powiatów byłyby w gestii szefa partii.

Kalkulacja aparatu PO jest prosta. Koalicja z Nową Lewicą oznacza, że na listach wyborczych trzeba oddać dobre miejsca koalicjantom.

Wybory samorządowe dla polityków są najważniejsze. Bo to one budują siłę partii.

To budowałoby jego pozycję. A teraz będzie z tym trudniej. Bo owszem, może on decydować o kształcie list wyborczych, ale tylko Lewicy, i o pieniądzach, które partia rozdzieli po województwach na kampanię. Później jego wpływ będzie dużo mniejszy.

Gdy więc media piszą o szoku Lewicy, to odnotujmy – decyzja Tuska najmocniej uderzyła w Czarzastego i tych działaczy, którzy ostrzyli sobie zęby na miejsca w samorządach.

Te miejsca z punktu widzenia aparatów partyjnych są najważniejsze. Żadnej partii w Polsce nie stać

eprasa.pl bf0249a9d2

na utrzymywanie aparatu, dlatego lokują one działaczy w strukturach przedstawicielskich różnych stopni, od Sejmu począwszy, na radach gmin skończywszy, oraz w różnych zarządach, spółkach miejskich czy instytucjach samorządowych. To są tysiące posad, często zwykłych synekur, ale to jest główna waluta, którą w polskiej polityce się płaci. Dlatego wybory samorządowe dla polityków są tak ważne, można wręcz powiedzieć – najważniejsze. Bo to one w efekcie budują siłę partii.

PiS, partia, która przeszła do opozycji, sprawuje władzę w siedmiu sejmikach wojewódzkich. Gdy i tam ją straci, znajdzie się w autentycznym odwrocie. Jeśli chodzi o Lewicę, to jest ona w trudnej sytuacji – kiedyś potęga, dziś w sejmikach wojewódzkich może się pochwalić pojedynczymi radnymi, w całej Polsce ma ich 6,6%. Gdy straci i to, straci de facto regionalne struktury. A potem – wpływy w regionie.

•

Przykładem niech będzie Mazowsze i Warszawa. Był czas, gdy SLD był największą siłą w radzie miasta i współrządził, podobnie było na Mazowszu. Ale to się skończyło. Na Mazowszu lewa strona nie ma radnych, a w Warszawie ma dwójkę – Agatę Diduszko-Zyglewską i Marka Szolca. Kłopot tylko w tym, że do Rady Warszawy dostali się oni w roku 2018 z listy… PO. Lewica uzyskała wówczas jeden mandat – zdobyła go Monika Jaruzelska, która dziś jest radną niezależną. A o słabości formacji lewicowych w Warszawie świadczy fakt, że to Platforma musiała zbierać podpisy Magdalenie Biejat, by ją zgłosić jako kandydatkę do Senatu.

Skąd ten upadek? Otóż system wyborczy, na który składają się metoda liczenia głosów D'Hondta oraz małe okręgi wyborcze (w Warszawie 60 radnych wybieranych będzie w 10 okręgach), powoduje, że aby dostać mandat, trzeba mieć przynajmniej 10-12% poparcia. A najlepiej 15%. Lewica w skali kraju dysponuje dziś poparciem rzędu 9%. Czyli może liczyć na pojedyncze mandaty i tylko w kilku województwach. A gdyby była w koalicji z KO – miałaby wszędzie swoich radnych i udział w rządzeniu.

W takiej pozycji postawiła ją decyzja Donalda Tuska, skalkulowana, nie miejmy złudzeń, jak najbardziej na zimno. Owszem, odrzucając koalicję, musiał on uwzględnić pewne niebezpieczeństwo – że kopie rów między Lewicą a PO. I że może mu to mocno utrudnić działania w Sejmie i w rządzie. Już więc zapowiada, że wierzy, iż trzy listy nie wpłyną na współpracę w rządzie, i że użyje całego swojego autorytetu, by ta współpraca była dobra, itd.

Czy to będzie skuteczne? Jeśli chodzi o Lewicę, będzie skuteczne tak długo, jak długo Platformie udawać się będzie manewr, który stosuje od lat – że wpuszcza na swoje listy znaczących polityków i działaczy lewicowych i ma w zamian poparcie znacznej części lewicowych wyborców, nie tracąc tych z prawej strony.

Oczywiście te rachuby dawno stałyby się nieaktualne, gdyby wyborcy o poglądach lewicowych głosowali na Lewicę. Mogłaby ona wówczas zyskać 20% głosów i byłaby samodzielną formacją, z którą każdy musiałby się liczyć. Na razie daleko jej do tego. Przed nią kampania – bardzo krótka, wybory będą 7 kwietnia, i bardzo trudna. Owszem, raz się udało – gdy Grzegorz Schetyna w wyborach 2019 r. też wyrzucił Czarzastego z koalicji. Wówczas stworzona ad hoc wspólna lista SLD, Razem i Wiosny zebrała ponad 12% głosów.

Obecnie trudno liczyć na powtórzenie tego manewru. Choćby z tego powodu, że nie za bardzo jest komu tę kampanię prowadzić – tylko trzech posłów Lewicy nie jest w strukturach rządowych. Kto więc znajdzie czas na straceńczą walkę? Poza tym wybory samorządowe mają swoją specyfikę, tu trzeba się wykazać innymi przymiotami niż w parlamencie. Innych ludzi trzeba rzucić w bój.

Można więc wołać, że Tusk podstawił Czarzastemu nogę albo że go zaskoczył jak śnieg drogowców. Tak pewnie się stało. Ale polityka ma to do siebie, że nic w niej nigdy nie jest na zawsze, życie toczy się dalej i stwarza szanse. Jeżeli ktoś ciężko pracuje, znajdzie okazję, by być górą.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

O słabości lewicowców w Warszawie świadczy fakt, że to Platforma musiała zbierać podpisy Magdalenie Biejat, by ją zgłosić jako kandydatkę do Senatu.

PiS CHCE RZĄDZIĆ TAK, ŻEBY MU NIE PRZESZKADZAŁ ŻADEN PRZEPIS, A ZWŁASZCZA SPOŁECZEŃSTWO

W ostatnim wywiadzie dla „Przeglądu" Karol Modzelewski wróżył, że celem PiS jest władza, której nie odda

55 zł ~~65 zł~~

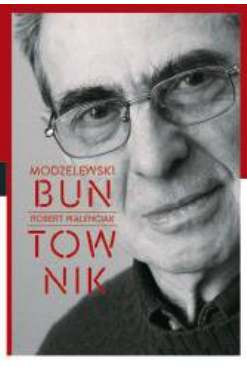

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. **Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl bf0249a9d2

Z Galicji

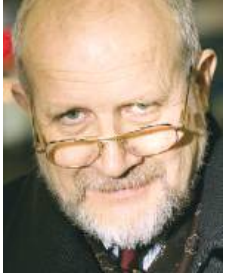

Jan Widacki

Kilka wskazówek dla prawnika, który wciąż się uczy

Studia prawnicze trwają teraz w Polsce pięć lat. Zakłada się więc, że w tym czasie średnio inteligentny i rozgarnięty absolwent szkoły średniej jest w stanie wyuczyć się prawa na tyle, by uzyskać tytuł magistra. Ci, którzy chcą być sędziami, prokuratorami, adwokatami, radcami prawnymi, notariuszami czy komornikami, muszą po skończeniu studiów odbyć jeszcze trzyletnią aplikację i zdać stosowny egzamin zawodowy. Oczywiście zdarza się, że ktoś studiuje prawo nie pięć lat, lecz 11. Tak jak pewien polityk, który później zasłynął walką o „otwarcie zawodów prawniczych". No cóż, Rzymianie już dawno zauważyli, że *repetitio est mater studiorum*. Niektórzy biorą dosłownie to „powtarzanie jest matką studiowania" i powtarzają kolejne lata studiów. Potem następuje rozczarowanie, bo jakość absolwenta mimo powtórek nie wzrasta. Ale dajmy spokój repetentom. Patrzmy na pozytywne przykłady. Są absolwenci prawa, którzy robią później doktoraty, co na prawie, nawiasem mówiąc, nie jest szczególnie trudne, a mimo to ciągle jeszcze się uczą. Sądząc jednak po efektach, takie prawnicze samouctwo nie zawsze jest skuteczną metodą poszerzania wiedzy.

Ale trzeba docenić samozaparcie tych samouków i podać im pomocną dłoń. Teraz np. na najwyższych szczeblach państwowych trwa dyskusja na temat sposobu rozumienia instytucji ułaskawienia. Najwyraźniej jeden z samouków zupełnie jej nie rozumie. Problem w tym, że właśnie on ma prawo tę instytucję stosować. W poczuciu obywatelskiego obowiązku dam mu kilka wskazówek.

Otóż ułaskawienie, które głowa państwa ma prawo stosować, tym się różni od apelacji czy kasacji, że nie uchyla prawomocnego wyroku, tylko uwalnia skazańca od kary. Różnica niby subtelna, ale dla studentów pierwszego roku prawa na ogół uchwytna. Uwolnienie od kary nie jest kwestionowaniem wyroku. Głowa państwa nie ma prawa oceniać prawomocnych wyroków wydanych „w imieniu Rzeczypospolitej". Głowa państwa nie jest kolejną instancją sądową, częścią władzy sądowniczej. A to sądy – i tylko one – zgodnie z konstytucją (i, ogólniej, z zasadą trójpodziału władz) wymierzają sprawiedliwość. Głowa państwa nie kontroluje poprawności wyroku. Ułaskawienie, jak wyjaśniał wybitny polski prawnik 20-lecia międzywojennego Stefan Glaser, nie dokonuje się w imię prawa, ale w imię słuszności w konkretnym, wyjątkowym przypadku. Gdy przemawiają za tym nadzwyczajne względy pozaprawne. Tragiczna sytuacja rodzinna skazanego, jego niegdysiejsze wielkie zasługi lub coś podobnego. Łaskę – zgodnie z samą nazwą – okazuje się z litości. Do tych prawd nie doszedł Pierwszy Samouk Rzeczypospolitej i ułaskawił nie tak dawno Magdalenę Ogórek i Rafała Ziemkiewicza, uwalniając ich… od kary grzywny. Aż taką litość wzbudzili w panu prezydencie? Choć orzeczone grzywny przy ich ówczesnych zarobkach nie były szczególnie dotkliwe.

W sprawie panów Kamińskiego i Wąsika najpierw, w 2015 r., pan prezydent, myśląc, że stosuje prawo łaski, zastosował abolicję indywidualną (do czego nie ma prawa), umarzając niezakończone prawomocnie postępowanie. Teraz ułaskawił ich już prawidłowo. Przynajmniej formalnie prawidłowo, pytanie, czy słusznie. Ułaskawienie ze swej istoty uchyliło nie wyrok, tylko orzeczoną nim karę. Panowie nadal są prawomocnie skazani, tyle że nie muszą odbywać orzeczonych wyrokiem kar. Ale mandaty stracili bezpowrotnie (przynajmniej w tej kadencji) po uprawomocnieniu się wyroku, z mocy samego prawa. Oni twierdzą, że nadal są posłami, wolno im. Prezes też twierdzi, że jest zbawcą ojczyzny, ale większość Polaków nie podziela jego poglądu.

Ostatnio pan prezydent odesłał do ciała używającego nazwy Trybunał Konstytucyjny budżet, mając wątpliwość, czy ustawa uchwalona bez tych dwóch panów, niedopuszczonych (słusznie!) przez marszałka Hołownię do udziału w pracach Sejmu po wygaśnięciu ich mandatów, jest ważna. Nie wiem, co wymyślą najtęższe głowy ciała kierowanego przez Julię Przyłębską. Na wszelki wypadek podpowiadam: w głosowaniu nad ustawą budżetową wzięło udział 434 posłów, 240 głosowało za, 191 – przeciw, a trzech wstrzymało się od głosu. Nieobecność dwóch posłów z wygaszonym już mandatem (obojętnie w tym momencie – słusznie czy niesłusznie) nie mogła mieć wpływu na uchwalenie ustawy. Nawet gdyby byli posłami, uczestniczyli w głosowaniu i zagłosowali przeciw, nie miałoby to żadnego wpływu na wynik. Obliczenie nie jest trudne, ale ułatwię: 191 + 2 = 193. Za i tak głosowałoby 240 posłów, czyli wymagana większość. Ustawa budżetowa tak uchwalona zostałaby uchwalona. Chyba że Trybunał orzeknie, że marszałek Hołownia, nie dopuszczając tych dwóch panów do głosowania, uniemożliwił im odegranie roli Rejtana. Ale nawet gdyby byli na sali, gdyby rzucili się na jej próg, na wynik głosowania, jak uczy historia, wpływu by to nie miało.

Po co to wszystko? By zaostrzyć kryzys? I robi to ten, kto dwukrotnie przysięgał, wzywając nawet Pana Boga do pomocy, że „będzie dbał o dobro ojczyzny". ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bf0249a9d2

Beata Dżon-Ozimek

1 lutego 2024 r. wojewoda Monika Jurek wraz z wicewojewodą Piotrem Pośpiechem wręczyli Monice Ożóg (w środku) powołanie na stanowisko wojewódzkiej konserwator zabytków.

Plagiatorka konserwatorką

Wojewódzka konserwator zabytków w Opolu z nadania PSL wywołuje wiele kontrowersji

1 lutego objęła stanowisko nowa wojewódzka konserwator zabytków w Opolu, dr hab. Monika Ożóg. Historyczka, specjalizująca się w starożytności. Nie jest to jednak urzędniczka, jakich wiele. W regionie oraz w środowisku muzealników polskich i akademików dała się poznać jako ta, która wsparła się plagiatem w konkursie na stanowisko dyrektora Muzeum Śląska Opolskiego w 2018 r., o czym wiele osób wolałoby nie pamiętać.

Plagiat dostrzegła w 2020 r. Alina Czyżewska, aktywistka ruchu Watchdog Polska, patrzącego władzom na ręce. Strona po stronie udowodniła, że Monika Ożóg skopiowała całe akapity z koncepcji Jarosława Suchana, wówczas dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi. Nie wysiliła się nawet na usunięcie przymiotnika łódzki. Jak później oceniła biegła sądowa, 27% treści koncepcji dr Ożóg pochodziło z pracy Suchana.

Monika Ożóg została uznana w 2022 r. przez sądy dwóch instancji za winną popełnienia plagiatu, ale sąd warunkowo umorzył postępowanie, zastosował „opcję specjalnego potraktowania" ze względu na niską społeczną szkodliwość czynu. Co oznacza czystą kartotekę, ale nie to, że osoba jest niewinna. W dwóch instancjach sąd stwierdził, że plagiat został popełniony.

Dla obywateli, aktywistów, urzędników oraz pracowników niesprawiedliwie traktowanych za czasów dr Ożóg w MŚO, głosujących 15 października 2023 r. i liczących na transparentność choćby w obsadzaniu urzędów, bardzo smutne jest, że władzy nie przeszkadza, iż konserwatorką wojewódzką będzie osoba skompromitowana, w dodatku bez kompetencji.

Krytyka uzasadniona

Tu ważny jest głos Iwony Solisz, byłej długoletniej opolskiej konserwator zabytków: „Jako była wojewódzka konserwator zabytków i obecna dyrektorka Muzeum Śląska Opolskiego, ale także osoba wielokrotnie protestująca razem z KOD, dłużej nie mogę patrzeć z boku na całą sytuację. Jeżeli ktoś chce objąć funkcję konserwatora wojewódzkiego, musi się liczyć ze społeczną weryfikacją, pytaniem o doświadczenie i kompetencje oraz postawę etyczną. Stopień naukowy nie świadczy o umiejętnościach. Ważna jest wiedza z ochrony zabytków oraz prawa i administracji (procedury), istotną jest znajomość planowania przestrzennego i prawa budowlanego, archeologii itp. Zatem pojawiające się publicznie pytanie, w jaki sposób została wybrana kandydatka, która nie ma odpowiedniego doświadczenia, jest jak najbardziej słuszne, tym bardziej że nie słyszałam, aby jakieś stowarzyszenia związane z zabytkami/muzeami/izby zawodowe rekomendowały panią Ożóg na tę funkcję, co ewidentnie rodzi przypuszczenia o partyjnej układance PSL w Warszawie (takie barwy polityczne ma Generalna Konserwator Zabytków – smutne, że na tym stanowisku są jakiekolwiek legitymacje partyjne). Dodam jeszcze, że konserwator wojewódzki to także dyrektor, który ma zarządzać zespołem pracowników i wydatkować środki publiczne i niestety w tej roli pani Ożóg w muzeum się nie sprawdziła, o czym świadczą negatywne opinie pracowników, które były mi wielokrotnie przekazywane, jak i nieodpowiedzialne decyzje, w wyniku których muzeum zostało narażone na proces sądowy i wypłatę odszkodowania. Tak więc krytyka i pytania, w jaki sposób wybrana

eprasa.pl bf0249a9d2

została nowa konserwator zabytków, są w pełni uzasadnione i słuszne".

Dobro województwa?

– Kiedy ujawniłam plagiat, panowie z zarządu województwa, Zbigniew Kubalańca i Andrzej Buła, nie tylko nie reagowali na moje doniesienia. Bronili autorki, mówiąc o „inspiracji", i złożyli przeciwko mnie pozew o naruszenie dóbr całego województwa – mówi Alina Czyżewska

Aktywistka wykazywała nieprawidłowości i układy w tym konkursie, na którego czele stał Stanisław Rakoczy z PSL. Dzisiaj też PSL w osobie Marcina Oszańcy, szefa lokalnych struktur opolskich, i generalnej konserwator zabytków w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bożeny Żelazowskiej, wywodzącej się podobnie jak opolska konserwator z Lubelszczyzny, wspiera Monikę Ożóg. A proces z urzędem marszałkowskim w Opolu o wyimaginowane naruszenie dóbr „całego województwa" Alina Czyżewska wygrała.

Po wyborach ludzie bardziej interesują się ruchem na urzędniczych stanowiskach, chcą widzieć efekty swoich decyzji przy urnie, a nie powrót lub trwanie tych samych frakcji kolegów i koleżanek. I tu ważny jest głos znanej w regionie szefowej KOD, inspirującej rozmaite działania obywatelskie, Małgorzaty Besz-Janickiej: – Ta kontrowersyjna i kompletnie nietransparentna nominacja budzi uzasadnione zastrzeżenia. Dochodzą do mnie sygnały i protesty w tej sprawie od mieszkanek i mieszkańców Opolszczyzny. Jako obywatelki i obywatele nie możemy być obojętni wobec obniżania standardów w życiu publicznym. Jest to szczególnie ważne na poziomie regionalnym, gdzie kontrola społeczna jest trudniejsza ze względu na lokalne zależności i „układy". Od 15 października mamy nową władzę, od której mamy prawo oczekiwać podwyższania standardów i liczenia się z głosem społeczeństwa obywatelskiego. Tym większy sprzeciw budzi nominacja.

Władza niespecjalnie tymi głosami się przejmuje, choć wojewoda Monika Jurek (PO) nie chciała nominacji Moniki Ożóg podpisać. Nieoficjalnie słychać, że różne koterie opolskiej PO walczą między sobą za plecami Ożóg wspieranej przez PSL, udowadniając, kto jest silniejszy lokalnie i komu dziś do PSL bliżej. W ten sposób Ożóg dostała stanowisko, a społeczeństwo straciło zaufanie i wiarę w czystą grę polityków. Czy to ma być dobro całego województwa?

Kryształy całkiem niekryształowe

Oczekiwano, że marszałek Buła stanie przed zaniepokojonymi obywatelami i przyzna, że popełniono błąd, broniąc kiedyś nieuczciwej urzędniczki, ale dziś zrobione zostanie wszystko, by do powtórki nie dopuścić. Nic z tego. Inne opcje polityczne mówią zaś, że nie mają wpływu na decyzje koalicjantów, nawet te złe. A przecież Monika Ożóg spowodowała dodatkowe kary, czyli koszty, poniesione przez budżet województwa. Regionalna Izba Obrachunkowa w Opolu w trakcie kontroli stwierdziła „bezpodstawne wypowiedzenie umowy, której przedmiotem było świadczenie pełnej obsługi prawnej Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu, co w konsekwencji doprowadziło do konieczności poniesienia przez muzeum wydatków odszkodowawczych w kwocie łącznej 32 077,58 zł. (…) Udzielono zamówienia publicznego na prowadzenie bieżącej obsługi prawnej muzeum w 2019 r. z pominięciem procedur określonych w regulaminie udzielania zamówień publicznych" (za Watchdog Polska, Alina Czyżewska).

Społeczeństwo płaciło też za proces zastraszający wobec Czyżewskiej. To policzalne koszty braku kompetencji jednej urzędniczki, skądinąd być może dobrej na stanowisku przewodniczki w zamku w Niemodlinie, organizatorki eventów, bo ujmującej aparycji i wiedzy historycznej doktor habilitowanej odmówić zapewne nie można.

Media społecznościowe ośmielają i tu właśnie pod informacjami o petycji przeciw nominacji Moniki Ożóg wypowiedział się dr hab. Romuald Kaczmarek, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, historyk sztuki, specjalista od sztuki średniowiecznej: „Poznałem Panią Monikę Ożóg jako doktorantkę w Instytucie Historii Sztuki UWr i jej ówczesne postępowanie mogę uznać za co najmniej niewłaściwe, a to, co potem dało się o niej słyszeć z Opola i Niemodlina, tylko potwierdza moją wcześniejszą ocenę jej postawy. Brak minimalnego doświadczenia wymaganego na stanowisko Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków powinien być argumentem wystarczającym przeciw zgłaszaniu takiej kandydatury".

Tę ocenę, werbalizowaną również przez grono akademików, potwierdza wydana przez prof. Ewę Wipszycką-Bravo miażdżąca opinia o pracy habilitacyjnej Moniki Ożóg, do której także dotarła Alina Czyżewska: „Przytłaczająca większość pozycji nie stanowi studiów autonomicznych, a jest przedrukiem z niewielkimi zmianami cząstek dwóch książek. (…) W dorobku dr Moniki Ożóg nie znajduję uzasadnienia dla przyznania jej tytułu doktora habilitowanego".

Tytuł naukowy nie jest wystarczającą gwarancją jakości, konieczne są jeszcze inne kompetencje, np. umiejętność pracy z ludźmi, a to zespół ponad 20 osób. We współpracy była dyrektorka muzeum też się nie sprawdziła, dawni podwładni wciąż leczą traumy. W jednym z opolskich mediów przeczytałam w polemice z niezadowolonymi z wyboru nowej konserwator: „Gdzie znajdą kryształ z kwalifikacjami lepszymi od tych, które ma Ożóg". Ostatnio kryształami nazwano dwie inne osoby, akurat z wyrokami, którym do jakiejkolwiek przezroczystości daleko.

Podwładni konserwator wojewódzkiej oczekiwali 1 lutego z wielką niepewnością i obawami. Monika Ożóg dzień przed podjęciem obowiązków mówiła portalowi Opowiecie.info: „Z natury jestem adwokatem zabytków, a Opole jest w nie, niestety, bardzo ubogie". – Pycha kroczy przed upadkiem, jeden już był – przestrzegają aktywiści. Przygotowali petycję do ministra Sienkiewicza. W ciągu dwóch dni podpisało ją 251 osób. Została wysłana także do parlamentarzystów. I nic.

b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

FOT. OPOLSKI URZĄD WOJEWÓDZKI

eprasa.pl bf0249a9d2

Zejdźmy na ziemię

Przy nieprawdopodobnej centralizacji polskiego szkolnictwa każde działanie czy nawet słowo z MEN może wywołać gigantyczne reakcje społeczne

Małgorzata Żuber-Zielicz

Na wyspach Bergamutach
Podobno jest kot w butach.
(...)
Jest słoń z trąbami dwiema
I tylko... wysp tych nie ma.
Jan Brzechwa

Trudne zadanie stanęło przed nowym kierownictwem Ministerstwa Edukacji Narodowej. Z jednej strony, ma ono posprzątać po ekipach PiS i nie tylko, z drugiej – w ostatnich latach nagromadziła się po stronie opozycyjnej i została rozpropagowana masa postulatów, z których większość sprowadza się do wyliczania, czego w polskiej edukacji ma nie być (ich zsumowanie prowadzi do skrajnego wniosku, że niczego!), i przybiera utopijny charakter.

Jedna z popularnych utopijnych koncepcji w pewnym skrócie wygląda tak: przeciętny uczeń sam z siebie, bez wpływu i choćby ukierunkowania ze strony jakichkolwiek edukatorów, zdobędzie w 12 lat umiejętności i wiedzę, których osiągnięcie zajęło najzdolniejszym przedstawicielom ludzkości całe tysiąclecia. Inna modna opcja to uczynienie z Polski drugiej edukacyjnej Skandynawii. Są dwa istotne problemy. Po pierwsze, tam uważają, że to szkoła decyduje, co się w niej dzieje. W Polsce, w ramach wojny polsko-polskiej, ogromną władzę niewyrażania zgody przekazano rodzicom. A gdzie dwójka rodziców, tam trzy zdania. Po drugie, III RP (nawet w cenach porównywalnych) wydaje rocznie na edukację jednego ucznia ok. 7 tys. euro, a w Skandynawii nakłady państwa na to samo są na poziomie 15-20 tys. euro. W każdym razie szkoła ma być lekka, łatwa i przyjemna, nie wymagać czegokolwiek, szczególnie wysiłku, i tak atrakcyjna, żeby przebić najlepsze nawet kawałki z TikToka.

Trochę ironizuję, ale tylko trochę. Zdobycie realnych umiejętności wymaga pracy i ćwiczeń – żadnych cudownych pigułek ani innych czarodziejskich różdżek tu nie wynaleziono i nie zanosi się na to. Stąd motto tego tekstu. Warto zwrócić uwagę, że rynek pracy, zwłaszcza wysoko kwalifikowanej, stał się globalny. Tacy np. Chińczycy czy Hindusi tego typu utopie uważają za idiotyzmy i wyjątkowo ciężko nad rozwojem swoich kwalifikacji pracują. Pytanie więc, z czego będą żyły kolejne pokolenia Polaków, jeśli te idee za bardzo opanują uczniowskie i rodzicielskie masy.

Polska edukacja i jej działania mają wpływ na rynek dóbr i usług wart setki miliardów złotych zarówno z kieszeni publicznej, jak i prywatnej. Nic dziwnego, że po zmianie władzy nastąpił w przestrzeni publicznej wysyp różnych, często sprzecznych pomysłów na niezbędne zmiany. Znaczna ich część ma charakter nieformalnego lobbingu za pewnymi interesami czy tworzeniem zapotrzebowania na swoje usługi, np. szkoleniowe czy edukacyjne. Niektóre pomysły mają też charakter ideologiczny czy doktrynerski albo „podpierają się" intensywnym nagłaśnianiem wyników nie zawsze rzetelnych badań dzieci i młodzieży.

Minister edukacji jak saper

Tymczasem, mając władzę, każde słowo trzeba ważyć dużo bardziej, niż będąc w opozycji. Oświata to system skomplikowany i każda, pozornie drobna zmiana może oznaczać

eprasa.pl bf0249a9d2

wiele problemów. Polski minister edukacji powinien być jak saper! Szkoda, że obecna koalicja rządowa nie wyciągnęła wniosków z przypadku Leszka Millera, który w roku 2001 obiecał rezygnację z obowiązkowej matury z matematyki na poziomie podstawowym. Później matematyczka minister Krystyna Łybacka musiała tę obietnicę spełnić. Zamiast matematyki uczniowie mogli wybrać inny przedmiot. Nie przewidywano jednak wcześniej, by te przedmioty miały być egzaminacyjnymi, więc ich programy i podręczniki przypominały raczej popularnonaukowe opowieści, a nie coś, z czego można rozsądnie egzaminować.

Obecnie podobną sytuację, ale na nieporównywalną skalę, ma rząd z nieopatrznie rzuconą obietnicą likwidacji prac domowych. Bo oczywiście przy ponad 500 tys. marnie wynagradzanych i przeciążonych nauczycieli zdarzały się różne skandaliczne rzeczy, ale też wielu kluczowych umiejętności wyłącznie na lekcji, bez systematycznych ćwiczeń w domu, nie da się opanować. Są wprawdzie kraje, np. Włochy, gdzie uczniom lektury (też prace domowe w końcu) czyta się już na lekcjach, ale nie sądzę, by rezultaty były zachęcające.

Z polskich rad pedagogicznych zniknął uczeń – zastąpiły go paragrafy, procedury, regulaminy, procenty, średnie, podpisy, terminy, wnioski, sprawozdania, zgody…

W systemie oświaty mamy ponad 5 mln uczniów i przedszkolaków oraz prawie 1 mln pracowników. Za każdym uczniem i przedszkolakiem stoją osoby dorosłe – rodzice, dziadkowie, rodzeństwo. To armia ok. 20 mln ludzi silnie związanych emocjonalnie z tymi dziećmi i nastolatkami. Przy nieprawdopodobnej wręcz centralizacji polskiego szkolnictwa każde działanie czy nawet słowo z MEN może wywołać gigantyczne reakcje społeczne, często w sprawach pozornie drobnych. Wybory w 2015 r. PiS wygrało m.in. dzięki dwóm ministrom edukacji z PO. Minister Katarzyna Hall obcesowym przenoszeniem przedszkolnych zerówek do szkół wygenerowała masowy i początkowo spontaniczny ruch Ratuj Maluchy. Natomiast minister Joanna Kluzik-Rostkowska, promując się zupełnie nieprzygotowaną akcją usuwania ze szkolnych stołówek i sklepików złej żywności, kompletnie zablokowała je dokładnie na osiem przedwyborczych tygodni roku 2015.

Oczekiwać by więc można, że po takich doświadczeniach w kadencji 2007-2015 rządząca koalicja zadba o to, by w kierownictwie resortu znaleźli się ludzie obeznani praktycznie z funkcjonowaniem placówek oświatowych i obdarzeni słuchem społecznym, otwarci na debatę obywatelską. Ostatecznie zaś, jeśli koalicyjne przetargi nie pozwalają inaczej, zadba, by ta ekipa miała eksperckie wsparcie praktyków z doświadczeniem i dorobkiem. Tymczasem w sześcioosobowym kierownictwie MEN znalazły się aż trzy posłanki, za to tylko jedna osoba – z ruchu Hołowni – która jako była dyrektorka szkoły (dość specyficznej, bo specjalnej, ale zawsze) i dyrektorka poradni psychologiczno-pedagogicznej stosowne doświadczenia posiada. Skądinąd generalnie może dziwić masowy udział przedstawicieli władzy ustawodawczej we władzy wykonawczej, jaką jest rząd. W latach 2007-2015 były to incydentalne i dość szeroko dyskutowane sytuacje.

Już na początku nowe ministerstwo napotkało gigantyczną plątaninę sprzecznych oczekiwań i niekoniecznie rozsądnych czy realistycznych pomysłów. W kampanii wyborczej bardzo krytykowane było przeciążenie uczniów, szczególnie szkół podstawowych, zbyt dużą liczbą godzin i przedmiotów. Po wyborach okazało się, że nie tylko godziny niesławnego HiT zostaną zagospodarowane, ale są też pomysły na kolejne przedmioty. Przy czym nie tylko w MEN, bo kolejnego przedmiotu chce minister cyfryzacji, innego – ministra zdrowia, a jeszcze innego – minister obrony. Swoje pomysły co do szkolnej infrastruktury sportowej ma minister sportu. Oczywiście w tych pomysłach może być racjonalne jądro, ale jakoś nie wierzę, że cała czwórka zdążyła przez miesiąc poznać na wskroś swoje gospodarstwa.

III RP wydaje rocznie na edukację jednego ucznia ok. 7 tys. euro, w Skandynawii nakłady państwa są na poziomie 15-20 tys. euro.

Gdy bierze się pod uwagę niewielki dotychczas kontakt prawie całego kierownictwa MEN z realiami polskiej oświaty, dziwi fakt, że nie słychać, aby spotykało się ono z czynnymi (!) nauczycielami uczącymi w szkołach czy przedszkolach i dyrektorami. Preferuje za to towarzystwo celebrytów, samozwańczych „ekspertów", organizacji pozarządowych, wszelakich aktywistów, lobbystów i działaczy, często załatwiających własne interesy. Jedyną osobą z MEN, która na Facebooku zwróciła się do nauczycieli o zgłaszanie problemów, próbując nawiązać z nimi kontakt, była akurat ta, która oświatę zna najlepiej, bo w niej pracowała.

W związku z głośnymi zachętami ministry Barbary Nowackiej, by organizacje pozarządowe wchodziły do szkół, rodzą się przynajmniej dwa istotne problemy. Po pierwsze, dobór kadr NGO. Nauczyciel w szkole musi mieć stosowne kwalifikacje formalne, jest sprawdzany w rejestrze skazanych itp. Kto sprawdzi jakość kadry tych organizacji? Po drugie, w III RP większość organizacji pozarządowych nie działa za darmo na zasadzie wolontariatu czy ze środków pozabudżetowych. To specyficzne firmy płacące swoim pracownikom np. z budżetowych czy samorządowych grantów. No i teraz konia z rzędem temu, kto dowiedzie, że pogadanka pracownika NGO niemającego wcześniej kontaktu z daną grupą jest warta standardowe 200 zł za godzinę, a nauczyciela – cztero- czy pięciokrotnie mniej.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl bf0249a9d2

Biorąc to wszystko pod uwagę, zamiast dołączać się do koncertu życzeń, szczegółowych pomysłów, których przydatność i realizacja zależy od całościowych rozwiązań systemowych, warto, jak sądzę, przedstawić największe niebezpieczeństwa i problemy, jakie napotka nowe MEN przy próbach reformowania polskiej edukacji.

Główny problem – biurokracja

Największym problemem polskiej edukacji jest oświatowa biurokracja ze swoimi interesami. Znany badacz biurokracji Cyril Northcote Parkinson doszedł do wniosku, że instytucja, która zatrudnia powyżej 1 tys. pracowników, zaczyna się zajmować sama sobą, niezależnie od tego, do jakich zadań ją powołano. W MEN i kuratoriach jest łącznie ponad 3,5 tys. pracowników. To wystarczy, by ich papierowy świat kompletnie oderwał się od rzeczywistości edukacyjnej. Tony makulatury, którą tworzą i których tworzenia wymagają od szkół, przedszkoli i innych placówek, mają się nijak do rozwiązywania jakichkolwiek realnych problemów czy wykonywania realnych zadań.

Tu biurokracja wykazuje się wręcz dziecinną bezradnością i podobnymi tłumaczeniami. Ot, taki drobny, a wymowny i konkretny przykład. W grudniu 2013 r. posłanka SLD, a dziś senatorka Nowej Lewicy, Małgorzata Sekuła-Szmajdzińska, złożyła zapytanie poselskie w sprawie tego, jak i czy w ogóle nauczyciele wychowawcy polskich medalistów międzynarodowych olimpiad naukowych zostali uhonorowani. Medalistów było w całej Polsce ok. 30, szkół, do których chodzili, ok. 20, lista medalistów była znana w MEN, ich szkoły też. Nic, tylko wysłać mejle/listy do ich dyrektorów z prośbą o odpowiedź. Tymczasem w imieniu minister Kluzik-Rostkowskiej wiceminister edukacji dr Maciej Jakubowski odpowiedział kwieciście na pięciu stronach, mając do pomocy 3,5 tys. urzędników MEN i kuratoriów, że tych informacji nijak zdobyć się nie da. To zapytanie (nr 5726) wraz z odpowiedzią nadal jest na stronie Sejmu.

Urzędnicy polskiej oświatowej biurokracji dbają głównie to, by wychodzące z MEN dokumenty ładnie i „słusznie" brzmiały. I by nie pozwoliły ich obciążyć odpowiedzialnością za cokolwiek. Realnym wpływem tych dokumentów na rzeczywistość się nie przejmują. Kontrolują również wyłącznie biurokratyczną stronę działalności placówek – podpisy, pieczątki, procedury, sprawozdania itd. Z polskich rad pedagogicznych zniknął uczeń – zastąpiły go paragrafy, procedury, regulaminy, procenty, średnie, podpisy, terminy, wnioski, sprawozdania, zgody…

Sprzyja temu dość popularny utopijny pogląd, że szkoła będzie działała idealnie, gdy się jej funkcjonowanie odpowiednio drobiazgowo ureguluje. Tyle że żadna procedura jeszcze nikogo niczego nie nauczyła ani tym bardziej nie wychowała. Jeśli niektórzy nawołują dzisiaj, by nauczyciele wchodzili w ogólnoludzkie relacje z uczniami, aby poprawić ich psychiczny dobrostan, to tak niestety się nie da. Albo nauczyciel jest autonomiczną jednostką – wtedy, owszem, ma możliwość wchodzenia w relacje – albo wykonawcą hiperdrobiazgowych zewnętrznych regulacji i wtedy z relacji nici! Donald Tusk już w 2012 r. obiecywał publicznie nauczycielom uwolnienie od biurokracji, wstrząśnięty absurdami, jakie pokazali mu pedagodzy. Po czym wyjechał do Brukseli, a wiceminister Joanna Berdzik, o ile wiem, odrzuciła później wszystkie rekomendacje specjalnie powołanej komisji. Teraz premier Donald Tusk ma drugą szansę na spełnienie danej wtedy obietnicy.

Minister każe, nauczyciel zostaje z problemem

W polskim systemie biurokratycznym każdy problem – nie tylko edukacyjny – da się rozwiązać… na papierze. Wystarczy zadekretować, że go nie ma, i po kłopocie. W popularnym amerykańskim podręczniku dla nauczycieli „Uczymy się nauczać" Richarda I. Arendsa jest charakterystyczna uwaga: „Idealnie byłoby, gdybyś zadał (i sprawdził) uczniom jedną pracę domową na tydzień oraz, również raz w tygodniu, zrobił im sprawdzian. Samo to jednak zajmie Ci w tygodniu ok. 20 godzin, musisz więc bardziej realistycznie organizować swoją pracę". W Polsce taka rada byłaby niemożliwa. Nikt, wprowadzając jakieś obowiązki nauczyciela czy prawa ucznia, nie liczy się z zasobami, czyli przede wszystkim z czasem, ale również np. możliwościami percepcyjnymi nauczycieli.

eprasa.pl bf0249a9d2

W polskich szkołach, szczególnie publicznych, uczniowie są bardzo zróżnicowani choćby pod względem potencjału. Co z tym robią kolejni ministrowie edukacji? Ano „unieważniają" tego typu problemy magicznym zwrotem typu „nauczyciel indywidualizuje" albo „dyrektor zapewni". I już. Oczywiście minister nigdy nie odpowie na pytanie jak. Nauczyciel, mając w klasie jedną czy dwie godziny lekcyjne w tygodniu, a pod opieką w sumie 500 i więcej uczniów, ma na jednego ok. 2,5 minuty w tygodniu lub mniej. Nawet twarzy z nazwiskami większości uczniów nie jest w stanie powiązać. Nikogo to jednak nie obchodzi – „nauczyciel indywidualizuje", napisał minister i on ma problem z głowy. W krajach cywilizowanych, np. anglosaskich, owo indywidualizowanie – wobec obiektywnego faktu różnic w uczniowskich potencjałach i aspiracjach – ma postać chociażby iluś równoległych grup edukujących się na różnych poziomach z takich przedmiotów jak matematyka, i to już od szkoły elementarnej – byłam i widziałam.

Podobnie minister w ramach modnej ostatnio tzw. edukacji włączającej da uczniom o znacznych dysfunkcjach intelektualnych lub psychicznych prawo uczęszczania na zwykłe lekcje w zwykłych klasach wedle woli rodziców tych dzieci, bo tak jest „dobrze i słusznie". Tyle że nie idzie za tym żadne wsparcie dla nauczyciela, choćby organizacyjne. Minister się polansował „humanitarnym" stosunkiem do uczniów z dysfunkcjami, przerzucając problem na nauczyciela/dyrektora. To klasyczne dawanie przez urzędników panazagłobowych Niderlandów („Daję, bo nie moje!"), częsty chwyt nie tylko w tej sprawie. Widziałam nauczanie włączające w USA – tam uczniowie z dysfunkcjami na jednych zajęciach byli razem z resztą swojego rocznika, a na drugich, np. na matematyce, mieli zajęcia osobno z wyspecjalizowanym nauczycielem. Wszystko oczywiście w znacznie mniejszych grupach niż stołeczne 36-osobowe molochy.

Podobne przykłady oderwania od edukacyjnej rzeczywistości można nieraz spotkać w pedagogice akademickiej. Choćby w postulacie wprowadzenia w całej polskiej oświacie tzw. ocen opisowych.

Praca domowa, czyli co?

Akurat w chwili kończenia tego tekstu okazało się, że moje przestrogi przed zagrożeniami związanymi z brakiem praktycznych doświadczeń obecnego kierownictwa MEN nie były czczym czarnowidztwem. Oto ogłosiło ono, że wyda rozporządzenie zakazujące prac domowych w szkołach – od prima aprilis. Są z tym co najmniej dwa problemy. Pierwszy – tego zakazu nie można wprowadzić rozporządzeniem. Ustawa (!) Karta nauczyciela stanowi, że „nauczyciel w realizacji programu nauczania ma prawo do swobody stosowania takich metod nauczania i wychowania, jakie uważa za najwłaściwsze spośród uznanych przez współczesne nauki pedagogiczne, oraz do wyboru spośród zatwierdzonych do użytku szkolnego podręczników i innych pomocy naukowych". Na razie we współczesnych metodykach nauczania wielu przedmiotów prace domowe występują. MEN musiałoby więc albo zmienić Kartę nauczyciela, albo unieważnić sporą część polskiej i światowej współczesnej myśli metodycznej.

Drugi problem jest praktycznie nie do rozwiązania. Pracę domową potocznie kojarzy się z tym, co uczniowi szkoła zleca do wykonania w domu. Tymczasem okazało się, że nie ze wszystkiego, co uczeń robi w domu, MEN chce rezygnować. Zaczęło się od lektur i zaraz pojawiły się kolejne wyjątki. W szkołach mamy wiele przedmiotów ze swoją specyfiką, różne grupy wiekowe, różne środowiska, różne grupy klasowe i różnych nauczycieli/szkoły ze swoimi pomysłami. Nie da się enumerycznie wyliczyć w akcie prawnym dziesiątków tysięcy przypadków wyłączeń od zakazu. Co więcej, sama definicja pracy domowej budzi wątpliwości. Ma ona nie być obowiązkowa i nie na stopień. I niech teraz np. matematyk zada, chętnym jak najbardziej, 25 zadań na tydzień czy dwa. Potem zaś zrobi sprawdzian, na którym będą wyłącznie zadania z tego zestawu. Złamał zakaz czy nie złamał? Kto miałby takie kwestie rozstrzygać?

Jeszcze większe problemy rodzą się w szkołach artystycznych czy sportowych, gdzie szczególnie aktualne jest powiedzenie „trening czyni mistrza". Znaczna część tego treningu odbywa się poza szkołą, głównie w domu.

Pojawiają się także kuriozalne ideologie mające wesprzeć zakaz. Oto wiceministra Katarzyna Lubnauer twierdzi, że ten zakaz sprzyja wyrównywaniu szans edukacyjnych – jednym uczniom ma kto w domu pomagać, a drugim nie. Stawiam dolary przeciw kasztanom, że w środowiskach „defaworyzowanych edukacyjnie" uczniowie uzyskany czas poświęcą raczej na jeszcze więcej zabaw w sieci. Rodzice mający świadomość wagi wynoszonych ze szkoły umiejętności zadbają zaś o to, by ich dzieci ćwiczyły, co trzeba, ile trzeba, a i dodatkowe wsparcie im zakupią. Zanim ich koledzy odkryją pożytki z regularnych ćwiczeń, na pełny rozwój potencjału może już być za późno…

> Zakazu prac domowych nie można wprowadzić rozporządzeniem. Ustawa Karta nauczyciela stanowi, że „nauczyciel (…) ma prawo do swobody stosowania takich metod nauczania i wychowania, jakie uważa za najwłaściwsze".

Małgorzata Żuber-Zielicz – instruktorka harcerska, nauczycielka fizyki, wicedyrektorka LO im. Mikołaja Kopernika w Waszawie oraz dyrektorka Liceum i Gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie, gdzie m.in. wprowadziła program Międzynarodowej Matury (IB); założycielka Mazowieckiego Stowarzyszenia na rzecz Uzdolnionych (MSU), przewodnicząca Komisji Edukacji Rady m.st. Warszawy w latach 2006-2018

eprasa.pl bf0249a9d2

Czy Biden musi odejść?

Wiek i błędy Bidena grają na korzyść Trumpa

Jakub Dymek

Demokratom pozostaje mieć nadzieję, że 81-letni prezydent nie zapadnie poważnie na zdrowiu w trakcie wyścigu wyborczego.

Jest 20 stycznia 2024 r. i za 365 dni Donald Trump zostanie zaprzysiężony na 47. prezydenta USA – tak przynajmniej każą nam wierzyć sondażownie, bukmacherzy i spece od kampanii wyborczych. Oczywiście scenariusze przyszłości pisze się palcem na wodzie, a nie – jak ładnie mawiają Amerykanie – wykuwa w skale. Jeśli jednak wierzą w to również demokraci, amerykańskie elity i opinia publiczna, to… No właśnie, to co?

Jeśli demokraci i establishment wierzą, że wygrana Trumpa będzie końcem amerykańskiej demokracji – a tak mówią – a zarazem sądzą, że jego wygrana staje się nieuchronna, to czy nie powinni domagać się wszelkich działań, które pomogą uchronić ich ojczyznę przed stoczeniem się w faszyzm? Na przykład wymiany kandydata, który przegrywa w sondażach z Trumpem (tak się składa, że to urzędujący prezydent), i zastąpienia go kimś innym? Jestem tylko skromnym publicystą, ale gdybym wierzył, że mojej ojczyźnie grozi zamordyzm i tyrania, domagałbym się od moich reprezentantów podjęcia wszelkich działań, które mogłyby zapobiec najgorszemu.

Biden jest prezydentem, który wchodzi w ostatni rok pierwszej kadencji urzędowania z najgorszym wynikiem ze wszystkich po 1945 r. „Scranton Joe" przegrywa z „Orange Manem" 1 pkt proc. w sondażach ogólnokrajowych i średnio 5 pkt proc. w siedmiu najważniejszych, decydujących stanach.

Demokratyczny upór i hazard

Rzecz jasna, dziś dyskusja o tym, czy demokraci mogą jeszcze wymienić kandydata, jest dość teoretyczna. Przede wszystkim dlatego, że nie umożliwiła jej w porę sama Partia Demokratyczna. Z góry ustalono, że szerokich prawyborów nie będzie (a partia nie poprze kontrkandydatów wobec głowy państwa), Biden nie wymieni dołującej w sondażach wiceprezydentki ani nie wycofa się na rzecz młodszego frontrunnera. Teraz możliwość rejestracji kandydatów w wielu stanach się kończy, prawybory już trwają, a Biden zdecydował się ponownie ubiegać o urząd prezydenta z Kamalą Harris u boku. Wyborcom pozostaje oglądać ten spektakl w nadziei, że ich 81-letni prezydent – najstarszy w historii kandydat – nie zapadnie poważnie na zdrowiu w trakcie wyścigu wyborczego. A jeśli jednak będzie musiał wycofać się z powodów zdrowotnych, to najlepiej na tyle późno, by ewentualnego następcę wyznaczył Krajowy Komitet Partii Demokratycznej, a nie elektorzy na letniej konwencji.

Ale to, że wymiana kandydata byłaby w tym momencie trudna (na kogo?), nie znaczy, że cała dyskusja o położeniu Bidena i jego dziedzictwie jest bez sensu. Przeciwnie. Warto spojrzeć, co się wydarzyło w ciągu minionego roku i kilku ostatnich tygodni, i zadać sobie pytanie, dlaczego Trump wygląda na murowanego kandydata do prezydentury.

Rok temu mogło się wydawać, że Biden będzie tym prezydentem, za czasów którego gospodarka zaliczy miękkie lądowanie, Ukraina przeprowadzi udaną kontrofensywę lub chociaż wybroni się do czasu rozpoczęcia negocjacji, proces normalizacji na Bliskim Wschodzie będzie postępował, a USA wrócą na ścieżkę liberalnej hegemonii (po drodze niszcząc resztki fantazji o jakiejś europejskiej niezależności). Kolejna elekcja rozstrzygnie się zaś jako referendum na temat aborcji i demokracji – wiwat 2024!

Dziś widać, że choć udało się zrealizować cel pierwszy i ostatni, to z resztą jest źle, jeśli nie tragicznie. Prezydent USA jest zakładnikiem nie swoich wojen, nie swoich decyzji i nie swojego kalendarza – co w przypadku „najpotężniejszego człowieka na świecie" wygląda niepokojąco. Za chwilę zajmiemy się polityką krajową, ale wiarygodność Bidena podważa dynamika polityki zagranicznej, co jest ważne dla nas. Dlaczego wygląda to tak źle?

Błędy kosztują

Prezydent USA podejmuje jedną złą decyzję za drugą, działając w przekonaniu, że musi tak robić, bo

eprasa.pl bf0249a9d2

jego następca podjąłby jeszcze gorsze. Jak szkodliwa, wręcz destrukcyjna może być to logika, chyba nie trzeba nikomu tłumaczyć. Przykład pierwszy: Biden – jak mądrze i w porę zauważył Stephen Wertheim, badacz związany z Carnegie Endowment for International Peace – udzielając bezwarunkowego poparcia Izraelowi, „uczynił Amerykę współwinną wszystkiego, co stanie się potem". Gdyby Netanjahu zakończył wojnę w tydzień, a liderzy Hamasu dobrowolnie dali się zamknąć w więzieniu, Biden święciłby triumfy.

Jako że stało się coś zgoła przeciwnego, a po ponad 100 dniach wojny rząd Netanjahu mniej walczy z Hamasem, a bardziej o własne przetrwanie i polityczną przyszłość, Biden musi być sponsorem, adwokatem i żyrantem prawicowego awanturnika, którego wcale nie popiera. To, co robi Izrael, idzie na konto USA. A jak pokazało jedno z badań opinii publicznej w krajach arabskich, społeczeństwa regionu uważają działania Waszyngtonu za bardziej niebezpieczne niż Tel Awiwu. W tym klimacie politycznym to osiągnięcie samo w sobie. A fakt, że kolejne bojówki atakują amerykańskie pozycje i marynarka wojenna USA będzie teraz bombardować kolejne cele bez planu na przyszłość, tylko sytuację pogorszy.

Ale prezydent Biden jest przekonany, że musi popierać Izrael, bo lepiej, żeby on znosił upokorzenia ze strony Netanjahu, niż żeby Trump doszedł do władzy i wciągnął USA w tę wojnę albo dał Izraelowi carte blanche na wszystkie, najgorsze nawet rozwiązania.

Tak przedstawia się ta dynamika: lepiej zdecydować się na rozwiązania złe, bo Trump zdecyduje się na jeszcze gorsze. Analogicznie w sprawie Jemenu (i pewnie za chwilę Iranu): lepsze bombardowania i „demonstracja siły" niż wciągnięcie USA w wojnę w regionie. Pal sześć, że jedno prowadzi do drugiego, ale żeby to wiedzieć, trzeba przestać czytać wyłącznie jastrzębi i opuścić mentalną strefę zimnej wojny...

Ukraina? To samo. Najpierw Waszyngton napierał na skazaną na porażkę kontrofensywę, by później użyć tej porażki jako oficjalnego powodu ograniczenia wsparcia dla Kijowa i naciskania na porozumienie z Rosją. Słowem, demokraci, bojąc się, że republikanie będą naciskali na zamrożenie konfliktu w Ukrainie na rosyjskich warunkach, sami postanowili naciskać na to samo.

Reelekcja warta galon benzyny

Przez to, że Biden dziedziczy już dwie wojny (a także konsekwencje działań poprzednika), kurczy mu się pole, na którym powinien osiągnąć spektakularny sukces, obronić swój dorobek i dziedzictwo. Musiałby dowieźć sukces w polityce krajowej, tu jednak jest ofiarą percepcji i oczekiwań, na które ma niewielki wpływ. Jak pięknie wytłumaczył na stronach „New York Timesa" dziennikarz finansowy i pisarz Roger Lowenstein, Amerykanie widzą jedno – że ich realne wynagrodzenia rosną wolniej niż za Trumpa. Czasami tyle wystarczy, by zakończyć prezydenturę.

W optyce mediów głównego nurtu lata Trumpa były jednym wielkim skandalem, pochodem faszyzmu, torturą i gwałtem na demokracji, upadkiem wszystkiego, co dobre i piękne. Jednak dla normalnych ludzi, którzy ciężko pracują, mało się przejmując zdaniem działu opinii „NYT" czy „Washington Post", epoka Trumpa była czasem, kiedy zarobki rosły, podczas gdy za Bidena stoją w miejscu. Jak na łamach tej samej gazety dodawał Paul Donovan z banku UBS, dla ludzi rzut oka na półki w markecie i cena snickersa ma większe znaczenie niż wskaźniki inflacji podawane przez ekonomistów i Biały Dom.

Nigdy dość przypominania, o ile surowiej amerykańscy wyborcy oceniają władzę, jeśli chodzi o inflację. W Polsce partia, za której rządów inflacja w przypadku dóbr konsumenckich przebiła 18%, zdobyła najwięcej głosów w wyborach. W USA dziś wskaźnik inflacji dla produktów spożywczych – najbardziej dotkliwy – wynosi 3,9% rok do roku i 0,2% miesiąc do miesiąca w trendzie spadkowym, a społeczeństwo chce z tego powodu powrotu Trumpa!

Trump może mówić, że reprezentuje stabilizację, czasy, gdy pensje rosły, a USA nie sponsorowały cudzych wojen, Biden zaś symbolizuje chaos. I na pewnym, dość powierzchownym poziomie będzie miał rację. Dodatkowym argumentem Trumpa jest etykietka izolacjonisty, którą fałszywie przyklejono mu w latach 2015-2020. Obecnie – w świetle tego, co dzieje się na świecie – „izolacjonistyczna prezydentura" brzmi dla wielu Amerykanów nie jak groźba, lecz jak obietnica.

Opinie mediów głównego nurtu na temat „faszyzmu" Trumpa i stabilnej władzy Bidena są odklejone od opinii zwykłych ludzi. Także dlatego, że zdecydowanej większości społeczeństwa nie podoba się wiek obu kandydatów, ale media ten temat zazwyczaj taktownie omijają, obawiając się oskarżeń o ageizm lub szkodzenie swojemu kandydatowi.

I tu wracamy do Bidena. Prezydent gra teraz o swoje dziedzictwo – czy zostanie tym, który uratował Amerykę przed trumpizmem, czy tym, za którego kadencji Ukraina przegrała wojnę, w Stanach zakazano aborcji, Bliski Wschód zapłonął, a on sam oddał stery władzy ekipie spod szyldu Make America Great Again? Każdy miesiąc tkwienia w tym kołowrotku konwencjonalnych (i konwencjonalnie błędnych) decyzji czyni ten drugi scenariusz bardziej prawdopodobnym.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Dla ludzi rzut oka na półki w markecie i cena snickersa ma większe znaczenie niż wskaźniki inflacji podawane przez ekonomistów i Biały Dom.

eprasa.pl bf0249a9d2

Zuzanna Muszyńska

Planeta ludzi

Mamy powód do dumy – nasze paszporty należą do najsilniejszych na świecie

W XXI w. paszport to bardzo poszukiwany towar, podobnie jak nieruchomości czy dzieła sztuki. Poza czarnym rynkiem paszportowym (kradzieże i fałszerstwa) istnieje rynek oficjalny – sprzedaży obywatelstwa za określoną kwotę, co czyni paszport zabawką dla bogatych, a obywatelstwo kwestią arbitralną. Wystarczy znaleźć w internecie narzędzie do porównywania paszportów, takie jak Passport Index firmy Arton Capital czy Henley Passport Index, a wskażą one zainteresowanym paszporty „najlepsze" i „najgorsze".

Polska znalazła się w styczniu 2024 r. na szóstym miejscu prestiżowego Henley Passport Index (HPI), pokonując m.in. Stany Zjednoczone i Kanadę. To nasz najlepszy wynik w historii rankingu. Polski paszport umożliwia bezwizowy wjazd do 189 krajów.

Silni mobilni

Zwycięzcami rankingu są ex aequo Singapur, Japonia, Niemcy, Włochy i Francja (wjazd do 194 krajów), na drugim miejscu znalazły się Finlandia, Korea Południowa i Szwecja (193). Podium zamknęły Austria, Dania i Holandia (192). Ranking HPI opiera się na danych Zrzeszenia Międzynarodowego Transportu Lotniczego (IATA), które monitoruje dostępność poszczególnych krajów bez konieczności wcześniejszego ubiegania się o wizy. Zestawienie HPI ukazuje się od 19 lat. Obejmuje 199 paszportów i 227 celów podróży. Polskę wyprzedzają jeszcze Belgia, Luksemburg, Norwegia, Portugalia i Wielka Brytania oraz Grecja, Malta i Szwajcaria.

Henley Passport Index daje wgląd w scenę światowych graczy. O ile np. pod koniec 2023 r. Japonia straciła pierwsze miejsce na rzecz Singapuru, o tyle w najnowszym rankingu oba kraje zwyciężają, wraz z czterema państwami Wspólnoty Europejskiej. Na szczycie listy obecnie są państwa azjatyckie i europejskie. Dekadę temu były to USA i Wielka Brytania. Teraz Stany Zjednoczone po długim okresie spadków wspięły się o jedno oczko z wynikiem bezwizowego wjazdu do 188 krajów, podobnie jak Kanada i Węgry.

Złote paszporty lub wizy można kupić w zamian za inwestycje w aż 25 krajach, jak podaje kancelaria Henley & Partners, która publikuje powyższy ranking oraz świadczy usługi w załatwianiu drugiej rezydentury. Wizy są tańsze i wydawane na określony czas, paszporty kosztują więcej i są na zawsze.

Państwa Unii Europejskiej nie wydają już złotych wiz obywatelom Rosji i Białorusi, ale handel legalnym pobytem w Unii nadal kwitnie. Złote wizy w Unii można uzyskać w Austrii, w Portugalii, w Grecji, we Włoszech, w Bułgarii, w Niemczech i w Belgii. Irlandia wycofała swój program, Holandia właśnie to robi. Portugalia, w której w zamian za prawo pobytu inwestują głównie Chińczycy, Brazylijczycy i Amerykanie, zaostrza zasady. Obecnie cudzoziemcy spoza UE otrzymają pozwolenie na pobyt, jeśli wpłacą co najmniej 500 tys. euro na wskazane fundusze inwestycyjne lub projekty związane z nauką albo kulturą. Rząd w Lizbonie chce w ten sposób chronić rynek nieruchomości przed eskalacją kryzysu mieszkaniowego.

Program złotych paszportów jako ostatnia w Unii kontynuuje Malta, argumentując, że przyznawanie narodowości należy do kompetencji kraju członkowskiego UE. Drugie obywatelstwo poprzez inwestycje najszybciej, bo w kilka miesięcy, można uzyskać w państwach karaibskich, takich jak Grenada, Saint Kitts i Nevis, Saint Lucia czy Dominika. Branża programów obywatelskich szybko się rozwija, jej wartość szacuje się globalnie na ponad 30 mld dol.

Podwójne obywatelstwo to również potencjalna pułapka. Anna Netrebko, obywatelka Rosji i Austrii (paszport za wybitny talent), rozwścieczyła austriacki rząd, wspierając separatystów donieckich, którym przekazała w 2014 r. ponad 1 mln rubli (ponad 18 tys. dol.). Twierdziła co prawda, że jej celem

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl bf0249a9d2

było wsparcie artystów teatru, którego budynek został częściowo uszkodzony, i utrzymywała, że pozostaje apolityczna, ale kiedy zapozowała do zdjęcia z flagą Noworosji, Austriackie Linie Lotnicze zerwały z nią kontrakt. Po inwazji Rosji na Ukrainę w 2022 r. czołowa sopranistka straciła z kolei kontrakt w Operze Nowosybirskiej w związku ze swoimi komentarzami potępiającymi wojnę, gdy podobnie jak inni rosyjscy artyści w Europie i Stanach Zjednoczonych znalazła się pod presją, aby zająć stanowisko w sprawie ataku Kremla. Dyrekcja opery napisała w oświadczeniu, że „mieszkanie w Europie i możliwość występowania w europejskich salach koncertowych wydają się ważniejsze dla artystki niż losy ojczyzny". Równocześnie nowojorska Metropolitan Opera utrzymała wobec diwy zakaz występowania, nie zapominając o jej prokremlowskich poglądach.

Rosja, skoro już o niej mowa, nie wykonuje wielkich ruchów w rankingu HPI, tkwi na 55. pozycji, z bezwizowym wjazdem do 119 krajów.

Dr Christian H. Kälin z Henley & Partners zauważa, że ogólna tendencja zmierza w stronę większej swobody przemieszczania się – średnia liczba krajów, do których podróżni mogą wjechać bez wizy, niemalże podwoiła się, z 58 w 2006 r. do 111 w 2024 r., natomiast luka w mobilności pomiędzy państwami na górze i na dole indeksu jest większa niż kiedykolwiek. Obywatele krajów z czołówki rankingu mogą podróżować do aż 166 państw więcej niż Afgańczycy. Siła, czy raczej słabość, afgańskiego paszportu (bezwizowo do 28 miejsc) plasuje go na ostatniej, 104. pozycji, przed nim są Jemen na 92. miejscu, Pakistan i Somalia razem na 93., Irak na 94. oraz Syria na 96.

Nie masz, nie jedziesz

Na Ellis Island w Nowym Jorku na przełomie XIX i XX w. niemal ciągle przybywali imigranci. Pobieżne badanie lekarskie i rozmowa najczęściej wystarczały, żeby wjechać w głąb kraju. Jednak I wojna światowa położyła kres temu największemu we współczesnych dziejach zbliżeniu się do otwartego świata. Popierany przez Ligę Narodów dokument paszportowy stał się symbolem wolności dla uprzywilejowanych i ciężarem dla innych. Stany Zjednoczone już cztery lata później na mocy ustawy antyimigracyjnej z 1924 r. zaczęły zamykać porty dla Włochów, Żydów, Słowian, Greków i Japończyków w imię „zachowania amerykańskiej jednorodności". Do rozpoznania kraju pochodzenia imigranta służył świeżo wydawany paszport. Jednolite przepisy spolaryzowały świat.

Dziś w Stanach przebywa 11 mln tzw. nieudokumentowanych imigrantów. Czterech na pięciu mieszka w USA od ponad 10 lat, ciężko pracuje, płaci podatki, ale wielu prawdopodobnie nie dożyje uregulowania swojego statusu, gdyż każda z trzech ścieżek imigracyjnych – zatrudnienia, łączenia rodzin oraz ochrony humanitarnej – podlega rygorom liczbowym i kwalifikacyjnym, w związku z czym czas oczekiwania w jednej z trzech kolejek wynosi dla najliczniejszych grup imigracyjnych: Meksykanów, Chińczyków, Hindusów i Filipińczyków, nawet 20 lat. obozy przejściowe dla osób z nieudokumentowanym pobytem itp.

Dla tych, którzy marzą o zalegalizowaniu pobytu, USA stają się często dożywotnim więzieniem – złapani na granicy bez dokumentów otrzymują zakaz wjazdu na co najmniej 10 lat. Tuż obok żyją sobie Amerykanie… bez paszportów. Ważny dokument podróżny w latach 90. miał bowiem zaledwie co 10. obywatel, dziś ma go co drugi. Ale to m.in. dlatego, że po 11 września 2001 r., gdy zaczęto wpisywać na czarne listy według klucza terror-islam-Arab mieszkańców wielu krajów arabskich i islamskich, Amerykanie, którzy przed zaostrzeniem kontroli granicznych mogli swobodnie podróżować do Kanady, Meksyku czy na Karaiby, ruszyli po paszporty. Ciekawostka: w ostatnich latach Krikowie (Muskogee) wywalczyli sobie prawo wjazdu i wyjazdu z USA (również do Kanady, Meksyku i na Karaiby) na podstawie karty plemiennej zamiast amerykańskiego paszportu.

Według danych ONZ w 2020 r. było na świecie 281 mln migrantów międzynarodowych, wśród nich 36 mln dzieci. Teraz, kiedy armia Izraela zabiła ok. 25 tys. Palestyńczyków, a 1,9 mln osób zostało przesiedlonych, rząd brytyjski odmawia poluzowania reguł imigracyjnych dla palestyńskich dzieci, choć po ataku Rosji na Ukrainę wprowadził zmiany w programie łączenia rodzin,

Polski paszport umożliwia bezwizowy wjazd do 189 krajów.

Państwa Unii Europejskiej nie wydają już złotych wiz w zamian za inwestycje obywatelom Rosji i Białorusi.

Tymczasem prezydent Obama na razie wygrywa z prezydentem Trumpem w deportacjach – za obu jego kadencji wydalono w sumie ponad 5 mln ludzi, czym zdobył sobie przydomek *deporter-in-chief* (naczelny deportujący), podczas gdy Trump nie dotrzymał jednej z kluczowych obietnic wyborczych – wydalenia wszystkich nielegalnych imigrantów. Jego spuścizna to nieco ponad 2 mln deportowanych. Jeśli wygra tegoroczne wybory prezydenckie, na pewno będzie chciał pobić rekord Obamy. Już zapowiada masowe deportacje, w ramach którego do końca 2023 r. wydano Ukraińcom ok. 70 tys. wiz. Trudne do wypełnienia kryteria dotyczą zarówno sponsora wizy (próg zarobków), jak i beneficjenta (test językowy i stopień pokrewieństwa). Gdy 80 rodzin z brytyjskim obywatelstwem lub rezydencją i palestyńskimi korzeniami zwróciło się do ministra spraw zagranicznych Davida Camerona z prośbą o zrównanie szans dla ofiar wojny w Palestynie, odpowiedź brzmiała: nie.

Posiadacze silnych paszportów nie oglądają się za siebie, patrzą

eprasa.pl bf0249a9d2

w przyszłość. Lotnisko Changi w Singapurze jako pierwsze na świecie całkowicie rezygnuje z wymogu paszportowego, zastępując wszystkie punkty kontroli migracyjnej inteligentnymi bramkami rozpoznającymi twarz. Lecący do Australii podróżny również składa wniosek o elektroniczne zezwolenie na podróż, odczytuje za pomocą smartfona chip w biometrycznym paszporcie *et voilà*! – jego wizerunek wędruje do władz australijskich, a on po przyjeździe na lotnisko nie musi wyciągać paszportu z torby. Według ankiety przeprowadzonej w 2022 r. przez IATA 75% pasażerów chce korzystać z danych biometrycznych zamiast paszportów i kart pokładowych. Do 2030 r. wiele lotnisk pójdzie śladem Singapuru, Dubaju czy Australii, a do 2050 r., po globalnym ujednoliceniu systemów imigracyjnych, obejmie to wszystkich podróżujących na świecie.

Niepokoi to ekspertów ds. prywatności. O ile bowiem w USA służby graniczne wyrzucają skany twarzy obywateli amerykańskich po 12 godzinach, o tyle tożsamość biometryczna nieobywateli jest przechowywana jako dowód wjazdu i wyjazdu przez 75 lat.

Niebiały człowiek gdzieś w drodze do UE, złapany przez służby graniczne, chcąc uniknąć deportacji do pierwszego kraju unijnego, do którego dotarł, przypala sobie lub okalecza koniuszki palców, by nie dało się ich zeskanować i wprowadzić do Europejskiego Zautomatyzowanego Systemu Rozpoznawania Odcisków Palców.

W USA czas oczekiwania na obywatelstwo dla Meksykanów, Chińczyków, Hindusów i Filipińczyków wynosi nawet 20 lat.

Obywatel, czyli kto

W maju 2014 r. przebywający w Moskwie sygnalista Edward Snowden oświadczył, że został bezpaństwowcem. Utracił amerykański paszport, na rosyjski poczeka osiem lat. Miał wizę rosyjską, mieszkał wygodnie i bezpiecznie w stolicy dużego kraju. W tym samym roku według szacunków Biura Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców na świecie było 10 mln ludzi bez przynależności państwowej.

Bezpaństwowcy zwykle nie płacą podatków, nie idą do wojska. Ale też żyją bez ochrony prawnej, narażeni na szykany i deportacje. Ponad jedna trzecia bezpaństwowców to dzieci – bez dokumentów, z minimalnym wsparciem socjalnym, bez przyszłości. W 2014 r. ONZ postawiła przed społecznością międzynarodową ambitny cel: wyeliminować całkowicie bezpaństwowość do 2024 r. Jako jeden z liderów programu Towards Zero Statelessness Tajlandia zdecydowała w 2016 r. o unarodowieniu 80 tys. bezpaństwowych dzieci. Bezpaństwowość to przede wszystkim narzędzie ucisku wobec mniejszości – najwięcej osób bez przynależności państwowej żyje w Bangladeszu, Wybrzeżu Kości Słoniowej, Mjanmie i właśnie w Tajlandii. W połowie 2022 r. według danych ONZ oficjalna liczba bezpaństwowców na świecie spadła do 4,3 mln.

Proces naturalizacji jest zazwyczaj kosztowny i skomplikowany, choć znany jest jego korzystny wpływ na integrację społeczną nowych obywateli. W Szwajcarii, jak pokazują badania, zapisują się oni chętniej do lokalnych klubów, czytają lokalne gazety. W Niemczech wraz z uzyskaniem obywatelstwa poprawia się sytuacja ekonomiczna imigrantów. Bundestag właśnie zatwierdził przepisy ułatwiające zdobycie niemieckiego obywatelstwa. Skorzysta z nich przede wszystkim mniejszość turecka. Jedną z ważniejszych zmian jest odejście państwa niemieckiego od *ius sanguinis*, prawa krwi, w kierunku *ius soli*, prawa ziemi. Teraz każde dziecko legalnych imigrantów urodzone na niemieckiej ziemi zostanie obywatelem niemieckim.

Według badacza migracji z Toronto Josepha Carensa największa nierówność dzisiejszych czasów to obywatelstwo. Urodzić się w kraju Europy Zachodniej albo w Ameryce Północnej to jak mieć szlachetne urodzenie w czasach feudalnych. Urodzić się w kraju biednym Azji lub Afryki to jak urodzić się chłopem w średniowieczu, ocenia Carens. Jeżeli można wyciągnąć jakąś lekcję z historii paszportu, to brzmi ona tak: paszporty zawsze były i nadal są instrumentem służącym interesom rządzących.

Największa nierówność dzisiejszych czasów to obywatelstwo.

Autorka tego tekstu mieszkała za granicą 28 lat – w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Niemczech i Wielkiej Brytanii. Ma jeden paszport – polski. Pokonała niejedną bramę, nieraz doświadczyła imigracyjnych turbulencji, ale będąc białą migrantką, zawsze czuła się bezpieczna i wolna.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bf0249a9d2

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Wara od naszych!

Pisał kiedyś prymas Józef Glemp do prowincjała redemptorystów o wypowiedzi Tadeusza Rydzyka: „Byłem upokorzony jego pychą". Ja zaś, gdy wysłuchałem 23 stycznia oświadczenia dr. Dudy, też czułem się upokorzony jego pychą. A także arogancją. Oraz pogardą, jaką ten – było nie było – prezydent RP żywi do swojego państwa. Pogardą wobec orzeczeń sądów wydawanych w imieniu Rzeczypospolitej.

Dr Duda jest prawnikiem. Doktorem prawa. Ten doktorat zrobił na mojej uczelni – Uniwersytecie Jagiellońskim. Może nawet minęliśmy się kiedyś na ulicy, bo prawo i polonistyka UJ mieszczą się w tym samym gmachu. Ale czy mój Uniwersytet zasłużył na takiego absolwenta? Wszak prawnik to jakże osobliwy! Niedawno oświadczył, że Kamińskiego z Wąsikiem „uniewinnił". A przecież prezydent nie ma takiej mocy – uniewinnić może tylko sąd. Czyli przejęzyczenie? Jeżeli tak – to nigdy niesprostowane. Jednak gdy się pamięta, że dr Duda ułaskawił kiedyś osoby skazane nieprawomocnie – więc w świetle prawa niewinne – to nieuchronne staje się domniemanie, że on ani prawa, ani logiki zwyczajnie nie zna. A ostatnio porównał uwolnienie Kamińskiego i Wąsika z wyjściem z więzienia Włodzimierza Karpińskiego. Co znaczy, że nie odróżnia postawienia zarzutów przez prokuraturę od prawomocnego wyroku wydanego przez sąd.

Kamiński z Wąsikiem dopiero co rozpoczęli odsiadywanie kary dwuletniego pozbawienia wolności. Już sam ten krótki czas (1% wyroku) w zasadzie wykluczał tak szybkie zastosowanie prawa łaski. A w dodatku nie wykazali oni żadnej skruchy, przeciwnie: publicznie demonstrowali butę i arogancję. I to była druga okoliczność przemawiająca przeciw prawu łaski. Taką też rekomendację – odmowy ułaskawienia – przekazał dr. Dudzie, po przestudiowaniu akt, prokurator generalny prof. Adam Bodnar.

Jednak adresat nawet akt nie otworzył. On sam wiedział. A przecież prawnik bez akt to jak historyk bez archiwów. Prokurator generalny wykonał gest dobrej woli: by nie przeciągać sprawy, pominął opinię sądu i akta przesłał w tempie ekspresowym. Mógł szybciej? Mógł. Ale tylko wtedy, gdyby akt nie przeczytał. Jednak traktując poważnie procedurę – wszczętą przez samego prezydenta – zrobił to tak szybko, jak było możliwe. Tymczasem prezydent sam siebie potraktował niepoważnie: opinię prokuratora generalnego zlekceważył (co mu było wolno), a jego samego złajał (co dodatkowo świadczyło o jego pogardzie wobec prawa). Tempo ekspresowe Bodnara zlicytował zatem tempem Dudy. Tyle że w pakiecie z podeptaniem zasad.

Zamiast zasad otrzymaliśmy spektakl. Akt pierwszy odbył się (ponownie) z udziałem pań Kamińskiej i Wąsikowej. Dr Duda obwieścił ułaskawienie najszersze z możliwych – łącznie z zatarciem kary. Ciekawe: zatarcie stosuje się wyjątkowo, w przypadkach dogłębnie uzasadnionych. Prawnikom pozostawiam pytanie, na ile prezydent był władny tego dokonać. Ale ważniejsze jest co innego: jakie tu mogło być uzasadnienie? Przecież tylko to jedno: WARA OD NASZYCH!

A zaraz potem nastąpił akt drugi: zaproszenie obu uwolnionych do Pałacu Prezydenckiego. Ujrzeliśmy Mariusza Kamińskiego tulącego się jak dziecko do Dudowego łona… Ujrzeliśmy trzech dużych chłopców uśmiechających się do siebie i klaszczących sobie wzajemnie… Te sceny nie tylko były gorszące. One były także infantylne. Zwłaszcza przy kwitnącym zdrowiu uwolnionych. Jakoś nie było po nich widać skutków wielodniowej (dopiero ostatnio przerwanej) głodówki. Natychmiast po wyjściu z więzienia byli pełni dawnych sił, nowej kondycji i zawsze tej samej wojowniczości. Co więc mogło przesądzić o ich zwolnieniu? Zawsze to samo: WARA OD NASZYCH!

Wobec dr. Dudy nigdy nie miałem złudzeń. I jeżeli teraz coś mnie jeszcze dziwi, to tylko skala ostentacji.

Upokorzenie, tak. Ale też obrzydzenie. Ludzie PiS traktują państwo jak Bogusław Radziwiłł z „Potopu" Henryka (nomen omen) Sienkiewicza. Państwo to dla nich tylko postaw czerwonego sukna. Nie od dziś widać, że nie cofną się przed niczym i jeżeli trzeba będzie podpalić Polskę – zrobią to bez wahania. Ba, już to robią, skoro niszczą prawo – fundament Rzeczypospolitej. Powtórzmy bowiem: Kamiński i Wąsik są teraz w świetle prawa nie tylko niewinni, ale też nigdy niekarani. XVII-wieczny zabijaka, Samuel Łaszcz, na którym ciążyło 37 infamii i 236 banicji, podbijał sobie futro tymi wyrokami. Był ufny w opiekę swojego protektora, hetmana Stanisława Koniecpolskiego, i nigdy się nie zawiódł. Trójka panów też się nie zawiodła. Miała wszelkie powody, by sobie wzajemnie klaskać.

Wobec dr. Dudy nigdy nie miałem złudzeń. I jeżeli teraz coś mnie jeszcze dziwi, to tylko skala ostentacji.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bf0249a9d2

Z Erdoğanem trzeba się liczyć

Kiedy stawką są interesy NATO lub Unii Europejskiej, na drugi plan schodzi deptanie praw człowieka i brak demokracji w Turcji

Ebru Orhan

Prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan podpisał w końcu ustawę zezwalającą na wejście Szwecji do NATO. Członkostwo tego kraju Turcja blokowała przez 20 miesięcy. Członkostwo Finlandii – przez 10 miesięcy. Swoje stanowisko uzasadniała tym, że państwa te dają schronienie terrorystom z Partii Pracujących Kurdystanu i z organizacji Fethullaha Gülena, stanowiących zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego Turcji. PPK została uznana m.in. przez Unię Europejską za organizację terrorystyczną, a organizacja Gülena jest oskarżana przez Ankarę o przeprowadzenie nieudanego puczu z 15 lipca 2016 r. Turcja domagała się od Szwecji i Finlandii intensywniejszych działań w celu rozprawienia się z nimi. Po wielu spotkaniach na różnych szczeblach osiągnięto porozumienie. Szwecja i Finlandia zmieniły m.in. ustawy dotyczące zwalczania terroryzmu i zniosły embargo na sprzedaż broni do Turcji. Finlandia przystąpiła do Paktu Północnoatlantyckiego w marcu 2023 r., jednak Szwecja musiała jeszcze poczekać. Dopiero podczas lipcowego szczytu NATO w Wilnie Erdoğan dał zielone światło dla jej członkostwa.

6 stycznia sekretarz stanu Antony Blinken spotkał się z prezydentem Erdoğanem i przekazał mu amerykańskie ultimatum.

Szantaż USA

Na zmianę postawy wobec Szwecji wpłynęły jednak nie tylko uzgodnienia dotyczące zwalczania terroryzmu czy przekazania Ankarze kilku poszukiwanych. Turcja pilnie potrzebuje nowych samolotów wojskowych. Jeżeli ich nie pozyska, to z grupy głównych sił powietrznych NATO spadnie do grupy wsparcia na południowo-wschodniej flance Sojuszu. Ta sytuacja mogłaby stworzyć zagrożenie nie tylko dla sąsiadującej z Syrią, Irakiem i Iranem Turcji, ale także dla całego NATO.

Przypomnijmy, że w lipcu 2019 r. z powodu zakupu rosyjskiego systemu obrony powietrznej S-400 Turcja została wykluczona przez administrację amerykańską z programu produkcji F-35, zerwano też umowę na dostarczenie 100 tych wielozadaniowych myśliwców, które miały kosztować 11 mld dol. Ankara zdecydowała się na zakup systemu S-400, gdy Niemcy i Amerykanie wycofali z jej terytorium baterie przeciwlotnicze i przeciwrakietowe Patriot, umieszczone tam w 2013 r. w ramach wzmocnienia obrony powietrznej w obliczu ewentualnych zagrożeń ze strony Syrii. Kiedy Turcja straciła szansę na F-35, zaczęła się ubiegać o zakup nowych F-16. Tymczasem Grecja zgłosiła Stanom Zjednoczonym chęć zakupu 40 samolotów F-35. Oferta sąsiada, a zarazem natowskiego sojusznika, z którym Ankara ma niezbyt dobre relacje, jeszcze wzmocniła turecką potrzebę posiadania samolotów bojowych.

Prezydent Joe Biden nie zmarnował okazji i powiązał sprzedaż F-16 z członkostwem Szwecji w NATO. Kamieniem milowym była wizyta w Turcji sekretarza stanu USA Antony'ego Blinkena. 6 stycznia Blinken spotkał się z Erdoğanem i przekazał mu ultimatum Bidena, z którego wynikało, że jeśli Turcja jak najszybciej nie zatwierdzi członkostwa Szwecji, sprzedaż samolotów F-16 stanie pod znakiem zapytania. Biden miał bowiem wysłać do Kongresu list z prośbą o zgodę na sprzedaż Turcji F-16, a Grecji F-35 w celu wzmocnienia sojuszników na południowo-wschodniej flance NATO. Chciał w ten sposób przekonać tych członków Kongresu, którym nie podobają się

eprasa.pl bf0249a9d2

rządy Erdoğana. Gdyby Turcja nie zatwierdziła członkostwa Szwecji w Sojuszu, Biden musiałby uwzględnić w liście tylko Grecję.

Po tym ultimatum proces ratyfikacji członkostwa Szwecji nabrał tempa. W ciągu niecałych trzech tygodni parlament turecki przegłosował ustawę o członkostwie Szwecji w NATO, a prezydent Erdoğan ją podpisał. Tuż po tym Joe Biden wysłał do kongresmenów list z apelem o zgodę m.in. na sprzedaż do Turcji 40 nowych samolotów F-16 oraz 79 zestawów modernizacyjnych do starszych maszyn tego typu. Koszt tego zakupu to 23 mld dol. Kongres USA na podjęcie decyzji ma czas do 6 lutego. Wszystko wskazuje, że transakcję zatwierdzi.

Biznes ważniejszy niż praworządność

Być może więc Turcja straciła na razie szansę na F-35, ma za to system obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej S-400, za który zapłaciła Rosji 2,5 mld dol. Dostała też z Ameryki zielone światło na F-16. Cały ten proces po raz kolejny pokazał, że Turcja ma wpływ na politykę światową i ze zdaniem Erdoğana trzeba się liczyć. Co prawda, liderom krajów zachodnich zdarzało się go krytykować m.in. z powodu jego despotycznych rządów, ale ostatecznie zawsze się dogadywali. Kiedy stawką są interesy NATO, Unii Europejskiej lub jednego z krajów tych wspólnot, na drugi plan schodzi deptanie praw człowieka i brak demokracji czy praworządności w Turcji. Zapewne dla tych krajów niewielkie znaczenie ma oświadczenie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka z 25 stycznia br., że w 2023 r. wobec żadnego z 46 krajów członkowskich Rady Europy nie wpłynęło tyle skarg, ile wobec Turcji. Obecnie w trybunale czeka na rozpatrzenie 68,4 tys. postępowań, z czego 23,4 tys. jest przeciw Turcji. Tuż za nią są Rosja, Ukraina i Rumunia.

W Turcji powszechnie wiadomo, że kto otwarcie krytykuje Erdoğana, naraża się na utratę wolności. Dotyczy to wszystkich – polityków, działaczy opozycyjnych i społecznych, dziennikarzy. Kurdyjski polityk Selahattin Demirtaş, były współprzewodniczący Ludowej Partii Demokratycznej HDP, został aresztowany w listopadzie 2016 r. Postawiono mu dziesiątki zarzutów, w tym propagowania terroryzmu i Partii Pracujących Kurdystanu oraz znieważenia Erdoğana. Prokuratorzy domagali się dla niego podwójnego dożywocia i 486 lat więzienia. Mimo że po kolei Europejski Trybunał Praw Człowieka, 19. Sąd Karny w Ankarze, turecki Trybunał Konstytucyjny, a wreszcie Wielka Izba Europejskiego Trybunału Praw Człowieka orzekały o konieczności jego natychmiastowego zwolnienia, za każdym razem inny sąd utrzymywał jego areszt.

Podobny los spotkał biznesmena i działacza wielu organizacji prorządowych Osmana Kavalę. Został on aresztowany pod zarzutem „próby obalenia rządu Republiki Tureckiej poprzez organizację protestów w parku Gezi" oraz „próby obalenia porządku konstytucyjnego poprzez nawoływanie do nieudanego puczu wojskowego w Turcji z lipca 2016 r.". W jego wypadku i stambulski sąd, i Europejski Trybunał Praw Człowieka wydały orzeczenie nakazujące zwolnienie, ale zanim Kavala opuścił mury więzienia, został ponownie aresztowany nakazem innego sądu. 28 września 2023 r. został prawomocnie skazany na dożywocie.

Can Atalay w wyborach parlamentarnych z 14 maja 2023 r. uzyskał mandat z ramienia Partii Pracujących Turcji, zanim został prawomocnie skazany na 18 lat pozbawienia wolności pod zarzutem organizowania protestów w parku Gezi. Mimo dwóch orzeczeń tureckiego Trybunału Konstytucyjnego o jego uwolnieniu nie mógł opuścić więzienia. 30 stycznia br. w tureckim parlamencie wraz z odczytaniem decyzji Sądu Najwyższego, który nie wykonał orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego, mandat Atalaya wygaszono.

Gdyby Turcja nie potrzebowała pilnie amerykańskich samolotów, Erdoğan nadal zwlekałby ze zgodą na wejście Szwecji do NATO.

Ucieczka Turków

Stowarzyszenie Tureckich Dziennikarzy TGC informuje, że obecnie w więzieniach znajduje się 14 dziennikarzy. Podczas prawie 21-letnich rządów Erdoğana aresztowanych, skazanych na więzienie lub „tylko" wyrzuconych z pracy zostało setki dziennikarzy, dziesiątki musiały uciec z kraju.

Gdy w Turcji miały i nadal mają miejsce takie wydarzenia, nie słychać głosów sprzeciwu ze Stanów Zjednoczonych. Natowski sojusznik, który chciał przynieść Irakowi wolność, a Afganki uratować przed noszeniem burek, w obliczu erozji tureckiej demokracji odwraca wzrok.

Także europejscy przywódcy unikają krytykowania kondycji demokracji i praworządności w Turcji, odkąd Erdoğan zagroził otwarciem granic i zalaniem Starego Kontynentu migrantami. Dzieje się tak, mimo że Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy 25 stycznia br. poinformowało, że od siedmiu lat w Turcji odnotowuje się coraz więcej przypadków tortur i złego traktowania zatrzymanych. Mieszkańcom kraju oprócz długoletniej polaryzacji dokucza także ekstremalnie wysoka inflacja – niezależni eksperci z Grupy Badań nad Inflacją (Enflasyon Araştirma Grubu, ENAG) twierdzą, że w 2023 r. była ona na poziomie 127%. Wszystko to sprawia, że coraz więcej obywateli Turcji ubiega się o azyl w krajach europejskich. Według danych Eurostatu w pierwszych trzech kwartałach 2023 r. wniosek o udzielenie azylu w Unii Europejskiej złożyło ponad 51 tys. Turków. Tym samym znaleźli się oni na czwartym miejscu na liście narodów ubiegających się o schronienie na Starym Kontynencie – po Syryjczykach, Afgańczykach i Wenezuelczykach. Erdoğan ma rządzić jeszcze do maja 2028 r. Wszystko wskazuje, że ucieczka sfrustrowanych obywateli potrwa co najmniej do tego czasu. ■

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl bf0249a9d2

Spór wagi najwyższej

Czy odchudzanie za pomocą leków jest etyczne, potrzebne i zdrowe?

Mateusz Mazzini

Są na tej liście giganci polityki zarówno z czasów minionych, np. George W. Bush czy Tony Blair, jak i współcześni, z Wołodymyrem Zełenskim na czele. Są hegemoni biznesu: szef Apple'a Tim Cook, Steve Jobs, George Soros. Jest Angela Merkel, Donald Trump, Barack Obama, Mario Draghi, Helmut Kohl i Michaił Gorbaczow. Rzadko trafia się ktoś szerzej nieznany globalnej publiczności. Ostatnim takim przykładem był 26-letni Mohamed Bouazizi, którego samospalenie zapoczątkowało jaśminową rewolucję w Tunezji. Dlatego, kiedy w grudniu dziennik „Financial Times" ogłosił, że na człowieka roku 2023 wybrał Larsa Fruergaarda Jørgensena, 57-letniego ekonomistę z duńskiego miasta Aarhus, niejeden czytelnik mógł się zdziwić. Szok ustępował jednak po przeczytaniu uzasadnienia – za Duńczykiem stała firma, którą kieruje, koncern farmaceutyczny Novo Nordisk. Być może nie tak rozpoznawalny jak Bayer, Sanofi czy AstraZeneca, ale mający w ubiegłym roku status firmy o najwyższej wycenie rynkowej w całej Europie. Duńska spółka wyprzedziła tradycyjnych liderów przemysłu, takich jak Shell czy Volkswagen, a także producentów towarów luksusowych, np. koncern LVMH, do którego należy m.in. marka Louis Vuitton.

Ozempicowy szał

Skąd nagle sukces mało znanej firmy farmaceutycznej, który w dodatku wynosi jej skromnego prezesa do rangi najważniejszej postaci w świecie polityki, dyplomacji i finansów? Źródło jest podwójne. Nazywa się, po pierwsze, wegovy, po drugie – ozempic. To dwa najpopularniejsze na świecie leki na otyłość. Łącznie, według analiz brytyjskiego banku Barclays, przyniosą w 2024 r. 23,8 mld dol. zysków ze sprzedaży. Zwiastują zarazem rewolucję nie tylko w farmacji, ale potencjalnie w całym rozumieniu tego, czym jest odchudzanie, a nawet sama waga.

Oba preparaty są tak naprawdę lekami dla cukrzyków, stosowanie ich w kuracjach odchudzających to tzw. zastosowanie *off-label*, czyli nieszkodliwe, ale inne niż zalecane przez producenta. Podawane pod postacią zastrzyku raz w tygodniu, ograniczają łaknienie, powodując znaczną i szybką redukcję masy ciała.

Najpopularniejsze preparaty na otyłość są tak naprawdę lekami dla cukrzyków.

Kiedy tylko ujawniono, że zwłaszcza ozempic przynosi redukcję wagi, w Stanach Zjednoczonych natychmiast wybuchł typowy dla tamtejszego rynku kryzys zaopatrzeniowy, bo na lek rzucili się nie ci, którzy go potrzebowali, ale ci, którzy znali lekarza skłonnego wypisać receptę. W rezultacie w niektórych stanach w pierwszej połowie 2023 r. brakowało ozempicu dla osób chorych na cukrzycę, a Novo Nordisk nie nadążał z produkcją.

Wprowadzenie do masowego obrotu tych preparatów natychmiast zaczęło budzić spore wątpliwości. Po pierwsze, czy dostęp do nich powinien być rzeczywiście tak łatwy. Krytycy mówili, że niekoniecznie, bo to mimo wszystko nowy lek, jego długotrwałe skutki uboczne mogą dopiero się ujawnić. Entuzjaści natomiast domagali się przeformułowania problemu otyłości. Jak pisał w listopadzie tygodnik „The Economist", coraz więcej lekarzy, nie tylko w USA, postrzega tę kwestię jako zagadnienie zdrowotne, a nie estetyczne czy kosmetyczne. I nie ma co się dziwić, związanego ze sporą liczbą nadmiarowych kilogramów ryzyka dla zdrowia nie trzeba nikomu tłumaczyć.

Globalnie, według danych ONZ, to problem coraz powszechniejszy, do otyłych zalicza się 14% światowej populacji, 1,1 mld osób na planecie. W przypadku Amerykanów te proporcje są jeszcze bardziej szokujące, bo jak wynika z badań wydziału medycyny na Harvardzie, 36% obywateli USA zmaga się z otyłością, a dwie trzecie co najmniej z nadwagą. Epidemia otłuszczenia przybrała za oceanem takie rozmiary, że w walkę z nią zaangażował się nawet Pentagon, dlatego że w amerykańskim społeczeństwie coraz trudniej znaleźć młodych mężczyzn fizycznie zdolnych do służby wojskowej.

Moralne czy niemoralne?

Zmiana dyskursu wokół otyłości, choć na pierwszy rzut oka uzasadniona i ważna, też jednak wywołała sprzężenie zwrotne. Padały zarzuty, że waga to kolejny element ludzkiego życia, który ulega nadmiernej medykalizacji tylko po to, żeby koncerny farmaceutyczne mogły zarabiać na nowych produktach. Używano przy tym argumentu, kolokwialnie mówiąc, dziaderskiego: kiedyś nie było ozempicu, a dodatkowe kilogramy zrzucało się aktywnością sportową, lepszą dietą, ogólnym dbaniem o swój organizm. Do chóru krytyków dołączyli entuzjaści sportu, zdaniem których wysiłek w celu zrzucenia wagi był szlachetny, motywował,

eprasa.pl bf0249a9d2

Ozempic jest lekiem przeciwcukrzycowym.

się upowszechnią. Taki obrót spraw przyniesie inne zmiany, bo nie wolno zapominać, że pierwotnie leki te miały być przeznaczone dla cukrzyków. Możliwe zatem, że rewolucja wstrząśnie również innymi segmentami rynku farmaceutycznego, bo na środki dla diabetyków monopole, zwłaszcza w USA, mają inne koncerny.

W poszukiwaniu skutecznej kuracji

Prawdziwym wyzwaniem będzie jednak wyniesienie farmakologicznego zrzucania nadwagi na jeszcze wyższy poziom, bo nawet ozempic po pewnym czasie przestaje dawać coraz lepsze efekty. Leki nie różnią się pod tym względem od innych metod, od diety, przez ćwiczenia, po interwencje chirurgiczne. Waga na początku szybko spada, ale potem proces zwalnia. Krzywa się wypłaszcza, choć wiele osób chciałoby, żeby ostro szła w dół, bo nie zrealizowały jeszcze celu – zdrowotnego, estetycznego, osobistego. Dlatego, o ile pojawienie się samych leków na odchudzanie, które wreszcie działają, jest przełomowe, o tyle ich pierwsza generacja w pewnym sensie zatrzymuje się w pół drogi. Następnym celem będzie stworzenie kuracji, które przełamią impas.

Według wyliczeń badaczy z Duke University regularne stosowanie wegovy pozwala na zrzucenie do 15% masy ciała. Zepbound, inny lek na otyłość dostępny w USA, daje wyniki rzędu 20%. To cały czas dużo mniej, niż oferują zabiegi chirurgii bariatrycznej, czyli walki z otyłością za pomocą skalpela. Dzięki nim możliwa jest redukcja wagi o niemal jedną trzecią. Te obszary to już nie tematyka estetyczna, ale problemy zdrowotne, często zagrażające życiu. Mowa tu nie o osobach, które chcą zrzucić parę kilogramów przed wakacjami, ale o klinicznie otyłych pacjentach, którym pozbycie się

przynosił również korzyści dla zdrowia psychicznego. W erze leków na otyłość jaki jest sens regularnych ćwiczeń?

To pytanie na łamach magazynu „The Atlantic" zadała pisarka i felietonistka Xochitl Gonzalez, przypominając, że wiele osób praktykuje jakąkolwiek aktywność fizyczną właśnie w celu utrzymania prawidłowej wagi. W debatę włączyło się wielu komentatorów i zwykłych użytkowników mediów społecznościowych, alarmujących, że ozempic, wegovy i inne preparaty, których rynkowy debiut wkrótce nastąpi, będą stanowić coś na kształt śmieciowego jedzenia, rozleniwiającego ludzkość do granic możliwości. Można wręcz stwierdzić, że używanie takich leków w walce z otyłością nabytą, niewynikającą z głębokich dysfunkcji organizmu, jest niemoralne, bo pozwala wyzbyć się nawet śladowego poczucia odpowiedzialności. Naruszać dietę, jeść kalorycznie można do woli, w razie czego zawsze przecież wbije się igłę – i po kłopocie.

To oczywiście nie jest takie proste, bo leki te w ich obecnej formie wymagają ciągłego stosowania. Nie wystarczy jedna dawka, pacjent musi przyjmować preparat regularnie, co nie tylko jest uciążliwe, ale też wiąże się ze sporymi kosztami. W Polsce, jak podała „Gazeta Wyborcza", miesięczna kuracja ozempikiem – wliczając w to refundację – wynosi ok. 400 zł, podczas gdy wegovy może kosztować ponad 2,3 tys. zł za ten sam okres.

Pod koniec 2023 r. aż 70 leków podobnych do ozempicu znajdowało się w fazie testów klinicznych.

Historie o grzesznym objadaniu się bez limitu także można włożyć między bajki, bo w czasie kuracji lekami Novo Nordisk pacjenci mają ogromne problemy z przyjmowaniem nawet części swojego zapotrzebowania kalorycznego – i o to zresztą chodzi w tej kuracji. Dlatego producenci, wchodząc w 2024 r., nawet przy hurraoptymistycznych prognozach bankowych i przyjaznych decyzjach regulatorów widzą na horyzoncie sporo zagrożeń dla sektora, wartego już 80 mld dol. w ujęciu globalnym.

Pierwszym – co zauważają media finansowe, z „Financial Timesem" i „The Economist" na czele, będzie konkurencja. Złote czasy monopolu duńskiej firmy zapewne zaraz się skończą, bo według portalu branży medycznej STAT pod koniec 2023 r. aż 70 podobnych do ozempicu leków znajdowało się w fazie testów klinicznych. Co więcej, sporo docelowo ma być w formie tabletek. Nie wiadomo, ile takich medykamentów zdąży wejść na rynek w najbliższych 12 miesiącach, ale faktem jest, że leki na zbicie wagi znacząco

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl bf0249a9d2

nadwagi ratuje życie. I kwalifikuje do wielu innych procedur medycznych, bo wraz z tak gwałtowną zmianą masy ciała funkcjonowanie zmienia właściwie cały organizm.

O ile jednak w przypadkach skrajnych da się mniej więcej oszacować, ilu kilogramów należy się pozbyć, żeby uporządkować zdrowie, o tyle przy zwykłej nadwadze czasami jest to trudne. Szacunki mówią, że redukcja wagi nawet od 5% do 10%, czyli relatywnie niewielka, już poprawia krążenie krwi i najważniejsze parametry organizmu, polepsza też funkcjonowanie mózgu. Ale dla wielu te 5% to stanowczo za mało. Pojawia się zatem pytanie, ile trzeba schudnąć, żeby schudnąć porządnie, konkretnie. Czy da się to w ogóle zmierzyć? I czy trzeba chudnięcie rozpatrywać właśnie w takich kategoriach?

Rozwiązania problemu wypłaszczenia krzywej tak naprawdę są dwa: wynalezienie nowej generacji leków albo zwiększenie dawki tych istniejących. Drugi sposób wydaje się prostszy, przynajmniej z punktu widzenia producentów. Rzecz w tym, że barierę stanowi tu ludzki organizm. Sporo pacjentów reaguje na wegovy i ozempic, delikatnie mówiąc, nie najlepiej. Do najczęstszych efektów ubocznych należą bóle głowy, wymioty, biegunka, ogólne osłabienie organizmu, czasem spadek zdolności kognitywnych.

Novo Nordisk, jak donosi magazyn „The Atlantic", testuje już co prawda wegovy w dawce do 16 mg na tydzień, czyli ponad sześć razy więcej niż obecnie. Ma to być bezpieczne, ale wciąż nie do końca wiadomo, jak po takiej kuracji będzie się zachowywać organizm kogoś, kto na nadwagę cierpi od lat. Bo przecież jedzenie to nie tylko nawyk, ale i biologiczna konieczność, a ciało przyzwyczaja się do formy, w jakiej tę konieczność zaspokajamy. Kiedy tracimy wagę, nie wie ono, że robimy to celowo, za pomocą diety czy leków, więc próbuje walczyć, domagając się odpowiedniej dawki kalorii. Dodatkowo kwestia wagi jest skorelowana ze stanem psychosomatycznym, naszymi codziennymi nawykami. Masowo dostępne kuracje na odchudzanie to nieznane terytorium, zwłaszcza w skali całego społeczeństwa.

Nie należy oczywiście się spodziewać, że ozempic nagle zastąpi batoniki w automatach czy przekąski na stacjach benzynowych, ale jeśli leki tej generacji faktycznie będą do kupienia bez większych problemów w aptekach – nawet na receptę – możemy mieć do czynienia z naprawdę sporą zmianą społeczną.

Jej najciekawszym frontem mimo wszystko wydaje się wspomniana kwestia moralności. W „The Ethicist", rubryce „New York Timesa", w której czytelnicy zadają pytania etykom i psychologom, prosząc najczęściej o ocenę własnych działań, pod koniec 2023 r. opublikowano list opisujący taki przypadek: czytelnik, rozgniewany i zawstydzony jednocześnie, potępił postępowanie swoich znajomych biorących ozempic bez uzasadnień medycznych. Odpisał mu brytyjsko-amerykański filozof Kwame Anthony Appiah, zwracając uwagę, że oburzenie byłoby zasadne, gdyby ludzie ci przyczyniali się do kryzysu dostępności leku dla cukrzyków. Wtedy, pisał Appiah, można rozpocząć szerszą dyskusję o korzystaniu z jakichkolwiek dóbr i produktów, których nie ma tak wiele, a które w pierwszej kolejności powinny trafić do grup marginalizowanych lub poszkodowanych. Żaden inny powód pogardzania użytkownikami ozempicu nie jest uzasadniony. Przede wszystkim dlatego, podsumowywał filozof, że waga jest kwestią indywidualną, przynajmniej w kodzie wartości zachodnich społeczeństw. W tym kontekście należy postawić jednak pytanie o etykę: czy utrzymanie zasłony prywatności wokół (nad)wagi jest jeszcze w ogóle możliwe? W końcu ozempic i wegovy przynoszą wielkie zmiany, które będą widoczne gołym okiem.

W walkę z otyłością zaangażował się Pentagon. W amerykańskim społeczeństwie coraz trudniej znaleźć młodych mężczyzn zdolnych do służby wojskowej.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bf0249a9d2

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

A może zmienić coś naprawdę?

Miałem nadzieję, że po wyborach i stworzeniu nowego rządu cokolwiek uwolnię się (podobnie jak my wszyscy) od opresyjnej wszechobecności PiS, że odpoczną oczy, uszy i głowa. Partia odsunięta od władzy jednak nie daje o sobie zapomnieć, generuje wielki wir, który musi się kręcić coraz mocniej i wyraziściej. Przypomina to skierowaną na boczny tor lokomotywę, w której maszynista z palaczem wciąż i wciąż dorzucają węgla, żeby pędzić szybciej i szybciej, nie bacząc na to, że wkrótce tor się kończy. Tę lokomotywę niesie irracjonalne przekonanie, że tak gnając i gnając, w pewnym momencie, szast-prast, w jakiś bliżej niesprecyzowany sposób przeskoczy ona na tor główny.

Maszynista, który jest owym metafizycznym popychaczem, to rzecz jasna Jarosław Kaczyński, palacz to aparat partyjny, w tym tzw. prezydent, węglem zaś jest co chwila coś innego (przeciąganie powstania rządu, bo „wygrało się wybory", płacz i zgrzytanie zębów w obliczu pierwszych prób rozliczenia pozaprawnych lub przestępczych działań oraz odwoływania pozornie zabetonowanych struktur prokuratorskich i posad w spółkach skarbu państwa).

Styczeń upłynął nam pod znakiem węgla wysokokalorycznego – skazania (jeszcze w grudniu) posłów Kamińskiego i Wąsika prawomocnym wyrokiem sądu, zatrzymania ich przez policję w dziupli prezydenckiej, osadzenia na krótko w zakładach karnych i, co najważniejsze, z mocy konstytucji pozbawienia ich mandatów poselskich. W charakterystycznym nowomyśleniu o prawie rozszalał się chór obrońców poselskości przestępców. A to, że ogłoszenie wygaszenia mandatów przez marszałka Sejmu jest bezprawne (to ruch proceduralny, nie on ma prawną sprawczość, tylko art. 99 ust. 3 konstytucji, który nie wymaga wygibasów interpretacyjnych: „Wybraną do Sejmu lub do Senatu nie może być osoba skazana prawomocnym wyrokiem na karę pozbawienia wolności za przestępstwo umyślne ścigane z oskarżenia publicznego"). A to, że izba Sądu Najwyższego (marionetkowa, stworzona przez PiS, złożona z samych neo/niesędziów) coś tam oświadcza. Prezydentowi znowuż się wydaje, że jest monarchą wszechmogącym, którego długopis ma moc boskiej, niczym nieograniczonej sprawczości. Dojmującym symbolem destrukcyjnych działań PiS, które bez zmiany konstytucji de facto zmieniało ustrój polityczny, nie respektując niewygodnych dla siebie rozwiązań prawnych czy instytucji, są niezrozumiałe dla większości obywateli chaos i niespójność prawa: zdemolowanie Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego, KRS i w konsekwencji wpuszczenie do wymiaru sprawiedliwości ok. 2,5 tys. neosędziów, którzy po prostu sędziami nie są. Ale to pozór, konstytucję mamy wciąż niezmienną, mimo gniotków paraprawnych wytworzonych przez PiS. Za dużo myślimy o trwałości i wadze prowizorek Kaczyńskiego.

Oprócz węglowego pyłu, dymów z paleniska i huku rozpędzonej lokomotywy politycznej, która gna na oślep, nie przyjmując do wiadomości, że teraz czas na stop – owiewa nas nieustannie, niby proroczy obłok pytyjskich sądów, enigmatyczna wizja celów, metod i środków niezbędnych do odzyskania władzy, którą dzięki stojakowo-mikrofonowej stałej dyspozycji mediów rozsnuwa Jarosław Kaczyński. Co mówi, często nie wiadomo, co przez to rozumie – tym bardziej, jak to interpretować – nie ma mądrego, ale i po co miałby być? W kotle ma się kłębić, mieszać, wszak nie idzie o uczciwą komunikację. Codzienna glątwa zatem płynie, a nas zmusza do scholastycznej ekwilibrystyki interpretacyjnej. Może nie powinniśmy jej poświęcać tyle uwagi? Jestem przekonany, że nie powinniśmy. Ale czym wypełnić te portale, szpalty w miejsce domysłów, rozkmin i rozczytywań ciemnej mowy żoliborskiego pustelnika?

Podam przykład polityczno-systemowy. Otóż od lat krąży nad Europą i światem widmo naprawiania naszej smętnej (nic od nas nie zależy tak naprawdę, na nic wpływu nie mamy) demokracji elekcyjnej. Są wybory – jest demokracja. To mało. Owo widmo to projekt włączenia do systemu politycznego w jego filarze ustawodawczym instytucji panelu obywatelskiego (również jako trzeciej izby parlamentu). O panelach rozpiszę się wkrótce, na razie zasieję ziarno zainteresowania i zostawię z niedosytem. O takiej systemowej drodze przemiany struktur demokratycznych rządów warto dyskutować, a nie o tym, że „idziemy wciąż w stronę prawdy, a to, co robią inni – to niebywałe i złe".

Panele obywatelskie (uruchamiane także w Polsce) nie są czarodziejską różdżką, za dotknięciem której odrodzi się przywiędłe drzewo zrutynizowanej, biurokratycznej demokracji. Ale są dobrze opracowaną metodą pokojowej, dyskursywnej zmiany systemowej, do której nie są konieczne podporządkowane autokracie instytucje (trybunały, sądy, sędziowie). Niezbędni są za to obywatele i obywatelki. Wszyscy.

Ciąg dalszy nastąpi.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bf0249a9d2

W 2022 r. Volkswagen otrzymał 75 tys. zamówień na model ID.4. W 2023 r. do lipca liczba zamówień na ten model nie przekroczyła 20 tys.

Koniec elektrobumu

Udział samochodów elektrycznych w rynku to obecnie 6%. I nie powiększy się on tak bardzo, jak zakładano

Kornel Wawrzyniak

Elektryfikacja w branży motoryzacyjnej jeszcze dobrze się nie rozkręciła, a już przechodzi poważny kryzys. Od kilku miesięcy wyraźnie spada popyt na samochody elektryczne. Problem ze sprzedażą mają najwięksi producenci, tacy jak Volkswagen, czy brylujące w temacie elektryków marki premium, np. BMW i Mercedes. Sprzedaż dobrze idzie tylko Tesli, ale nawet firma Elona Muska musi kusić klientów bardzo dużymi obniżkami cen. Sen o motoryzacji przyszłości zderza się z rzeczywistością. Głównymi przeszkodami są chciwość koncernów i niedoróbki technologiczne.

Volks w cenie merola

Jednym z zasadniczych problemów pozostaje wyjątkowo wysoka cena. Cennik modelu ID.3 Volkswagena, który ma zastąpić popularnego golfa, zaczyna się od ponad 180 tys. zł. Podkreślmy, mówimy o samochodzie kompaktowym. Wysokie ceny można oczywiście tłumaczyć inflacją, jednak najpopularniejszy kompakt świata kosztuje w wyjściowej specyfikacji aż 70 tys. mniej. Nie wspominając o tym, że za prawie 200 tys. zł można kupić limuzynę Mercedesa. Trzymając się jeszcze marki z Wolfsburga, porównajmy: cieszący się popularnością wśród Polaków passat – 163 390 zł kontra 276 690 zł za jego następcę, elektryczny model ID.7. Również rynek marek premium przeżywa kryzys. Popyt na bardzo popularne wśród fanów elektryków porsche taycan zmniejszył się o połowę.

Rynek się zmienia, chociaż niekoniecznie w tę stronę, w którą życzyliby sobie producenci samochodów. W całym roku 2022 Volkswagen otrzymał 75 tys. zamówień na model ID.4. W 2023 r. do lipca liczba zamówień na ten model nie przekroczyła 20 tys. Marka z Wolfsburga przeżywa w związku z tym spory kryzys. Przygotowując się do zwiększenia produkcji samochodów elektrycznych, VW zatrudnił masę pracowników tymczasowych, redystrybuował swoje zasoby, skupiając się na nowej strategii produkcji. Dzisiaj magazyny są pełne elektryków, których jest więcej niż klientów. To kiepska wiadomość dla zatrudnionych w Volkswagenie. Istnieje spore ryzyko, że umowy pracowników z kontraktami na czas określony nie zostaną przedłużone, aby ograniczyć straty marki.

Sytuacja na rynku elektryków nie podoba się również amerykańskim sprzedawcom. Grupa prawie 5 tys. dilerów ze wszystkich 50 stanów USA napisała petycję do prezydenta Joego Bidena, wzywając do spowolnienia procesu elektryfikacji rynku samochodowego. Sprzeciwiają się zwłaszcza zaproponowanym przez administrację Bidena nowym normom emisji spalin dla samochodów osobowych i lekkich ciężarówek. Przy czym nikt nie ma problemu z ideą ograniczania emisji dwutlenku węgla. Dilerzy uważają jednak, że osiągnięcie norm zaproponowanych na lata 2027-2032 jest nierealne. Wyśrubowane ograniczenia mają jeden główny cel – jak najszybsze osiągnięcie 60% udziału aut elektrycznych zasilanych akumulatorami w całym rynku do 2030 r. oraz 67% do roku 2032. Amerykańscy sprzedawcy samochodów podkreślają, że ograniczenie emisji można osiągnąć, wykorzystując różne technologie. Dlatego nie potrafią zrozumieć obstawania przy jednej, w tym wypadku samochodach na baterie. Powinniśmy sięgać po wszystkie opłacalne technologie – podkreślają w petycji.

Żałosne ładowanie

Dilerzy mają problem nie tylko z normami emisji spalin. Wielu, podobnie jak klienci, krytykuje ceny samochodów elektrycznych i ograniczone możliwości akumulatorów w niskich temperaturach, a proces

eprasa.pl bf0249a9d2

budowy publicznej sieci ładowania nazywa żałosnym. Na łamach PRZEGLĄDU (19 czerwca 2023 r.) opisywaliśmy, jak mozolnie idzie budowanie kolejnych stacji ładowania na terenie Polski. Było ich wtedy niecałe 3 tys. Jak można się spodziewać, pół roku później jest ich niewiele więcej, bo 3282 (to daje 5933 punkty, czyli pojedyncze stanowiska do ładowania elektryków). Według portalu Rynek Elektryczny na jeden punkt ładowania przypada 9,6 w pełni elektrycznego samochodu. Maciej Mazur, dyrektor zarządzający Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych, ocenia, że to i tak duży postęp: „Łączna liczba nowo uruchomionych, ogólnodostępnych punktów ładowania w 2023 r. wyniosła 1513. To historyczny rekord i wzrost o 15% względem roku 2022. Branża liczyła jednak na znacznie lepszy wynik".

Ale niedostatek stacji ładujących samochody elektryczne to nie tylko polski problem. Na trudności narzekają też Niemcy. W badaniu YouGov przeprowadzonym z udziałem 6 tys. niemieckich kierowców aż 53% ankietowanych stwierdziło, że żałuje zakupu lub wzięcia w leasing elektryka. Większość respondentów jako główny powód rozczarowania podała rosnące koszty energii elektrycznej. Dziennikarz motoryzacyjny Andreas May z „Auto Bild" wskazuje, że również w Niemczech jest kłopot z infrastrukturą ładującą. Przykładem ma być autohof (odpowiednik polskiego miejsca obsługi podróżnych) w Lutterbergu, 12 km za Kassel. Znajduje się tam sześć ładowarek dla samochodów elektrycznych firmy Ionity, a tuż obok 16 szybkich ładowarek Tesli, z czego 13 akurat było wolnych. Z tych drugich mogą korzystać jedynie właściciele samochodów tej marki. Do pierwszych, czyli dla użytkowników wszystkich innych marek, była kolejka, a jedna ładowarka nie działała. Niemieckiego redaktora zdawał się irytować także fakt, że ludzie nie rozumieją, jak mają ładować swój samochód, i wybierają nieadekwatne ładowarki, blokując szybsze ładowanie użytkownikom, których samochody rzeczywiście taką technologię obsługują.

Podsumowując, wszędzie ten sam bałagan i kolejki. Tyle że zgodnie z danymi Instytutu Badań Rynku Motoryzacyjnego SAMAR w Niemczech jest ponad 44 tys. ładowarek. I nawet Niemcy mają z nimi wieczne przygody. Gdy dodamy do tego, że każdą dłuższą trasę trzeba planować na podstawie dostępności ładowarek, które mogą się okazać niesprawne, to otrzymujemy niezłą antyreklamę całej technologii.

Wygodny jak elektryk

Samochód elektryczny kojarzy się z cichą jazdą. Dla siedzących w nim to raczej plus. Gorzej z pieszymi, którzy mogą nie usłyszeć nadjeżdżającego auta w ulicznym zgiełku wielkiego miasta. Paradoksem jest i to, że osoby podróżujące samochodem elektrycznym odbierają więcej bodźców akustycznych, ponieważ przestał je zagłuszać pomruk silnika spalinowego. Brzmi zabawnie, ale furkot nawiewu w kabinie staje się dla niektórych nieznośny. Druga kwestia to wyraźniejszy dźwięk oporu powietrza opływającego karoserię.

A to nie koniec dość dziwacznych wad samochodów elektrycznych. Z jednej strony, dzięki analizie Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych wiadomo, że koszt przeglądu samochodu elektrycznego może być nawet o połowę niższy niż w przypadku pojazdu z napędem konwencjonalnym. Z drugiej – wszelkie stłuczki są dużo droższe dla właścicieli elektryków. Według Mondial Assistance naprawa uszkodzonego auta z napędem elektrycznym może kosztować nawet 33% więcej niż spalinówki. Do legendy przeszły już niektóre stłuczki tesli, w których ubezpieczyciel stwierdził, że samochód jest do kasacji po drobnej szkodzie parkingowej. Być może takie doniesienia były przesadzone. Jednak magazyn „Auto Świat" wylicza, że praca mechanika przy samochodzie elektrycznym może kosztować dwukrotnie więcej niż przy zwykłym aucie.

Także z ubezpieczeniem elektryków jest kłopot. Równanie w tym wypadku jest jednak proste – droższe naprawy i części dają wyższe koszty ubezpieczenia. Dodatkowo niektórzy polecają ubezpieczyć się przed szkodami związanymi z przewróceniem się pieszego po potknięciu o kabel ładowania. Jakby tego było mało, gdy już uporamy się nawet z ubezpieczeniem, okaże się, że czas, który zyskaliśmy na ominięciu korków dzięki możliwości jazdy pasem dla komunikacji miejskiej, stracimy, poszukując miejsca parkingowego. Przez szum medialny wokół pożarów samochodów elektrycznych część krytych i podziemnych parkingów zaczęła zakazywać wjazdu elektryków.

Samochody z napędem elektrycznym, jak na technologię, która miała uratować planetę przed zniszczeniem, nie wydają się ani wystarczająco ekologiczne (minerały potrzebne do produkcji baterii litowo-jonowych są rozproszone po całym świecie, skąd trzeba je wydobyć i zawieźć do fabryki), ani odpowiednio dostępne dla szerszej grupy odbiorców. Na dodatek komplikują użytkownikowi życie, co nie zachęca do przesiadki. Nadal więc to jedynie droga zabawka dla majętnych entuzjastów i tzw. *greenwashing* dla biznesu.

Według badania zleconego przez firmę Autopay 64% osób korzysta z samochodu, aby załatwiać sprawunki, 41% używa go przy dojazdach do pracy. 34% respondentów jeździ autem na wakacje. Chcąc przemieszczać się ekologicznie, bo to najczęstszy argument za elektromobilnością, powinniśmy z większą uwagą patrzeć przede wszystkim na rowery i komunikację zbiorową.

Samochody elektryczne jak na technologię, która miała uratować planetę przed zniszczeniem, nie wydają się wystarczająco ekologiczne.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl bf0249a9d2

Bandera jak „żołnierz wyklęty”?

Myliłby się ten, kto by sądził, że w Polsce jest tylko jedna – negatywna – narracja na temat OUN/UPA

Bohdan Piętka

Nie ulega wątpliwości, że pomiędzy pomajdanową Ukrainą a Polską w postrzeganiu historii OUN/UPA istnieje przepaść. (…) Na tę przepaść zwrócił uwagę m.in. historyk Adam Cyra, komentując obchodzoną kolejny raz na Ukrainie 1 stycznia 2023 r. rocznicę urodzin Stepana Bandery. Stwierdził on: „Warto odnotować, że kult banderyzmu jest także częścią edukacji w ukraińskich szkołach, w których młodzież uczy się, że Stepan Bandera jest postacią godną naśladowania. Za przykład niech posłuży przypadek Liceum Fizyczno-Technicznego w Iwano-Frankiwsku (dawny Stanisławów), gdzie podczas szkolnej uroczystości młodzież śpiewała piosenkę gloryfikującą tę ideologię”.

Różnice w postrzeganiu historycznych formacji nacjonalizmu ukraińskiego w Polsce i na Ukrainie sięgają okresu po roku 1945. W opozycji do dominującej na pomajdanowej Ukrainie narracji historycznej wobec OUN/UPA funkcjonują nieliczni historycy i publicyści, którzy jej nie podzielają. Na Ukrainie to przede wszystkim Wasyl Rasewycz, a na emigracji chociażby nieżyjący już Wiktor Poliszczuk, Marco Carynnyk, John-Paul Himka (Iwan-Pawło Chymka) czy Andrij Portnow. Ich głos jest słyszalny w świecie naukowym, ale z trudem przebija się przez mur propagandy i indoktrynacji na samej Ukrainie.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że w Polsce jest tylko jedna – negatywna – narracja na temat OUN/UPA i ukraińskiej polityki historycznej gloryfikującej te formacje. Jest też narracja, motywowana jak najbardziej politycznie, zmierzająca do znalezienia „kompromisu” historycznego z Ukrainą lub zbywania milczeniem „trudnych spraw” z przeszłości, co w konsekwencji prowadzi do relatywizowania odpowiedzialności nacjonalistów ukraińskich za ich zbrodnie. Narrację tę podejmują środowiska proukraińskie z prawa, lewa i centrum, powołujące się na spuściznę ideową przedwojennego prometeizmu oraz Jerzego Giedroycia i Juliusza Mieroszewskiego, odwołujące się do geopolitycznej koncepcji Międzymorza i głoszące konieczność wspierania Ukrainy za wszelką cenę jako zapory przed Rosją.

Po 2014 r. ze strony środowiska szeroko rozumianej prawicy wielokrotnie można było usłyszeć, że „lepsza Ukraina banderowska od moskiewskiej”. Tezę tę powtórzył Andrzej Talaga, stały publicysta „Rzeczpospolitej”, który w 2017 r. w artykule „Lepiej z Banderą niż z Moskwą” zaproponował, by „wziąć UPA w nawias” i postawić „rację stanu ponad racją moralną”. W tekście tym czytamy: „Na świecie niemało jest przykładów brania w nawias ideologii, historii, rachunku krzywd w imię racji politycznych, czynią tak jednak wielkie narody potrafiące oddzielić emocje od potrzeb strategicznych. Małe nacje brną beznadziejnie w politykę racji moralnych […]. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że Obóz Ukraińskich Nacjonalistów i jego zbrojne ramię – Ukraińska Powstańcza Armia ponoszą winę za ludobójstwo popełnione na Polakach. Nie istnieje symetria pomiędzy działaniami AK i UPA, jak chciałaby dziś strona ukraińska. Polscy partyzanci dopuścili się wprawdzie ohydnych zbrodni wojennych, mordując kobiety i dzieci, choćby w Sahryniu, ale nie było to zaplanowane i konsekwentnie przeprowadzone ludobójstwo […]. Oto prawda historyczna. Jest jednak obok niej prawda strategiczna, Ukraina odepchnięta od Polski i Zachodu musi w konsekwencji stać się satelitą Moskwy […]. Utrata Ukrainy na korzyść Kremla zasadniczo zmienia na niekorzyść strategiczne położenie Polski i powinniśmy robić wszystko, by uniknąć takiego scenariusza”.

I tak dalej. A co, jeśli Ukraina, mimo że nie zostanie odepchnięta od Polski i Zachodu, stanie się „satelitą” Moskwy? Bo uzna, że koszty przeciągnięcia jej na Zachód są za wysokie? Dlaczego ci, którzy wzywają, by nie brnąć „beznadziejnie w politykę racji moralnych” (czyli de facto zaakceptować ukraińską heroizację OUN/UPA), uważają antyrosyjski kurs Ukrainy za niezmienny? W polityce nie ma nic niezmiennego i trwałego. Także w obecnej sytuacji. A nawet jeśli trwale oderwiemy Ukrainę od Rosji, to czy takie ułożenie wzajemnych stosunków, jakie proponuje autor powyższego tekstu, będzie normalne? I czy na pewno będzie świadczyło o czyjejś wielkości (narodu, jego polityków), czy naiwności? Poza tym, jeśli – jak proponuje Talaga – władze w Warszawie miałyby „wziąć rozbieżności w ocenie działalności banderowców w nawias, tak aby nie wpływały na inne wspólne działania”, to jaki sens miałoby wtedy ciągłe podnoszenie pretensji historycznych do Niemiec i Rosji, w tym żądanie od Niemiec odszkodowań za II wojnę światową?

Po 24 lutego 2022 r. strona polska przecież wzięła te „rozbieżności” w nawias i udzieliła Ukrainie

Po 2014 r. ze strony środowiska szeroko rozumianej prawicy wielokrotnie można było usłyszeć, że „lepsza Ukraina banderowska od moskiewskiej”.

eprasa.pl bf0249a9d2

ogromnej pomocy wojskowej oraz humanitarnej. I co? I doczekała się wypowiedzi ukraińskiego dyplomaty Andrija Melnyka, który w niemieckich mediach relatywizował odpowiedzialność nacjonalistów ukraińskich za Wołyń, zgodnie z obecną na Ukrainie od lat narracją historyczną.

„Kult OUN i UPA jest elementem ideologicznej obrony przed rosyjskim imperializmem. Dlatego nie zmusimy Ukraińców do wyrzucenia Bandery na śmietnik historii. Możemy co najwyżej wynegocjować potępienie pojedynczych zbrodni", napisał z kolei w lipcu 2022 r. na łamach prawicowego tygodnika „Do Rzeczy" Maciej Pieczyński.

Wynegocjować „potępienie pojedynczych zbrodni" – a więc w takim kierunku miałoby to pójść. Wszystko w imię strategicznego partnerstwa z Ukrainą i obrony przed Rosją, rozumianych jednak całkowicie opacznie i życzeniowo. Jak to w polityce polskiej od dawien dawna ma miejsce.

Ten sposób myślenia dotarł już na najwyższe szczeble władzy. 22 stycznia 2023 r. w programie telewizyjnym „Układ Otwarty" były szef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta RP Jakub Kumoch powiedział: „Ja widzę różnicę pomiędzy Stepanem Banderą, którego znaczenie, rolę podwyższyła sowiecka propaganda; Banderą – wrogiem Polski, terrorystą, przywódcą nacjonalistycznej organizacji, […] ale jednocześnie człowiekiem, który siedział w obozie koncentracyjnym, gdy doszło do zbrodni wołyńskiej, (…) a sprawcami rzezi wołyńskiej".

Eksminister Kumoch powtórzył popularną i nieprawdziwą tezę ukraińskiej polityki historycznej w sprawie przywódcy OUN-B. Mianowicie, że Stepan Bandera siedział w obozie koncentracyjnym, gdy doszło do zbrodni wołyńskiej, i dlatego nie ponosi za nią odpowiedzialności, w przeciwieństwie do Szuchewycza, Łebedzia i innych postaci z kierownictwa OUN-B i UPA. Po pierwsze, Bandera był więźniem uprzywilejowanym i przebywał w odizolowanym od reszty KL Sachsenhausen specjalnym więzieniu Zellenbau, gdzie w 80 celach umieszczono najważniejszych więźniów III Rzeszy (Kurta Schuschnigga, Édouarda Daladiera, Paula Reynauda, Stefana Roweckiego i innych). Znalazł się tam prawdopodobnie dopiero w marcu 1943 r. (numer obozowy 72192 został mu nadany w październiku 1943 r.). Według Wasyla Rasewycza Bandera miał w Zellenbau bardzo dobre warunki. Mieszkał w dwuizbowej celi, która składała się z pokoju gościnnego i sypialni. Całość była urządzona jak w normalnym mieszkaniu, z dywanami i obrazami. Posiłki spożywał w kantynie SS, nie musiał nosić ubrania obozowego ani nie był zmuszany do pracy. W ciągu dnia jego cela nie była zamknięta i pozwalano mu na kontakt z żoną oraz światem zewnętrznym.

Bandera nie był zatem więźniem obozu koncentracyjnego w rzeczywistym tego słowa znaczeniu. A co zrobił po zwolnieniu z Zellenbau pod koniec września 1944 r.? Przystąpił do tworzenia Ukraińskiego Komitetu Narodowego i Ukraińskiej Armii Narodowej u boku III Rzeszy.

Nie można twierdzić, że nie był odpowiedzialny za to, co się stało w latach 1943-1944 na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Ludobójstwa dokonała organizacja, którą stworzył i osobiście wyszkolił, także ideologicznie. Prawdopodobnie podczas internowania w Zellenbau utrzymywał z OUN-B kontakt, m.in. poprzez żonę.

W dalszej części wypowiedzi Kumoch stwierdził: „(...) Ukraińcy są przekonani, że UPA to jest organizacja, która walczyła o niepodległość Ukrainy przede wszystkim z Sowietami, a w jakimś tam stopniu z Niemcami".

I podsumował: „Na to, że ktoś walczył o swoją niepodległość przeciwko nam, uważam, że musimy sprawiedliwie na to spojrzeć, no niestety".

Walczył o niepodległość? U boku III Rzeszy? Nie czepiajmy się jednak szczegółów. W ramach odpowiedzi na powyższe stwierdzenie można by zacytować Grzegorza Motykę: „Dobrym prawem Ukraińców jest uszanowanie pamięci tych, którzy toczyli bój o wolność swojej ojczyzny. Warto jednak, by dziś podjęli trud odpowiedzi na pytanie: czy w walce o niepodległość każda metoda walki jest usprawiedliwiona?".

Z kolei publicysta Marek A. Koprowski zauważył: „Zbrodnia wołyńska była konsekwencją zbrodniczej

eprasa.pl bf0249a9d2

ideologii Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), która głosiła nienawiść do wszystkich innych narodów mieszkających na terenie Ukrainy. OUN uważała, że trzeba się pozbyć z Ukrainy innych narodowości. Polacy byli największą mniejszością narodową mieszkającą na Wołyniu, więc główną operację skierowano przeciwko nim".

Tę nienawiść głosił sam Bandera i to w jego najbliższym otoczeniu planowano, jeszcze przed wojną, „oczyszczenie" z „obcoplemieńców" ziem uważanych za ukraińskie. Manifest banderowskiego rządu Jarosława Stećki, proklamowanego bez zgody Niemców 30 czerwca 1941 r. we Lwowie (za co Banderę i Stećkę internowano w Spandau i Zellenbau), zapowiadał „obcoplemieńcom", że „władza nasza będzie okrutna". I była okrutna, o czym jeszcze w lipcu 1941 r. przekonali się lwowscy Żydzi. Dlatego rozważania o tym, gdzie był Bandera w 1943 r. i co wiedział o dokonującym się wtedy ludobójstwie na Wołyniu, nie mają jakiegokolwiek sensu i są bez znaczenia.

Enuncjacje byłego ministra stanu skomentował m.in. ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski: „Kolejna żenada. Jakub Kumoch, który do niedawna sterował polityką zagraniczną prezydenta. Do czego wiedzie ten relatywizm? Może to przetarcie drogi dla Andrzeja Dudy, aby mógł nadać Banderze Orła Białego i uznać UPA za Żołnierzy Wyklętych, bo choć mordowali Polaków, to jednak walczyli z Rosją?". Natomiast Łukasz Warzecha stwierdził: „Tego typu relatywizacja […] w ustach urzędnika państwa polskiego jest wybitnie szkodliwa, bo otwiera drogę np. Niemcom do relatywizacji własnych zbrodni wobec nas". Rosjanom też, a potem pretensje, że negują lub relatywizują Katyń.(...)

Nie każdy jednak, kto pisze lub mówi krytycznie o heroizacji na Ukrainie najbardziej skrajnego nurtu tamtejszego nacjonalizmu, uprawia lub wpisuje się w „rosyjską narrację". Z takimi zarzutami lub podejrzeniami musi jednak niejednokrotnie się mierzyć i to jest jeden z absurdów polskiej rzeczywistości.

11 lipca 2021 r., czyli w Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej, premier Mateusz Morawiecki powiedział: „Zbrodnia wołyńska to jedna z największych tragedii w dziejach narodu polskiego i zarazem jeden z najbardziej przerażających aktów ludobójstwa. Zaplanowana i z niewysłowionym okrucieństwem realizowana przez OUN/UPA w piekło cierpienia zamieniła nie tylko Wołyń, ale też liczne wioski Podola, Pokucia czy Małopolski Wschodniej. (...) Nigdy nie zapomnimy o męczeńskiej śmierci wielu dziesiątek tysięcy Polaków, jak też o bohaterstwie tych, którzy stawali w ich obronie. Nigdy też nie pozwolimy na wymazanie z pamięci czy zakłamanie tej strasznej i ważnej części dziejów. (...)".

Taka narracja zaczęła być w Polsce wyciszana po 24 lutego 2022 r., kiedy władze polskie bardzo szeroko zaangażowały się we wspieranie Ukrainy. (...) 11 lipca 2022 r. nie było już deklaracji, że nie pozwolimy na zakłamanie pamięci o ludobójstwie na Kresach, a prezydent Andrzej Duda publicznie pouczył ks. Isakowicza-Zaleskiego, żeby się miarkował w słowach. Wkrótce w kręgach władzy pojawiła się narracja, że „to nasza wspólna wojna" i „Ukraińcy walczą o naszą wolność".

W połowie lutego 2023 r. do Polski przybyli żołnierze ukraińscy, żeby się szkolić z obsługi czołgów Leopard. Skierowano ich na poligon w Świętoszowie (do 1945 r. Neuhammer). Ich ćwiczenia 13 lutego 2023 r. obserwowali prezydent Andrzej Duda i minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak. Na poligonie w Neuhammer żołnierze ukraińscy już raz ćwiczyli. W 1941 r. pod okiem oficera łącznikowego Abwehry Theodora Oberländera szkolili się tam żołnierze utworzonych u boku Wehrmachtu batalionów ukraińskich „Nachtigall" i „Roland". Inicjatywa utworzenia tych formacji, które wzięły udział w hitlerowskiej agresji na ZSRR, wyszła od nacjonalistów ukraińskich z banderowskiej frakcji OUN, którzy kolaborowali z III Rzeszą. Nie wierzę, że prezydent Andrzej Duda i premier Mateusz Morawiecki są nieświadomi tych faktów historycznych i Świętoszów wybrano przypadkowo jako miejsce szkolenia współczesnych żołnierzy ukraińskich. Po co to zrobiono? Żeby uwiarygodnić narrację Putina o „nazistowskim reżimie Zełenskiego"?

Tekst pochodzi z książki Bohdana Piętki *Polska – Ukraina. Polityki historyczne*, wydanej ostatnio przez „Przegląd".

KSIĄŻKA PRZEGLĄDU

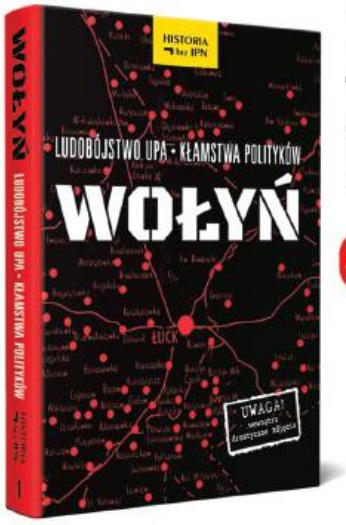

PRAWDZIWA DO BÓLU – zbrodnie banderowców opisane przez tych, którym udało się przeżyć

44 zł

Zamów książkę
na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem
nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl bf0249a9d2

Oko w oko

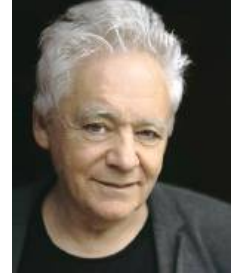

Tomasz Jastrun

Ciężkie czasy

Straszne rzeczy dzieją się w Polsce, kto by się spodziewał, że dożyjemy takich czasów. Jarosław Kaczyński oznajmił w Sejmie, że Mariusz Kamiński podczas pobytu w więzieniu „był torturowany". Tego samego dnia były minister skarżył się: „Wepchnięto mi mniej więcej półmetrową rurę przez gardło do żołądka i przeprowadzono dokarmianie. Wiązało się to z autentycznym cierpieniem fizycznym". Prezes dodał: „Jestem przekonany, że to osobista decyzja Tuska i on osobiście powinien za tortury w Polsce odpowiadać". Na argument dziennikarzy, że Kamiński i Wąsik wyglądają na całkiem zdrowych, odrzekł: „Tortury bywają różne. Są takie, które widać na zewnątrz, i są takie, których nie widać". Po czym prezes opowiedział o swoim wujku okrutnie torturowanym przez hitlerowców, który dożył dziewięćdziesiątki. Takie rodzinne opowieści snuje prezes. Za to po nim widać, że jest codziennie torturowany przez Tuska. Zasypia z Tuskiem, z nim śpi i z nim się budzi, potem prowadza się z nim przez cały dzień. Rzeczywiście tortury. Prezes przypomniał przy okazji, że Tusk ma niemieckie koneksje, stąd jego skłonność do stosowania tortur. Tu już był tylko krok, by porównać Tuska do Hitlera. I ten krok prezes potem zrobił, porównał Tuska do Führera, przemawiając na uroczystości odsłonięcia pomnika brata w Lublinie. „To, że Lech Kaczyński zginął w katastrofie, ale ta katastrofa wynikała z zamachu, a więc w zamachu smoleńskim, z całą pewnością wynikało z tego, że jego polityka wobec Rosji była coraz bardziej skuteczna", wywodził tam.

W Kielcach też było zabawnie, decyzja Ministerstwa Edukacji Narodowej o likwidacji prac domowych w szkołach podstawowych to zdaniem prezesa „uczenie dzieci lenistwa", co ma podkopać naukowy rozwój Polski i wychowywać dzieci „na parobków u Niemców".

Tego nie ma co komentować. Prezes i PiS są w matni; PiS bez Kaczyńskiego się rozleci, a z nim na pokładzie nie wygra wyborów. Prezes jest w takiej desperacji, że postanowił ogłosić, że w Polsce już nie ma demokracji, a parlament jest fikcją, „konstytucja przestała działać" i potrzebny jest „okres przejściowy" z nowym rządem. A potem PiS wróci do władzy. Ten „okres przejściowy" mnie zaintrygował. Na czym ma polegać, jak do niego doprowadzić? Prezesowi majaczą przedterminowe wybory, Duda rozwiąże parlament i PiS je wygra. Duda boi się prezesa, ale jeszcze bardziej boi się tak radykalnych kroków, które mają słabe umocowanie prawne. Prezes zaczyna więc publicznie narzekać na prezydenta. A przecież nowe wybory byłyby druzgocącą klęską PiS. Wie o tym Tusk i nagle to on zaczyna nimi straszyć oponentów: zrobimy je, jeśli prezydent nie zatwierdzi budżetu.

Prezesowi zatem coś nieustannie się roi. Tu kończy się polityka, a zaczyna czarna magia. Nie wykluczam, że nocami Kaczyński bierze fotografię Tuska i wbija mu szpilki w oczy. Generalnie to jest samobójcza taktyka, brnięcie w fikcję, w spisek niemiecki, w spisek smoleński. Tak nikogo nowego do PiS nie przyciągniecie, a wahających się zniechęcicie. Waszymi wyznawcami będą głównie półświadomi emeryci i wiejski lud zaściankowy. Oby tak dalej, im bardziej będziecie bredzić, tym bardziej przegracie, a za chwilę wybory samorządowe. Zostaną przez PiS przegrane, jeśli wyraźnie, to będzie zmierzch tej partii.

•

Żyję mało kulturalnie, prawie nie chodzę do teatru i pewnie źle o mnie świadczy, że od teatru wolę kino, to jakby ktoś wolał wódkę od wina. Czytam tylko te książki, o których będę pisał, mam od lat w „Zwierciadle", na ostatniej stronie miesięcznika, felieton o książkach. Nie czytam jednak zupełnie współczesnej prozy, chociaż sam ją piszę. Podejrzane. Mój 17-latek uwielbia chodzić do kina. Wiele wie o współczesnym filmie, kino jako obiekt to dla niego zaczarowana świątynia. I to on motywuje mnie, by chodzić do kina. Mogę polecić czytelnikom dwa filmy, warto oderwać się od naszej męczącej polityki, a one wciągają w swój świat. Z Antkiem byłem na niezwykłym i osobliwym filmie „Biedne istoty" („Poor Things") greckiego reżysera Yorgosa Lanthimosa. Fascynujący. Łączy różne gatunki, science fiction, przypowieść filozoficzną, horror, komedię i romans, ale widać też odniesienia do różnych gatunków malarstwa, choćby do surrealizmu. A już w pełni rodzinnie byliśmy na „Przesileniu zimowym" („The Holdovers") w reżyserii Alexandra Payne'a. Piękny film, podobał się bardzo Franiowi, mojemu 13-latkowi, i mnie, 73-latkowi. Ten film wejdzie do klasyki kina świątecznego. Mogę go śmiało wszystkim polecić. ■

Prezes zasypia z Tuskiem, z nim śpi i z nim się budzi, potem prowadza się z nim przez cały dzień. Rzeczywiście tortury.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bf0249a9d2

150. ROCZNICA URODZIN WINCENTEGO WITOSA

Wincenty Witos (trzeci od lewej) wśród posłów Koła Polskiego w parlamencie w Wiedniu, 1912 r.

21 stycznia 1874 r. pod strzechą chałupy w Wierzchosławicach (pow. Tarnów) przyszedł na świat Wincenty Witos, późniejszy przywódca polskiego ruchu ludowego. Od dzieciństwa pracując w dwumorgowym rodzinnym gospodarstwie, w wieku 10 lat poszedł do dwuletniej szkoły wiejskiej. Bieda nie pozwoliła mu na kontynuację nauki. By wspomóc rodzinę, imał się każdej pracy, był m.in. drwalem. Dalszą wiedzę zdobywał samodzielnie, pochłaniając dostarczane przez zaprzyjaźnionego nauczyciela i leśniczego książki i czasopisma. Także karierę polityczną i społeczną zawdzięczał uporowi i wytrwałości.

Polityczna droga Witosa wiodła od funkcji wójta w rodzinnych Wierzchosławicach, przez galicyjski Sejm Krajowy we Lwowie i Radę Państwa w Wiedniu, do posła na Sejm i potrójnego premierostwa w odrodzonej Polsce. Skazany w procesie brzeskim, w 1933 r. zdecydował się na emigrację do Czechosłowacji. Po zajęciu przez Niemców Czech i Moraw w marcu 1939 r. wrócił do Polski i w maju objął funkcję prezesa PSL. Po wybuchu wojny aresztowany przez Niemców. W 1941 r. zwolniono go ze względu na zły stan zdrowia z nakazem pobytu pod nadzorem w Wierzchosławicach. Nigdy nie dał się namówić na poparcie prób budowy marionetkowego państwa polskiego pod niemiecką kuratelą. W 1944 r. odmówił wydania antyradzieckiej odezwy. Mimo propozycji nie podjął też współpracy przy tworzeniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej

Na emigracji w Czechosłowacji. Rožnov, 1936 r. (pierwszy z prawej).

FOT. MUZEUM HISTORII POLSKIEGO RUCHU LUDOWEGO (5), NAC(2)

eprasa.pl bf0249a9d2

Wincenty Witos, lata 30.

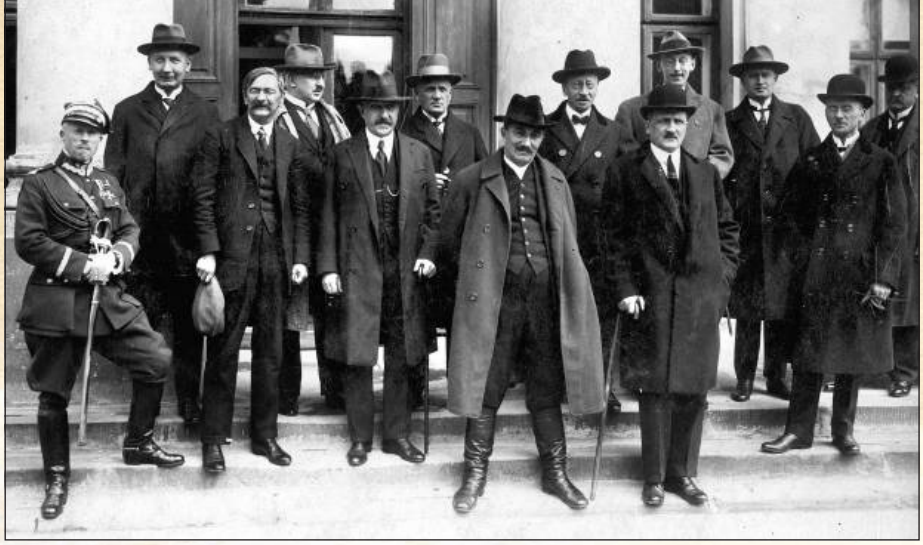

Po raz trzeci na stanowisku premiera. Koalicyjny gabinet PSL „Piast" i Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej. Warszawa, 11 maja 1926 r.

i Krajowej Rady Narodowej w 1945 r. Zmarł 31 października 1945 r. w Krakowie.

Atakowany z prawej i lewej strony sceny politycznej Witos pisał w pamiętnikach: „Były czasy, kiedy dla jednych byłem chłopem arystokratą, dla drugich – zwyczajnym sanguszkowskim drwalem. Gdy jedni chcieli widzieć we mnie tylko rozbójnika – Szelę, pragnącego pożreć żywcem szlachtę, a nawet księży – to w tym samym czasie drudzy ogłaszali mnie uroczyście zdrajcą chłopów, księżym parobkiem i pańskim lokajem". *(rp)*

Proces brzeski. Oskarżeni Kazimierz Bagiński, Wincenty Witos i Herman Lieberman (stoją od prawej) podczas przerwy w procesie. Warszawa, 1931 r.

Po powrocie do kraju. Wincenty Witos przed wyjazdem do Tarnowa. Wierzchosławice, 1939 r.

Rodzina nad ciałem Wincentego Witosa. Kraków, 31 października 1945 r.

eprasa.pl bf0249a9d2

ZGNIŁY NAM SUMIENIA

Mamy wiele przykładów idealistów, którzy kilkanaście lat temu robili wspaniałe rzeczy, a teraz stali się łajdakami

JAN KLATA
– reżyser, dramaturg

Jan Klata – (ur. w 1973 r.) laureat polskich i zagranicznych nagród, m.in. Europejskiej Nagrody Teatralnej i Nagrody im. Konrada Swinarskiego. Jego spektakle były prezentowane m.in. na Festiwalu Jesiennym w Paryżu, Biennale w Wenecji, Olimpiadzie Teatralnej w Sankt Petersburgu i w Budapeszcie.

Rozmawia Mateusz Demski

Przez telefon mówił pan, że ledwo władza się zmieniła, a już pociągi zaczęły kursować według rozkładu. Zniknęły opóźnienia.

– Dzisiaj też przyjechał punktualnie! Piąta rano z Wrocławia.

Może coś jest na rzeczy? Może państwo, żeby trzymać się tej kolejowej alegorii, wraca na swoje tory?

– Są takie małe sygnały, oczywiście, przypadkowe. Ale są też pewne widoczne modele zachowań, funkcjonowania państwa, modele powstrzymywania władzy przed nadużyciami. Każda władza ma tendencję do tego, by swojej pozycji nadużywać i nazywać to sprawiedliwością. Platon to zresztą trafnie opisuje w „Państwie". Pytanie, na ile Sokrates, któremu on te słowa wkłada w usta, utożsamiłby się z wszystkimi poglądami, które wygłasza w dialogu. Bo, jak wiadomo, Sokrates niczego nie napisał. Po prostu nie chciał. Wolał chodzić po ludziach i ich wkurwiać. Wzbudzać powszechną zawiść.

Dzisiaj nazwalibyśmy go mącicielem albo, mówiąc potocznie, trollem.

– Kontrarny troll! Kiedyś zastanawialiśmy się nawet, kto takim Sokratesem mógłby dzisiaj być. Linda Pöppel, fantastyczna niemiecka aktorka, która gra u nas Trazymacha, była akurat pod wrażeniem otwarcia Targów Książki we Frankfurcie (największej tego typu imprezy na świecie), kiedy przemawiał Slavoj Žižek. Gdy zahaczył o sprawę izraelsko-palestyńską, podniosły się wrzaski, że nadużywa i manipuluje. Odpowiedział, że nie manipuluje, tylko korzysta z wolności wypowiedzi. Jak ktoś ma inne zdanie, to prosi tylko, żeby poczekał, aż skończy. Wtedy pomyśleliśmy, że ten Žižek byłby najbliżej; że to taka osoba sokratejska.

Przejdźmy do „Państwa", które weszło na afisz w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. Platon pisał je 2,4 tys. lat temu.

– Mniej więcej, można tak zaokrąglić. 25 stuleci.

Najogólniejsze tezy pozostają jednak aktualne. Platon pisze: „A szczyt niesprawiedliwości to

eprasa.pl bf0249a9d2

uchodzić za sprawiedliwego, nie będąc nim".

– Zaiste, mówi to Adejmantos. Jeśli będę niesprawiedliwy, ale pozyskam reputację sprawiedliwego, będę żył jak młody bóg. Generalnie z Sokratesem w „Państwie" rozmawiają uczniowie. U nas nie wiadomo, czy to na pewno uczniowie, czy byli uczniowie, nieco wykolejeni. Założenie było takie, że nie robimy perypatetycznych dialogów, gdzie panowie z brodami filozofują, chodząc po nabrzeżu Pireusu czy innym Gaju Akademosa. Nasza scena to dziwna przestrzeń przedśmiertna Sokratesa. Mechanizm demokratyczny pozbywania się niewygodnych członków wspólnoty zadziałał. Na glinianych skorupkach zostało już gremialnie napisane jego nazwisko. W związku z tym mogliśmy sobie pozwolić na taką wizję, że ci jego uczniowie – Glaukon, Adejmantos – przeszli na drugą stronę. Mamy wiele przykładów idealistów, którzy jeszcze kilkanaście lat temu robili wspaniałe rzeczy, a teraz po prostu stali się łajdakami.

Na przykład?

– Pan Kamiński. Pierwszy z brzegu, nieprawdaż?

Przytoczony fragment pasuje do niego jak ulał.

– Ale, jak pan zauważył, my starannie takich dosłowności na scenie unikamy. Nie dajemy się wciągnąć ani w pułapkę białych szat, koturnów i żenującej rekonstrukcji rodem z Monty Pythona, ani nie robimy tego w garniturach, na podobieństwo scen spod więzienia w Radomiu. Raz tak postąpiłem, kiedy odczuwałem potrzebę, by zrobić „dwupak" na temat rewolucji. Jedna jego część nazywała się „Szewcy u bram", a druga – „Sprawa Dantona". Specjalnie poszedłem wtedy maksymalnie w jedną i drugą stronę, wyostrzając różne rzeczy w ramach eksperymentu, co prawdopodobnie nie posłużyło „Szewcom". Już mi wystarczy. Szkoda marnować na to Platona. Gęstość tego języka, frazy, tych zdań jest tak genialna, że na to musi zostać położony akcent w realizacji teatralnej. To zdania, które warto zapamiętać i wytatuować sobie na całe życie.

Najlepiej po starogrecku. Warto zaznaczyć, że spektakl wystawiany jest w martwym od stuleci języku; aktorzy mówią nim pięknie ze sceny.

– Wyciągnąłem wniosek z tego, że to koprodukcja polsko-niemiecka. Cofam się do tego, co mamy wspólnego w Europie, a mamy wspólne rzymskie drogi i grecki namysł nad tym, co istotne dla zbiorowości, w formie z jednej strony filozofii, a z drugiej – teatru. Śmieję się, że spełniamy w ten sposób niezrealizowane przez Platona marzenie o zostaniu dramatopisarzem. A ponieważ nim nie został, z zawiścią przyglądał się temu, co piszą inni, i postanowił stworzyć takie państwo, w którym będzie to albo zatwierdzał, albo nie zatwierdzał. U nas pojawia się to w scenach, gdy dochodzi do podmiany Sokratesa na jego wersję, że tak powiem, bardziej medialną. Nagle odzywa się w nim cenzor, który mówi: OK, Homer jest bardzo poetycki, ale musimy jego dziełom się przyglądać, patrzeć na skutki, wtedy może dopuścimy go do obiegu, a może nie.

Przytoczę kolejny cytat z Platona: „Musimy roztoczyć nadzór i nad tymi, którzy się biorą do układania mitów".

– My sami nie jesteśmy poetami, my tylko tworzymy państwo… Oczywiście, że tak. Bardzo współczesne. Kontrolujemy narrację. Ale to odnosi się i do kurator Barbary Nowak, która będzie się zastanawiała, czy Konrad może być kobietą, czy nie może, i jak to wpłynie na młodzież, bo przecież zakrawa to na „tęczową propagandę", i do zjawiska *cancel culture*, które było spowodowane dobrymi intencjami, a teraz, uważam, jest kompletnie szkodliwe i zdegenerowane.

Czyli nie ma różnicy?

– Efekty są te same. Jak czytam, że platformy streamingowe noszą się z pomysłem wyrzucania z klasycznych filmów scen, w których bohaterowie palą papierosy, bo palenie jest niezdrowe, to mamy zasadniczy problem. To postawa nazwana prezentyzmem. To tak, jakby się zastanowić, dlaczego Hannibal szedł ze słoniami przez Alpy, zamiast wsiąść w samolot i zbombardować Rzymian. Czasem są to tak idiotyczne i kuriozalne wytrychy myślowe, że nie przestaje mnie zadziwiać entuzjazm, z którym są przyjmowane. Część „środowiska teatralnego" ciągle trwa w przekonaniu, że Zygmunt Krasiński do spółki z Konradem Swinarskim są odpowiedzialni za Holokaust.

Wróćmy do mitów, bo sporo ich ostatnio: Smoleńsk, „wyklęci"…

– No i mamy kolejny rodzący się mit. Heroiczni głodujący, męczennicy walki z korupcją. Tak to się tworzy i tak to przez lata działało. Pamiętam, jak przed Starym Teatrem w Krakowie zbierali się aktywiści „Gazety Polskiej", żeby gracko wyrecytować wersy z „Dziadów" na znak protestu przeciw „komunizacji i sowietyzacji życia kulturalnego". Pan może sobie wpisać w wyszukiwarkę hasło, zresztą poetyckie bardzo: „Klata – won!".

Wraca pan do tego, co się wydarzyło wokół „Do Damaszku".

– Tak, ale proszę to sobie zobaczyć! Najpierw zbierają się pod pomnikiem Mickiewicza, człowieka, który nigdy nie był w Krakowie. To tak à propos tworzenia mitów. Goethe był w Krakowie przynajmniej 48 godzin, ale pomnika się nie doczekał. No więc tych kilkanaście mokrych osób przemieszcza się pod Stary Teatr, mają zestawy głośnomówiące, z których idą przemówienia, ale głównie... „Etiuda rewolucyjna" Chopina. Potem wręczają panu z portierni „czarną listę" i następuje żenada: czytają, na głosy, scenę „Salonu warszawskiego" z „Dziadów", którą potem Maja Kleczewska zrobiła w Teatrze Słowackiego.

Weźmy raz jeszcze Wąsika i Kamińskiego. Ludzie w ich obronie posługują się hasłami: „wolność słowa", „wolność prasy".

– Białoruś, konstytucja… Absolutne odwrócenie – zastępujemy jednego Platona drugim Platonem, który mówi nam, jak mamy żyć. A na początku śmiali się wszyscy, ile można straszyć PiS-em, że Antoni

W kulturze zaroiło się od ludzi, którzy w innych realiach tych stanowisk by nie zajmowali.

FOT. BARTEK BARCZYK

eprasa.pl bf0249a9d2

Macierewicz na ministra obrony narodowej. Aż nastąpił moment pt. „uszczypnij mnie". Wszystkie żarty się spełniły. Ci ludzie przejęli władzę i rządzili osiem lat, budując rzeczywistość równoległą, w której niejaki Michael Gieleta jest najsłynniejszym polskim reżyserem teatralnym. A skoro to się zdarzyło raz, czemu ma się nie zdarzyć za dwa, za cztery lata. Skoro dyrektorem Starego Teatru mógł zostać ktokolwiek, i to kilkukrotnie, dlaczego patriotyczny działacz Bąkiewicz nie miałby powrócić i zostać ministrem kultury?

Krzyki z widowni i gwizdy miałby pan co wieczór. Od incydentu przy wystawianiu „Do Damaszku" minęła okrągła dekada. Powtórzyłem sobie to słynne nagranie na YouTubie.

– „Hańba!". To był ich test, w ten sposób ćwiczyli, jak daleko mogą się posunąć w propagandzie. Pan wie, że na widowni podczas tego „spontanicznego" protestu znajdowała się ekipa filmowa Ewy Stankiewicz, z filmu wiadomego? Zupełnie przypadkowo znaleźli się na jednym ze spektakli. „Przechodzili z tragarzami", że zacytuję dzieło Barei. A już poważnie, prawicowa polityczna bojówka przyszła rozpieprzyć na chama spektakl na narodowej scenie. Nie udało im się porwać publiczności, zostali przez nią wyklaskani i opuścili salę. Ale co poszło w świat? Wszystkie media pytały: „Panie dyrektorze, ale szczerze: aktorzy kopulowali czy nie kopulowali?". Jaki jest namysł nad teatrem, nad sztuką, gdy dajemy się wkręcić w taką narrację? Oto platońskie: wypracujemy pewne schematy, wedle których poeci będą układać mity, a reszty zabronimy. Na tej zasadzie naprawdę jesteśmy w kosmosie, tworzymy absolutnie równoległą rzeczywistość, w której gestapowski Tusk torturuje bohaterskiego Kamińskiego za pomocą rury.

Osiem lat serwowali nam to w Telewizji Polskiej. Będąc u babci, czasem oglądałem. Ona sama z wyważonej osoby stała się agresywna.

– O tym też jest scena między Trazymachem a Sokratesem. „A jeśli niesprawiedliwość wejdzie między dwoje ludzi, to czy ich podzieli tak, że zaczną się nienawidzić?". To dokładnie to. Tektonicznie pęknięte rodziny. Staliśmy się sobie śmiertelnymi wrogami.

Jednocześnie nie mogę się pozbyć wrażenia, że Sokrates był w swojej filozofii strasznie naiwny. Te wszystkie postulaty o szukaniu zgody i przyjaźni w świecie, uczciwości i dobrej woli w ludziach.

– Ale takie naiwne jednostki zmieniały świat. Gandhi zmienił świat. Jezus, ktokolwiek nim był, zmieniał świat. Notabene Sokrates jest pierwszą postacią chrystusową. Mędrzec, który zdecydował się oddać życie w imię ideałów, choć uczniowie mogli go wykupić. Dwa lata przebąblowałby za granicą i potem by wrócił, ale wybrał kurs kolizyjny. Złożył się w ofierze własną decyzją. I sam jego sposób funkcjonowania jest całkiem chrystusowy: niedbanie o dobra doczesne itd. No, zdecydowanie więcej imprezował…

Ale częściej jestem w stanie podpisać się nie pod słowami Sokratesa, lecz pod tymi, które padają z ust jego dysputantów. Trazymach mówi: „Ja twierdzę, że to, co sprawiedliwe, to nic innego jak tylko to, co leży w interesie silniejszego".

– Oto właśnie pułapka na widza. Widzimy charyzmatyczną aktorkę w roli, która niezwykle do niej pasuje, bo Dominika Bednarczyk jest altruistyczną, wrażliwą na krzywdę innych osobą, stworzoną do tego, żeby Sokratesa zagrać. Przyłapujemy się jednak na tym, że zderza się ona z opiniami, z którymi się zgadzamy. Najlepiej jest w życiu podawać się za sprawiedliwego, ale być maksymalnie niesprawiedliwym. Glaukon mówi trafnie: „Jesteśmy sprawiedliwymi nie dlatego, że chcemy być sprawiedliwi, tylko dlatego, że boimy się, że ktoś wobec nas postąpi niesprawiedliwie". Sprawiedliwość jest „mniejszym złem", zgniłym kompromisem. W idealnym świecie my byśmy wszystkich innych bezkarnie nawalali pałą i czerpali korzyści, ale boimy się, że ktoś może mieć większą pałę i zgotuje nam jesień średniowiecza. A ponieważ Sokrates nie akceptował kompromisów, na prawo i lewo narażał się potężnym ludziom, to musiał zostać zabity przez wspólnotę, której chciał pomóc otworzyć oczy. Porównywał się do gza, który gryzie rasowego konia, żeby wybudzić go z drzemki.

Czyli sprawiedliwość jako materia względna. Znowu bardzo współczesne.

– Tym bardziej po ośmiu latach rządów partii paradoksalnie nazwanej Prawo i Sprawiedliwość. Totalnie orwellowska nazwa. Jak „Ministerstwo Prawdy". Ludzie są przez nich potwornie rozpuszczeni i zdemoralizowani. Zgniły nam sumienia. Począwszy od słynnej, powszechnej mądrości, że co prawda kradną, ale się dzielą, a skończywszy na rosyjskim powiedzeniu: „Skoro zwalniają, to znaczy, że będą przyjmować".

Nagle w kulturze zaroiło się od ludzi, którzy w żadnych innych realiach tych stanowisk by nie zajmowali. W tym sensie rzeczywiście powstały te „nowe elity", bynajmniej nie ideowe, co Sławomir Sierakowski już kilka lat temu zauważył: na początku Gliński, Sellin, Terlecki i inni tytani prawicowej rewolucji kulturalnej mieli głębokie poczucie, że oto istnieje przebogata pula wyklętych twórców kultury, którzy byli prześladowani, głodzeni i ukrywani gdzieś w lochach, heroicznie cierpiąc z powodu wyznawanych poglądów prawicowych. Po dwóch latach okazało się, że wprawdzie *dance floor is yours*, ale tam nikogo

Tytani prawicowej rewolucji kulturalnej mieli poczucie, że istnieje przebogata pula wyklętych twórców kultury.

Włodarze stwierdzili: nie mamy może swoich twórców, ale wystarczy, że wykończymy tych, których nienawidzimy, i zastąpimy ich kimkolwiek.

eprasa.pl bf0249a9d2

„Państwo”, Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie.

nie ma. W związku z tym włodarze przeszli do punktu B, tj.: nie mamy może swoich, ale wystarczy, że wykończymy tych, których najbardziej nienawidzimy, i zastąpimy ich – uwaga, uwaga – kimkolwiek. Co prawda wiemy, że to karierowicze, a nie żadni ideowcy, ale tym lepiej będą nam służyć i się nie wychylać, bo doskonale zdają sobie sprawę, że to nam wszystko zawdzięczają. Przymierze obrzydliwego cynizmu.

No dobrze, a jak rozumieć państwo sprawiedliwe w myśleniu Platona?

– Jest pewien słynny wyraz, którego Grecy nie znali, mimo że brzmi bardzo grecko, czyli utopia. Pochodzi od *utopos*, „bez miejsca”, a wymyślił ją Tomasz Morus. Notabene też oddał życie za ideały, bo przestał pasować do systemu, który zmienił się w Anglii. Pytanie w ogóle, czy „Państwo” jest utopią, czy dystopią. Nam to zostało tylko w wątku podmienionego Sokratesa postulującego cenzurę. Osoba sokratejska w postaci Karoliny Kazoń mówi, że jak widzimy postać szlachetną, to chcemy ją naśladować – i bardzo dobrze, ale jak widzimy nieszlachetną, to też chcemy ją naśladować, niestety. Co możemy zrobić? Na wszelki wypadek może nie przedstawiajmy tych nieszlachetnych. No i mamy „wielkie” pytanie środowiska teatralnego o tzw. reprodukcję przemocy. „Makbet”? Przecież tyle przemocy, że hej! Nie możemy tego pokazywać. Narusza to mój poziom komfortu. Nie mówiąc o tym, że nie jesteśmy Szkotami, a to już przywłaszczenie kulturowe. No to, jak mówi Platon, „będziemy skreślać”.

Co w takim razie powiedzieć na „Act of Killing”? Przypomnę: pański spektakl o jednym z największych masowych mordów XX w. w Indonezji.

– Słyszałem opinię, że pewne osoby ze środowiska wychodziły w połowie i opowiadały, że czują się tym spektaklem zgwałcone. Przypomnę, że było to w Krakowie, czyli bodaj 500 km, no, może trochę więcej, od Buczy. Paranoja totalna. Kompletne oddzielenie od rzeczywistości. Co więcej, my byliśmy na drodze powolutku, acz nieubłaganie prowadzącej do takiego „Act of Killing”. Robienie przewałów z Funduszu Sprawiedliwości, funkcjonowanie tych wszystkich młodzieżówek, fundacyjek, kręgów prokuratorskich, policyjnych przewałów itd. Dwa miesiące minęły, a wychodzą na światło fakty, które jeżą mi na głowie resztki irokeza. Gdyby ludzie nie stali do urn w kolejkach, to byłby już *point of no return*, jak mawiają w Unii Europejskiej. To było na drodze nie tyle do Węgier, ile do Turcji. Nie wrócilibyśmy z kolejnej kadencji. Ta pętla mocno się zaciskała. Przed tym przestrzega, w formie przesadzonej oczywiście, jak to w teatrze, „Act of Killing”.

Które otwiera wymowny cytat z Woltera: „Zabijanie jest zakazane, dlatego mordercy są karani. Chyba że zabijają masowo i przy dźwiękach fanfar”.

– Wolter oczywiście powtarza za Trazymachem: „Jeśli na małą skalę czynisz niesprawiedliwość, to wszyscy cię potępiają i wtrącają do więzienia. Ale jeśli robisz to na wielką skalę, to jesteś czczony i uwielbiany przez wszystkich świadków twojej niesprawiedliwości”. Nie wiem, czy pan widział fantastyczny film dokumentalny „Mgły wojny”. To półtorej godziny rozmowy z Robertem S. McNamarą, facetem odpowiedzialnym za bombardowanie Tokio, za decyzję o zrzuceniu jednej i drugiej bomby atomowej. I jest on w stanie racjonalnie bronić każdej decyzji. W pewnym momencie mówi, że musiał spuścić te dwie bomby, w efekcie czego zginęło stosunkowo niedużo ludzi, żeby uniknąć trzech lat partyzanckiej walki w górzystym terenie z Japończykami, milionowych strat i klęski następnej wojny ze Stalinem. À propos, nie wiem, czy pan zna reżysera Sokurowa.

Ależ oczywiście.

– W filmie „Cielec” patrzymy na ostatnie chwile Lenina, na podupadłego szatanka na wózku, do którego przyjeżdża już większy szatan Stalin. Niesamowite, jak ja dzięki magii sztuki Leninowi, temu skurwysynowi, współczuję na poziomie czysto ludzkim. Na tym polega potęga wychodzenia poza zideologizowanie prawicowe czy lewicowe; dotykanie tajemnicy. Dzięki aktorstwu Lindy Pöppel wiem, że nikt z nas nie chce się zgodzić z McNamarami i Trazymachami tego świata, ale świat jest tak skonstruowany. Mniejsze zło. W tym sensie wszyscy jesteśmy nie tyle Chrystusami, ile Trazymachami.

Ale mówimy o państwie sprawiedliwym. Gdzie w nim miejsce na teatr?

– Platon teatru nie lubił, bo go nie rozumiał. Teatr jest zbyt niejednoznaczny. To nie jest geometria. Kilka lat temu pracowałem nad „Trojankami” i zapamiętałem, jak skończył Eurypides. Był na tyle rezolutny, żeby uciekać z Aten, zanim go współobywatele demokratycznie zabiją za to, że się ich czepia, no ale już

eprasa.pl bf0249a9d2

na wychodźstwie rozszarpały go psy. Notabene Eurypides mieszkał w jaskini, miał stamtąd ładny widok.

Przynajmniej coś widział, bo ci z platońskiej jaskini...

– Widok mieli dosyć umiarkowany. Nieco zmanipulowany, ale jakże ciekawy (śmiech).

Ludzie dzisiaj też siedzą uwięzieni w jaskiniach, patrząc na „obrazki" na ścianie.

– Tak, telewizor, ekran komputera i smartfona są dzisiaj cieniami z platońskiej jaskini. Co tam się wyemituje, tak będzie. Pytanie, ile lat te cienie się nawala, żeby ludzie w nie uwierzyli. Okazało się, że chyba wystarczająco długo. Inne pytanie, czy się opłaca, czy warto wychodzić z tej jaskini. Jest takie piękne określenie u Platona: „Wraca z popsutymi oczami". Finał jest taki, że gdyby ten, co wyszedł z ciemności na światło, powiedział reszcie, co zobaczył na górze, to oni by go zabili. Z pewnością.

Wróćmy do teatru. Czyli nie znajduje on miejsca w państwie Platona?

– No, chyba że taki teatr, jakiego chciałaby część środowiska teatralnego teraz w Polsce. Czyli zajmujący się jedynie słusznymi tematami, z jedynie słusznego punktu widzenia, w jedynie słuszny sposób, uprawiany przez odpowiednio bezbarwnie słuszne osoby teatralne, odpowiednio skonformizowane w jedynie słusznych kręgach wzajemnej adoracji. W Warszawie mamy bodaj siedem dokładnie takich samych teatrów z tymi samymi twórcami, robiącymi spektakle dla tych samych kilkudziesięciu osób. Platońska monokultura.

A teatr sprawiedliwy – czy coś takiego w ogóle istnieje?

– Nie wiem, czy istnieje teatr sprawiedliwy, ale myślę, że tak jak w każdym innym zawodzie można sobie stawiać trochę wymagań i próbować być sprawiedliwym w sposób nieoczywisty. Chodzi o to, żeby postępować sokratejsko i być bardziej jak ten giez niż ktoś „ratujący substancję" i konformizujący się do tego, by funkcjonować w ramach systemu wyznawców styropianowego sromu. Lech Janerka kiedyś śpiewał: „Lubią nas, a my lubimy znowu innych / Lubią nas, drabina głupich sięga nieba". To mniej pytanie o sprawiedliwość, a bardziej o nonkonformizm. Pytanie niemal sokratejskie: jaką cenę jesteś w stanie zapłacić za stawianie niewygodnych pytań?

A pan już zna tę cenę?

– Ależ skąd! Co ja – warszawiak z urodzenia i z wyboru – mogę o tym wiedzieć? Jest takie rosyjskie przysłowie: „Kto płaci, ten i zamawia muzykę". Jeśli istnieje jakiś Sokrates, który temu przysłowiu i stadnym nawykom myślowym się nie podporządkowuje, to wiadomo, że musi wypić cykutę. Przecież sprawiedliwość to szlachetna naiwność. A potem – jak jest w spektaklu – przychodzi Adejmantos, robi z trupa marionetkę i jego rękoma ilustruje swoje poglądy. Przecież ma męczennika, którego nie zawaha się użyć, i w imieniu tego męczennika uzyskuje, jak to się mówi, zasięgi. Wkłada mu w usta swoje myśli, które zaczynają docierać szerzej, bo ktoś niewątpliwie złożył życie w ofierze – choć niekoniecznie za te słowa, ale to szczegół, z czasem coraz mniej istotny. Jest tak, jak chcemy, żeby nam się zdawało. Lubimy w dobrym towarzystwie dożywotnio gapić się na ścianę jaskini, nie wychodząc ze swojej myślowej strefy komfortu. Ktoś, kto to ujawni, musi zniknąć bezpowrotnie. Nieco mroczna wizja świata, ale można w niej się przejrzeć, niezależnie od środowiska, w którym się funkcjonuje.

Mateusz Demski

WYDAWNICTWO WARSTWY POLECA

Tadeusz Różewicz, Mieczysław Porębski
Pisanie jest tylko dodatkiem
Korespondencja 1946–2011
red. Krystyna Czerni

Książka przybliża dwie bardzo istotne osobowości literatury i kultury polskiej XX w. Z jednej strony mamy Tadeusza Różewicza, jednego z najwybitniejszych i najczęściej tłumaczonych na języki obce polskiego pisarza. Z drugiej – Mieczysława Porębskiego, także pisarza, ale przede wszystkim cenionego krytyka sztuki, wykładowcę w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, od 1970 r. profesora na Uniwersytecie Jagiellońskim, od 1974 r. kuratora w Muzeum Narodowym w Krakowie. Zgromadzone listy są zapisem przyjaźni dwóch intelektualistów i ludzi kultury, ale też dialogiem dotyczącym sztuki, literatury i spraw społeczno-politycznych. Niosą one ponadto wartość czysto literacką, co dodatkowo wzmacniają załączone teksty poetyckie, rysunki, fotografie, wycinki prasowe oraz programy teatralne.

Tymoteusz Karpowicz
Eseje, t. 4
red. Jan Stolarczyk

Czwarty tom „Esejów" Tymoteusza Karpowicza zamyka dziesięciotomową, zapoczątkowaną w 2011 r. edycję jego „Dzieł zebranych". Eseje, publicystyka, rozmowy oraz – co ciekawe – kolejne nieznane dotąd wiersze z początków i z końca twórczej działalności rzucają nowe światło na pisarski profil autora, poszerzając znacznie obszar jego zainteresowań i odsłaniając przed czytelnikami jego wszechstronność, czujność i wnikliwość zarówno w tworzeniu, jak i opisywaniu literatury. Niezależnie jednak od tego, czy po raz kolejny wraca do „swoich" tematów, czy pisze o bieżącym życiu literackim, społeczno-kulturalnym bądź politycznym – nie ma wątpliwości, że to ten sam Karpowicz, wielowymiarowy twórca, odbiorca i obywatel kultury.

eprasa.pl bf0249a9d2

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Zdrowo pod górkę

Antoś mnie zapytał ze swoim cudownie dziecięcym przejęciem: „Tato, a kogo bardziej kochasz, mnie czy góry?”. „Prawda nigdy nie jest po stronie nizin, prawda jest zawsze po stronie gór” – taki arbitralny cytat z Jurka Pilcha noszę na koszulce, którą dostałem podczas ubiegłorocznego festiwalu Granatowe Góry imienia Pilcha właśnie. Skądinąd dotarłem nań pieszo, pogoda była już letnia, na łąkach siglańskich konie się pasły, pod Jarzębatą owce miały samowolkę, sielsko się schodziło ku Wiśle opanowanej przez towarzystwo pisarskie. Noszę, a właściwie obnoszę się z tym nadrukiem nieustannie, cudem mi się jeszcze napis nie sprał, gdybym wiedział, że tak mi w nim będzie dobrze, wymęczyłbym u organizatorów jeszcze kilka egzemplarzy, choć zdaje się, że w moim obecnym rozmiarze haniebnym mieli już inne cytaty, nie, żeby pomniejsze, bo Pilch, co zdanie, to strzelał celnie aforyzmem, no ale tak jednoznacznie po stronie gór opowiedział się bodaj tylko raz, w „Drugim dzienniku”.

Niegdyś mieszkałem w Wielkich Górkach, nawet tam odprawiłem weselisko, tyle że się żeniłem z kobietą wybitnie nizinną, choć z wyżyn społecznych bez wątpienia. Teraz mieszkam w małych górach, takich, co to się w nich ani zmęczyć, ani zgubić, ale w sam raz na to, by kondycję podtrzymywać. Aby dojść do siebie (w sensie ścisłym, jak rzekłby Pilch), najpierw wdrapać się muszę z dna doliny kilka poziomic wzwyż, a potem jeszcze wgramolić na poddasze.

Zawsze twierdziłem, że należy szukać mieszkań wysoko w budynkach bez windy: moja matka zachowuje zdrowie pod dziewięćdziesiątkę najpewniej dzięki temu, że przez całe życie prześladowały ją mieszkania na drugim piętrze, na które dreptać musiała po schodach – od rodzinnego familoka przy Friedenshütte, przez modernistyczną willę w Chorzowie, po blok w Lesie Cygańskim. Ojciec zmarł już parę lat temu zapewne dlatego, że po separacji z matką przeniósł się piętro niżej – o tyle żył od niej krócej, o ile przez ostatnie dekady mniej przedreptał schodów. Ja po miesięcznym stypendium kurlandzkim tak odwykłem od nierówności terenu, że ledwie żywy doczłapałem do swojej górskiej przechowalni, a na ulicach Bielska-Białej, mojej sąsiedzkiej metropolii, nagle zauważałem mięśniem skwaszonym i oddechem spłyconym, że nie ma tu nigdzie płaskich odcinków. Mieć na co dzień pod górkę jest zatem zdrowo dla ciała, a i dusza się od tego hartuje.

„W Tatrach zawsze żyłem żwawiej, folgując instynktom, do coraz to nowych ludzi się zbliżając, na tle górskim i podgórskim, w okolicznościach dziennych i wieczorowych”, napisałem niegdyś na skrzydełko „Spisków”, bo też Tatry są żywiołem dzikim, nieokrzesanym, wymagającym – te góry kocham nad wszystkie inne, ale żyć bym z nimi na co dzień nie mógł. Tatry są jak wiecznie nienasycona kochanka, za której potrzebami zdyszany ledwo nadążasz, ale filmu przy herbacie z sokiem malinowym z nią w długi wieczór nie obejrzysz, spokojnie z nią nie zaśniesz, ona jest specjalistką od tych nieprzespanych nocy. Góry niepostrzępione, o liniach opływowych, gładkich, o zboczach może i stromawych, ale nigdy pionowych, gdzie wiatry wieją, ale dachów nie zdejmują i lasów nie kładą, gdzie przed burzą zawsze można zbiec w dolinę bez zagrożenia przepaścią, gdzie niedźwiedź normalny nie zachodzi, a i obłąkany misiołak raczej widywany jest od południowej strony – takie góry na czas wzmożonego przemijania, na babie lato życia, kiedy bardziej ukojenia wzrok szuka niż wyzwań, to Beskidy. Łagodzą obyczaje już na pierwszy rzut oka, widać, że je narysował demiurg w pogodnym nastroju, tak jak we wzburzeniu utworzył harde zerwy tatrzańskie. Zima potrafi tu dać do wiwatu, ale na lawinę załapać się na szczęście nie ma gdzie, chyba że ktoś wyjątkowo sprowokuje Królową Beskidów na północnej stromiźnie; jeśli człowiek szuka w górach bezpiecznych przygód, adrenaliną się nasyciwszy za młodu, to góry idealne.

Przez osiem lat (jak to brzmi nieuchronnie sejmowo – najpierw my, teraz oni każde złośliwe wystąpienie zaczynają od inwokacji „Przez osiem lat…”) życia w mieście sromotnej intensywności, lub też intensywnej sromoty, jak postrzegam Warszawę, widywałem śnieg parę razy do roku, po zimę jeżdżąc w góry – teraz zjeżdżam do miasta, jak mi się zima opatrzy. Tak jest lepiej, a nawet prawdziwiej, jak głosi mój sitodruk na T-shircie. No i dla ego nadwerężonego patrzeć z gór „na to wszystko”, mieć świat u stóp, choćby się niczego nie osiągnęło, to duży przywilej. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bf0249a9d2

Święto marionetek

„Maskarada” Tadeusza Makowskiego, czyli dzieci z dreszczykiem

Marta Motyl

W „Maskaradzie” Tadeusza Makowskiego mamy do czynienia z (para)magicznymi postaciami, marionetkami naśladującymi wyglądem dzieciarnię. Zostały przedstawione frontalnie i rozmieszczone w dwuszeregu niczym na fotografii klasowej. Jednak nawet jeżeli się uśmiechają, to budzą dreszczyk… Swoją obecnością czy swoją obcością? Walce i stożki torsów, kule twarzy sprawiają, że ci Pinokiowie wydają się wyciosani przez wyjątkowo niewprawnego Geppetta, który nie zaprzątał sobie głowy i rąk detalami. Walce, stożki, kule są nieprzypadkowe – przedstawianie natury za pomocą tych figur postulował już postimpresjonista Paul Cezanne.

Późniejsi awangardziści, a dokładniej kubiści, wzięli sobie jego radę do serca dosłownie. Baryłkowate figury marionetek Makowskiego przywodzą na myśl „tubizm” figur ludzkich autorstwa kubisty Fernanda Legera. Jest jednak między nimi zasadnicza różnica, ponieważ Leger sięgał ku estetyce fabryki, natomiast Makowski w zgoła odmiennym kierunku – ku estetyce folkloru. Wprawdzie z twórczości zwanej prymitywną (z naciskiem na maski afrykańskie) czerpała także część załogi Picassa, z którą twórca „Maskarady” miał okazję osobiście zetknąć się w Paryżu. Z tym że Makowski – zwartą a masywną, prostą a sugestywną formę zaczerpnął nie ze sztuki dalekich krain, lecz z polskiej rzeźby ludowej. I wobec tego uczynił swoje marionetki podobne świątkom struganym z drewna, również gdy chodzi o nieporadność postawy, mimiki i gestykulacji. Zasięg ruchu Makowskiej kukiełki wydaje się bowiem ograniczony dosyć prymitywnym mechanizmem (czyżby drewno, sprężyna, sznurek?). Spójrzmy choćby na dzierżącą latawiec rękę marionetki po lewej stronie, której ona nigdy nie będzie w stanie unieść wyżej.

Pinokiowie Makowskiego przywodzą także na myśl malowidła na szkle rodem z Podhala. Do tego skojarzenia prowadzą kontury, którymi artysta syntetycznie, lecz wyraziście obwodzi postaci. Ponadto taka naiwna stylizacja sylwetek wykazuje podobieństwo z rycinami sprzedawanymi na jarmarcznych straganach. Mamy zatem do czynienia z ludowością w całej rozciągłości. Makowski wiedział, co robi – już do młodzieńczych szkicowników przerysowywał folklorystyczne motywy dzieł powstałych pod dłonią wycinankarek czy snycerzy. Zresztą ledwie odrósł od ziemi, prezentował zdolności artystyczne, dotychczas w jego rodzinie nieobecne. Przyjrzyjmy się zatem twórczemu życiorysowi artysty, w którym, analogicznie jak w „Maskaradzie”, folklor i modernizm pozostają w bliskiej zażyłości.

Zwartą a masywną, prostą a sugestywną formę zaczerpnął artysta z polskiej rzeźby ludowej.

Urodził się w 1882 r. w Oświęcimiu jako potomek Stanisława, urzędnika kolejowego, oraz Petroneli. Jego talent ujawnił się, kiedy jako małe dziecię Tadzik uległ poparzeniu. Żeby jakoś zabić czas z przymusu spędzany w domu, malec zabrał się do rysowania. I nie mógł się od niego oderwać nawet po upływie chorobowego. Jako że chłopiec oprócz zdolności plastycznych wykazywał zdolności matematyczne, jego ojciec (ob)stawiał karierę potomka w tymże kierunku. Zatem, żeby oczko w głowie rodziców należycie się edukowało, Makowscy przenieśli się z Oświęcimia do pobliskiego Krakowa. Jednak tamże potencjalna matematyczna droga życiowa Tadeusza przepadła z kretesem. Otóż nauka w gimnazjum św. Anny popchnęła podrostka na humanistyczną ścieżkę jego zainteresowań. I chociaż Makowski senior nie poddawał się, Makowski junior zdecydował się na studia filozoficzne. A ponieważ w ich ramach uczęszczał na kurs filologii klasycznej i polskiej, w szacownych murach Uniwersytetu Jagiellońskiego zamieniał się w słuch na wykładach z literatury.

Tyle że świeżo upieczonemu żakowi najwyraźniej wciąż było mało, bo aplikował do Akademii Sztuk Pięknych. Kiedy przyjęto go w twórcze progi, nie zrezygnował z uniwersytetu, co tylko przysłużyło się jego erudycji.

Po artystycznej krakowskiej uczelni hulał wówczas młodopolski duch, właściwy zresztą Krakowowi jako takiemu. Unosił się również w pracowniach Józefa Mehoffera i Jana Stanisławskiego, w których terminował Makowski. Co nasz artysta jako terminator uzyskał od mistrzów? Mehoffer uzmysłowił mu rolę rysunku jako środka ekspresji (znowu kontur!). Od Stanisławskiego, piewcy plenerów, Makowski przejął wnikliwą obserwację natury, wraz z ciągotami do nadawania jej symbolicznych znaczeń, a także (para) impresjonistyczną wrażliwość na barwę i fakturę kompozycji. Przebłysków tejże wrażliwości doświadczamy i w „Maskaradzie”.

Oprócz rodzimych pejzaży sztuka Młodej Polski stała rodzimym

eprasa.pl bf0249a9d2

Tadeusz Makowski, „Maskarada", 1928 r.

folklorem. Makowski na nowo chłonął jego uroki, pozostając pod wpływem działalności Stanisława Wyspiańskiego, Jacka Malczewskiego, Włodzimierza Tetmajera czy Władysława Jarockiego. Zainspirowany ich twórczością jeszcze za czasów studenckich odmalowywał stroje ludowe czy rytuały i rozrywki podkrakowskich wsi.

Nie mniejszą rolę od doświadczeń wiejskich odegrały doświadczenia miejskie. Cenne lekcje, jeszcze przed studiami, Makowski pobierał bowiem w kawiarniach, w których bywała artystyczna bohema. Miał do niej ułatwiony dostęp, ponieważ jego ojciec, żeby utrzymać familię, otworzył własny lokal w centrum Krakowa, na rogu placu Dominikańskiego i Grodzkiej. (…)

Atmosfera miasta wpływała także na kolejną z pasji młodego Makowskiego – teatralną. Tadeusz zasiadał na widowni krakowskich teatrów, gdy Wyspiański wystawiał „Wesele". Zapewne przemówiła do niego wizyjność tego spektaklu – jakże by mogła nie przemówić? Młodzieniec zapragnął zajrzeć za kurtynę, dostać się za kulisy, zaangażował się więc w działalność kabaretu Zielony Balonik, istnego skupiska osobowości z kręgów malarskich, literackich, teatralnych i dziennikarskich. W Zielonym Baloniku odpowiadał między innymi za wykonywanie marionetek i ubieranie ich w kostiumy. Zatem w jego malarstwie nie wzięły się znikąd, ale z samego życia (twórczego) artysty, włącznie z jego skłonnością do przebieranek! Otóż na balu kostiumowym wydanym przez kabaret Makowski olśnił gości kostiumem trubadura. A olśnił tym bardziej, że postawił na minimum wykonania przy maksimum wyrazu. To znaczy wykorzystał w przebraniu swój codzienny uniform studenta, na który składały się peleryna i kapelusz z szerokim rondem. Poszerzył go tylko o własnoręcznie wykonaną kryzę z papieru i wypożyczoną mandolinę (w kryzy wyposażał także bohaterów swoich późniejszych obrazów, także „Maskarady"). (…)

Chociaż Makowski nazywał Kraków najpiękniejszym miastem na świecie, nie zrezygnował z wojaży. Dwukrotnie odwiedził Włochy (w tym Wenecję – czyżby, między innymi, odkrył tam siłę masek? i na krótko zawitał do Niemiec, do Monachium. Aż wreszcie w 1908 r. osiadł w ówczesnej mekce artystów, również polskich, czyli w Paryżu.

Jednakże buzujący tam kocioł twórczych nowinek nie wygrzał, a wyziębił duszę twórcy. W kolejnych modach made in Paris brakowało Makowskiemu jednego składnika, z jego punktu widzenia kluczowego – autentyzmu. Dlatego nasz wojażer rozsmakowywał się dopiero pośród klasycznych mistrzów malarstwa w Luwrze. Tamże zapatrzył się w światło bijące z obrazów Rembrandta. Energię tego blasku przeniósł później do własnego malarstwa, zwłaszcza do obrazów z marionetkami (…).

Makowskiemu udało się jednak doszlusować i do sztuki (naj)bardziej współczesnej. Za pośrednictwem Henriego Le Fauconniera, nowego przyjaciela, w którego pracowni był stałym gościem, przystał bowiem do paryskich kubistów. Wraz z nimi geometryzował pejzaże i postaci w zwartych kompozycjach o stonowanej palecie, stanowiących remedium na impresjonistyczne bezforemność i bezhołowie.

Cóż z tego, skoro na dłuższą metę kubistyczna stylistyka okazała się zbyt posępna, a ignorowania roli światła Makowski po prostu nie mógł znieść. Ponadto kierunek, który wytyczyli Pablo Picasso i Georges Braque, artysta uznał za zbyt odhumanizowany, tak w tematyce obrazów, jak i w pozbawianiu malarzy indywidualizmu na rzecz stylistyki kolektywnej. Tego nie mógł znieść jeszcze bardziej. Makowskiemu przeszkadzało, że kubizm zatracił swoje pierwotne przesłanie i dążył w kierunku geometrycznego ornamentu powielanego niczym spod sztancy. Dlatego po krótkim romansie z tym prądem, w latach 1911-1914, upchnął obrazy z tego okresu w najciemniejszym kącie swojego warsztatu. (…)

Paryskie twórcze eksperymenty przerwał wybuch I wojny światowej.

Pinokiowie Makowskiego przywodzą także na myśl malowidła na szkle rodem z Podhala.

FOT. MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

eprasa.pl bf0249a9d2

Mimo wysiłków włożonych w uzyskanie zgody na pobyt, Makowski, jako obywatel wrogiego CK imperium, musiał opuścić stolicę Francji. Pomocną dłoń wyciągnął wówczas do niego Władysław Ślewiński, ówczesny lokator bretońskiej prowincji. Udzielił wygnańcowi z Paryża schronienia u siebie. (…)

Co ciekawe, podczas wojny Makowski powrócił do pracy nad lalkami. Gdy w 1915 r. ponownie zawitał (na dobre i na złe) do Paryża, wzorem innych polskich twórców zatrudnił się w lalkarskiej pracowni artystycznej prowadzonej przez malarkę Stefanię Kreutler-Łazowską. Wspierająca artystów emigrantów w wojennej niedoli placówka słynęła z estetyki swoich wyrobów, w tym z dbałości o każdy szczegół i szczególik. Jej pierwszą klientką była Olga Boznańska, która zakupioną tamże lalkę kilkukrotnie wymalowała na swoich obrazach.

(…) Wszystkie bodźce wizualne, których doświadczał, Makowski poddawał następnie asymilacji i kreacji w warsztacie, podporządkowując je własnemu punktowi malarskiego widzenia. Nie stanowił pod tym względem wyjątku. Percepcję i pamięć w jedno na obrazie łączyli także inni twórcy działający we Francji – czy, szerzej, w Europie. Zjawisko było właściwe latom 20. XX w., w których eksperymenty charakteryzujące kolejne „izmy" i obłąkanie na punkcie formy wolnej od treści stopniowo traciły na żywotności. Wtedy do życia w sztuce została przywrócona stara, dobra figuracja, co zaowocowało nowym nurtem – nowym realizmem. (…)

W nowym realizmie liczył się nie kolektywizm, lecz indywidualizm, nie kosmopolityzm, lecz narodowość, nie technicyzacja, lecz humanizm, nie koncept, lecz warsztat – czyli wartości cenione przez Makowskiego. Decydując się na figurację, obrał sobie za modela dziecko, które zasiadło na tronie króla jego malarstwa, od 1918 r. począwszy. „Zawsze czar jakiś przebija z oczu dziecinnych", pisał artysta najwyraźniej nimi oczarowany. Zwłaszcza że dziecięce spojrzenie najlepiej wyrażało tak hołubioną przez niego szczerość.

(…) Wczuwanie się w naturę dziecka nie sprawiało artyście większego trudu, ponieważ była ona kompatybilna z jego własną wrażliwością i uczuciowością. Co ważne, malarz obdarzał dzieci szacunkiem i zainteresowaniem. Zapewne dzięki temu potrafił tworzyć silną więź ze swoimi małoletnimi modelami. (…) Należy zatem wymienić nazwisko autora „Maskarady" w jednym szeregu z młodopolakami, którzy również potrafili wejść w świat dziecka i oddać go w swojej sztuce – Wyspiańskim i Malczewskim, a także z Wojciechem Weissem, Witoldem Wojtkiewiczem czy Maurycym Gottliebem.

Od zawsze maska służyła Makowskiemu nie do zamaskowania, lecz do odkrywania prawdy o postaci.

Makowski umieszczał na obrazach malców albo wzorowane na nich marionetki zarówno w prozie sytuacji codziennych, związanych z życiem w wiejskiej izbie i na wiejskim podwórku, z pierzastą i sierściastą fauną włącznie, jak i w poezji sytuacji niecodziennych, czyli świątecznej i/lub teatralnej przebieranki.

W tej ostatniej biorą udział wyłącznie Pinokiowie, bowiem wraz z upływem lat Makowski przekształcał malowaną figurę. Wiotka kreska i pastelowe sentymenty trzeciej dekady XX w. („Święto" – 1922, „Kapela dziecięca" – 1922, „Dziewczynka w białym kapeluszu" – ok. 1923), zmieniają się w twardą krechę i mroczność maskarad w czwartej. Pinokiów wsadzał w ramy kompozycji coraz bardziej oszczędnych, a jednocześnie coraz bardziej ekspresyjnych, które mogły (i mogą) tak zaczarować, jak zatrwożyć.

Nic dziwnego, że kiedy „Maskarada" pojawiła się na poświęconej polskiemu malarstwu stronie Polish Masters of Art na Facebooku, w komentarzach przewijały się zarówno słowa uwielbienia dla dzieła, jak i nienawiści do niego, związanej ze strachem przed koszmarem z dzieciństwa *by* Makowski.

Co przerażało aż tak, że zostało w pamięci? Stawiam na maski! Paciorki ocząt, trójkąty nosów, zamknięte w linijkę bądź otwarte w „o" usta sprowadzają twarze marionetek z „Maskarady" (i z innych obrazów Makowskiego) nie tylko do portretów z dziecinnego zeszytu, lecz także do masek (nie bez przyczyny dawniej maska to maszkara). Zwłaszcza tych właściwych pierwotnym kultom pierwotnych społeczeństw, które wywołują dreszcze na kręgosłupie. (…)

Europejscy artyści przełomu XIX i XX w. szczególnie upodobali sobie motyw kostiumu i maski. Pojawiał się on i w twórczości dekadentów, i awangardzistów, w tym Picassa, Temat przebieranki upatrzyli sobie także niektórzy przedstawiciele Szkoły Paryskiej, do której należał Makowski. Tenże artysta kostium i maskę interpretował jednak „na ludowo". A ponadto przeniósł je do dziecięcego świata, na dziecięce bale, co świadczyło o jego innowacyjności w temacie. Jednak od zawsze (i na zawsze) maska służyła Makowskiemu nie do, nomen omen, zamaskowania, lecz do odkrywania prawdy o postaci, ponieważ za pomocą maski artysta wyostrzał jej charakterystykę. Dążył do ideału, którym było dla niego łączenie obserwacji tyczących się natury zewnętrznej z obserwacjami tyczącymi się natury wewnętrznej, w całej przynależnej jej różnorodności. To dlatego spojrzenia i gesty marionetek z „Maskarady" wskazują, że poza sprężynami kryje się w nich iście ludzka uczuciowość.

(…) Marionetka stanowi medium, poprzez które Makowski ujawnia swoją prawdę o człowieku. Jaka to prawda? Czyżby taka, że człowiek to zaledwie marionetka?

Fragmenty książki Marty Motyl *Sztuka świętowania. Od Ostatniej wieczerzy do Maskarady*, Lira, Warszawa 2023

eprasa.pl bf0249a9d2

KURTYNA W GÓRĘ

Tadeusz Słobodzianek, „Historia Jakuba", reżyseria Aldona Figura, Scena 61 Teatru Ateneum w Warszawie, premiera 13 stycznia 2024

W poszukiwaniu samego siebie

Łukasz Lewandowski sugestywnie ukazuje zmagania bohatera, katolickiego księdza, który dowiaduje się, że jest Żydem, z tą podwójną tożsamością, jego usiłowania scalenia ich nie tyle poza religiami i tradycjami, ile ponad nimi. Artystyczna czystość i spoistość spektaklu oraz idealne wyczucie formy sprawiają, że przesłanie dramatu Słobodzianka staje się czytelne.

Utopijne dążenie bohatera nie może się powieść, a zanim dojdzie do głosu, na plan pierwszy wychyną traumy polsko-żydowskiej przeszłości, eksplodując emocjonalnym kazaniem księdza Jakuba o niewykorzenionym polskim antysemityzmie. A jednak ten monodram krzepi. Jeśli nie zawierzysz ludziom, którzy wiedzą wszystko, masz szansę.

Tomasz Miłkowski

Korfanty za granty

Nie jest to pierwszy spektakl o Wojciechu Korfantym na deskach Teatru Śląskiego – ani pierwszy spektakl Roberta Talarczyka o tematyce śląskiej. Lokalnej tożsamości i jej ikonom warto oczywiście się przyglądać, pod warunkiem że ma się na ich temat coś interesującego do powiedzenia.

Tymczasem Talarczyk wraz z Arturem Pałygą serwują publiczności pozbawioną dramaturgii, prosto zrymowaną śpiewogrę pełną frazesów w rodzaju: życie jest dobre, słowa to broń, a historia to my. Właściwie trudno powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Przez półtorej godziny Korfanty (Dariusz Chojnacki) snuje się po zaświatach i wadzi z upozowanym na Ryśka Riedla Szatanem (Cezi Studniak), któremu zaprzedał duszę za władzę nad Śląskiem. Jest nawet scena, w której o tę duszę wokalny pojedynek z Diabłem toczy Pani Jezus – to niejedyny pseudofeministyczny wątek w spektaklu. Ostatecznie Korfanty przegrywa, bo chciał dobrze, ale na brudną politykę nawet metafizyczna ingerencja nie pomoże. Miała być buntownicza punk opera – na którą z okazji roku Korfantego hojnie zrzuciły się podmioty kulturalne całego Śląska – wyszła chałtura.

Michał Centkowski

Artur Pałyga, „Korfanty. Rebelia!", reżyseria Robert Talarczyk, Teatr Śląski w Katowicach, premiera 12 stycznia 2024

NA EKRANACH

La Chimera

reż. Alice Rohrwacher, prod. Włochy/Francja/Szwajcaria, już w kinach

„La Chimera" to poetycka historia, w której tęsknota za szczęściem i miłością miesza się ze złodziejskim procederem. Policja ściga okradającą starożytne groby bandę bez specjalnego entuzjazmu. Nie ma efektownych pogoni ani strzałów, jest natomiast nastrój włoskiej prowincji, sceny z pogranicza snu i jawy, trochę napięcia towarzyszącego poszukiwaniu skarbów oraz tajemnicze, symboliczne zakończenie. Film nominowano do Złotej Palmy w Cannes.

Bronisław Tumiłowicz

MIĘDZY OKŁADKAMI

Tess Gerritsen

Wybrzeże szpiegów

tłum. Janusz Ochab

Albatros, Warszawa 2024

Młoda komendantka policji w Purity ma problem. Przestępczość w takich miasteczkach na wybrzeżu jest raczej przewidywalna, a tu ktoś podrzucił pod dom hodującej kury 60-latki zwłoki z dwiema kulkami w czole i ze śladami tortur. Sama Maggie Bird też nie wydaje się typową właścicielką skromnej farmy na prowincji – to, że świetnie strzela, jeszcze zbytnio nie dziwi, ale po co jej wyszukany monitoring? I ci znajomi… Za bystrzy jak na emeryckie kółko czytelników kryminałów. Tess Gerritsen, autorka m.in. cyklu z policjantką Rizzoli i patolożką Isles, rozpoczyna nową serię, szpiegowską. Temat sam wszedł jej w ręce – wśród pacjentów jej męża w niewielkiej miejscowości właśnie w stanie Maine zaskakująco dużo było dawnych tajemniczych pracowników rządowych. Powitajmy zatem Klub Martini – to spora dawka akcji z goryczką straty i zdrady.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK, PRZEMYSŁAW JĘNDROSKA, AURORA FILMS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl bf0249a9d2

Coś więcej niż brak skupienia

Jeżeli ktoś ma depresję, lęki, zaburzenia odżywiania bądź snu, warto sprawdzić, czy nie ma także ADHD

Rozmawia Michał Sobczyk

DR HAB. JAROSŁAW JÓŹWIAK
– psychiatra, naukowiec, popularyzator wiedzy medycznej

Jak to jest być dorosłym cierpiącym na ADHD? Mam wrażenie, że nie tylko stereotypowe wyobrażenia na ten temat, ale i oficjalne medyczne definicje w niewielkim stopniu przybliżają nas do zrozumienia tego zaburzenia.

– To prawidłowa obserwacja, gdyż kryteria diagnostyczne zapisane w międzynarodowej klasyfikacji chorób i problemów zdrowotnych słabo odzwierciedlają aktualny stan wiedzy na temat zespołu nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi. W XX w. zapomniano bowiem o ustaleniach Melchiora Adama Weikarda, który w 1775 r. jako pierwszy opisał „brak skupienia". Ten niemiecki lekarz i filozof dowodził, że może on występować u osób w każdym wieku, tymczasem jeszcze niedawno uważano, że ADHD dotyka wyłącznie dzieci. W efekcie zarówno rozpoznawanie, jak i leczenie tego zespołu skoncentrowano na objawach będących źródłem problemów wychowawczych lub problemów w nauce w przypadku chłopców w wieku szkolnym. U dziewczynek z ADHD przeważnie dominują inne symptomy – takie uczennice są raczej rozkojarzone, wręcz nadmiernie spokojne niż „niegrzeczne". Dlatego nie zabierano ich do psychologa czy psychiatry, tylko uważano za mało inteligentne. Z kolei problemy dorosłych dotkniętych tym zaburzeniem na Zachodzie zgłębiane są tak naprawdę od 20-30 lat, a w Polsce nadal istnieją tylko w świadomości niewielkiej grupy lekarzy.

ADHD jest specyficznym sposobem funkcjonowania mózgu, dlatego wpływa na wszystkie sfery życia.

– Osoby ze wspomnianym zaburzeniem charakteryzują się czterema cechami. Pierwszą są skoki poziomu energii: raz mnie nosi, łapię się za pięć rzeczy jednocześnie, a kiedy indziej nie mogę wstać z łóżka. Co istotne, przejawia się to bardzo indywidualnie, tj. są ADHD-owcy, których częściej rozpiera energia, oraz tacy, którym częściej jej brakuje, ale jedni i drudzy przynajmniej czasem mają na odwrót.

Drugą cechą ADHD są skoki poziomu koncentracji. Gdy zajmuję się czymś, co jest dla mnie mało ekscytujące – w dzieciństwie często są to lektury, w dorosłości może to być np. pismo z urzędu czy umowa kredytu – co chwilę gubię wątek. Jednak gdy siadam do czegoś, co jest dla mnie interesujące, pochłania mnie to tak bardzo, że mogę przez 10 godzin bez przerwy być skupiony wyłącznie na tym i nawet nie słyszeć, że ktoś coś do mnie mówi.

Trzecia cecha to skoki szybkości działania. Gdy najdzie mnie ochota na opanowanie jakiejś umiejętności, od razu zapiszę się na kurs online i kupię pięć książek, bo będę czuł, że ta sprawa nie może czekać ani chwili. Natomiast zadania nieatrakcyjne, takie jak sprzątnięcie pokoju, napisanie pracy magisterskiej czy wypełnienie deklaracji podatkowej, będę zawsze odkładał na później.

Składowa numer cztery jest dość zaskakująca.

– Bywa nazywana emocjonalnością ADHD-ową, a polega na szczególnej wrażliwości na to, jak nas odbierają – lub myślimy, że odbierają – inni. Odznaczające się nią osoby biorą bardzo do siebie wszelkie uwagi na temat ich pracy czy wyglądu, a także mają tendencję do tzw. ksobnej interpretacji zachowań

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl bf0249a9d2

w swoim otoczeniu („szefowa powiedziała, że cały zespół powinien w styczniu bardzo pilnować wyników sprzedaży, ale na pewno chodziło jej o to, że jest niezadowolona z moich"). Cecha ta, przeważnie bardziej nasilona u kobiet niż u mężczyzn z ADHD, może się objawiać na różne sposoby, np. niechęcią do załatwiania spraw przez telefon. Wielu moich pacjentów woli pojechać np. do urzędu, gdyż wówczas mają poczucie, że bardziej kontrolują sytuację. Kontakt wzrokowy czy uśmiech ich uspokaja, a gdy jest niemożliwy, denerwują się, że druga osoba mogła skrzywić się na nich albo coś dziwnego sobie o nich pomyśleć. Ten rodzaj emocjonalności jest bardzo istotnym, a jednocześnie bardzo słabo poznanym elementem ADHD. Tymczasem 30% pacjentów ocenia, że to najważniejsza cecha ich zaburzenia, a 70% – że bardzo ważna cecha.

W tym miejscu jako nie tylko lekarz, ale i naukowiec muszę zrobić ważne zastrzeżenie: te cztery cechy, które wymieniłem, to mój własny opis ADHD. Ponieważ oficjalne kryteria nie przystają do rzeczywistości, a jednocześnie brakuje wyników badań przeprowadzonych na dużych grupach pacjentów, każdy specjalista od ADHD – są zresztą bardzo nieliczni – musi niestety radzić sobie sam i niejako budować własną teorię tego zaburzenia. Jest ono bardzo złożone, ale gdy się je zrozumie, jego diagnostyka wcale nie jest skomplikowana.

Pomocne okazują się w niej cechy, które nie są swoiste dla ADHD, ale często mu towarzyszą.

– Jeżeli ktoś ma depresję, lęki, zaburzenia odżywiania bądź snu, warto sprawdzić, czy nie ma także ADHD, bo nieleczone ADHD prowadzi do problemów ze zdrowiem psychicznym. Bardzo często głównym powodem rozpoczęcia leczenia ADHD jest właśnie dotkliwość jego wtórnych następstw. Z mojego doświadczenia wynika też, że nierozerwalnie związane z tym zaburzeniem jest wątpienie we wszystko i podważanie wszystkiego. Trudno wówczas ustabilizować swoje życie, ale jeśli umiemy wykorzystać tę cechę, może nam ona dać wiele korzyści. Artyści i dziennikarze to w większości ADHD-owcy, bo wewnętrzna potrzeba ciągłych poszukiwań i wieczne wrażenie, że coś można zrobić lepiej lub inaczej niż inni, jest podstawą kreatywności.

Sygnałem, że możemy mieć ADHD, jest również wypalenie. Jeżeli osoba z tym zaburzeniem wykonuje pracę, która w dużym stopniu polega na powtarzaniu określonych czynności czy kręceniu się wokół jednej tematyki, prędzej czy później przestanie móc ją wykonywać, bo jej mózg potrzebuje ciągłej stymulacji.

W Polsce każdy z niewielu specjalistów od ADHD osób dorosłych musi radzić sobie sam.

Wiele osób, u których ostatecznie rozpoznaje się ADHD, skarży się na problemy z pamięcią.

– Często przychodzi do mnie pacjent i mówi: „Doktorze, ja chyba mam początki choroby Alzheimera". A tak naprawdę notoryczne zapominanie i gubienie rzeczy może być efektem problemów z koncentracją. Jeżeli, wychodząc z domu, myślimy o wszystkim, co dzisiaj musimy zrobić, w połowie drogi do pracy nie będziemy w stanie sobie przypomnieć, czy zamknęliśmy mieszkanie.

Innym częstym problemem jest nieumiejętność zarządzania czasem. Kiedy osoba z ADHD ma o godz. 18 ważne spotkanie, może co chwilę odlatywać do niego myślami. Trudno wówczas rozplanować dzień i efektywnie realizować kolejne zadania. Poza spotkaniem o godz. 18 tego dnia nie ma już nic innego.

Nieoczywistych objawów ADHD jest znacznie więcej, mógłbym je wymieniać dwa dni.

Zanim przejdziemy do następnego pytania, chętnie poznam parę kolejnych przykładów.

– Z mojego doświadczenia wynika, że lwia część ADHD-owców cierpi na tzw. syndrom oszusta, czyli mają nieuzasadnione poczucie, że udają przed innymi kogoś, kim naprawdę nie są („Pacjenci mówią, że im pomogłem, ale mam takie braki w wiedzy, że nie powinienem być lekarzem, tylko wrócić na studia"). Ten syndrom w specyficzny sposób przejawia się w moim gabinecie. Mam na myśli sytuację, gdy po wywiadzie diagnostycznym przychodzi do mnie pacjent i mówi: „Doktorze, czy ja nieświadomie mogłem tak odpowiadać, żeby wyszło, że mam ADHD?". Przyzna pan, że to bardzo dziwne pytanie, ale w przypadku osób z ADHD pada ono bardzo często. Nie pamiętam natomiast, by coś podobnego powiedział pacjent depresyjny czy lękowy.

Dosyć typowa dla dorosłych z omawianym zaburzeniem jest także nieumiejętność odpoczywania wynikająca z odczuwania przymusu, by cały czas coś robić. Bardzo charakterystyczne jest długotrwałe silne napięcie mięśniowe. Niezdiagnozowani ADHD-owcy chodzą do masażystów i fizjoterapeutów i słyszą od nich: „Boże, tak napiętych mięśni to ja w życiu nie widziałem".

Słyszy się ostatnio opinie, że ADHD bywa zbyt pochopnie diagnozowane, np. ze względu na modę lub chęć ułatwienia sobie życia.

– Niestety, ten mit jest bardzo rozpowszechniony, również w środowisku lekarskim. Wszystkich, którzy w niego wierzą, chciałbym zapytać, jakie ich zdaniem korzyści daje diagnoza ADHD. Badania potwierdziły, że gdy ktoś, kto w rzeczywistości

Dr hab. n. med. Jarosław Jóźwiak – psychiatra i biolog molekularny. Diagnozuje i leczy pacjentów z ADHD, zaburzeniami lękowymi, depresyjnymi i osobowości; dyrektor ds. medycznych w Centrum Terapii ALMA, prowadzącym poradnie leczenia ADHD w Warszawie, Bydgoszczy i Wrocławiu. Współautor kilkudziesięciu prac naukowych z zakresu neurobiologii mózgu, opublikowanych m.in. w piśmie „Lancet". Autor kanału PsychiatraPlus na portalu YouTube, prezes Stowarzyszenia Bliżej ADHD.

eprasa.pl bf0249a9d2

nie ma tego zaburzenia, będzie przyjmował stymulanty wykorzystywane w jego leczeniu, pogorszą one, zamiast poprawić, jego funkcjonowanie. Być może będzie w stanie całą noc pisać artykuł, pracować na budowie czy robić cokolwiek innego, ale nie trzeba być lekarzem, żeby wiedzieć, że długo tak nie pociągnie. Leki, które nie są dla niego, szybko zaczną wyłącznie mu szkodzić.

Chybiony jest też argument, że zaburzenie, o którym rozmawiamy, stanowi wygodną wymówkę dla tych, którzy nie potrafią lub nie chcą odpowiednio wykonywać swoich obowiązków. Co bowiem zrobi szef, gdy usłyszy, że codziennie spóźniamy się do biura, bo mamy zdiagnozowane ADHD? Pokiwa ze zrozumieniem głową, a następnie zacznie szukać pracownika, który będzie w stanie zaczynać rano pracę punktualnie.

Osoby z ADHD mierzą się nie tylko z jego objawami oraz ich niezrozumieniem lub bagatelizowaniem przez otoczenie, ale też z długimi kolejkami do specjalistów, niechęcią lekarzy do wypisywania recept na stymulanty oraz brakiem refundacji tych leków. Czego najpilniej potrzeba tej grupie pacjentów, by ich życie stało się lżejsze?

– Odpowiedź na to pytanie jest według mnie prosta: zrozumienia tego zaburzenia przez społeczeństwo. Dopiero wówczas będzie można zacząć wprowadzać inne potrzebne zmiany, np. w systemie opieki zdrowotnej czy edukacji. Nie będą one miały większego sensu, dopóki nie wzrośnie poziom świadomości społecznej, gdyż będą wywoływały różne formy sprzeciwu.

Z ADHD nierozerwalnie związane jest wątpienie we wszystko i podważanie wszystkiego.

Wyobraźmy sobie, że resort edukacji zarządza, że od tej chwili należy inaczej traktować uczniów z ADHD i udzielać im szczególnego wsparcia. Niejeden nauczyciel oburzy się: jakie znowu ADHD, tym dzieciom po prostu nie chce się uczyć, rodzice powinni wziąć je w karby. Nie będzie w stanie uwierzyć, że po przyjściu do domu jego uczennica nie miała siły na naukę albo że jego uczeń siedział nad lekcjami 10 godzin i nadal nie opanował całego materiału. Odgórna decyzja ministerstwa nie będzie miała wówczas żadnego przełożenia na to, jak na co dzień będzie pracował z takimi dziećmi.

Coś chyba w Polsce się zmienia? Nie tylko coraz więcej osób publicznie mówi o swoim ADHD, ale też rośnie liczba lekarzy, którzy rozpoznają i próbują leczyć to zaburzenie.

– Niestety, nagminnie ograniczają się oni do przepisania leków, tymczasem wytyczne europejskie mówią, a badania potwierdzają, że takie leczenie nie ma szans być skuteczne ani u dziecka, ani u dorosłego. W przypadku ADHD stymulanty mają 80-90% skuteczności, ale tylko wówczas, gdy równolegle zachodzi długofalowa zmiana zachowań pacjenta. Dlatego farmakoterapii, która poza redukcją objawów ADHD często obniża nasilenie epizodów depresyjnych i stanów lękowych czy ryzyko uzależnień, podwyższone u osób z tym zaburzeniem, musi towarzyszyć terapia behawioralna, w prowadzonych przeze mnie ośrodkach nazywana psychoedukacją. W razie potrzeby można ją uzupełniać zmianą nawyków w dziedzinie snu i odżywiania, medytacją czy praktykami mindfulness. Pozostałe tzw. interwencje nie mają na tyle dobrze udowodnionej skuteczności, żeby je zalecać ogółowi pacjentów.

Swoich zwolenników ma neurofeedback, czyli swego rodzaju trening mózgu z wykorzystaniem elektroencefalografu.

– U części pacjentów poprawia on koncentrację uwagi czy kontrolę impulsów, ale u innych w ogóle nie daje takich efektów. Niektóre osoby z ADHD zgłaszają pozytywne skutki suplementacji kwasów omega-3 i omega-6, ale chyba nie ma choroby ani zaburzenia, w których by ona nie pomagała, bo po prostu jemy za mało ryb. Słyszę też czasem, że w przypadku danego pacjenta sprawdziła się określona dieta, ale nie ma badań populacyjnych, które uzasadniałyby stwierdzenie, że taki lub inny sposób odżywiania jest zalecany, gdyż pomaga zmniejszyć objawy ADHD.

Jedno jest pewne: jeżeli je u siebie zauważamy, warto się wybrać do specjalisty.

Michał Sobczyk
m.sobczyk@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bf0249a9d2

Największy urlop świata

Gigantyczny wycieczkowiec Ikona Mórz jest w dziewiczym rejsie. Co po nim zostanie?

Mateusz Mazzini

Do opisu można wykorzystać same liczby. 2 mld dol. wydane na budowę i wykończenie. 250 tys. ton wyporności. Nawet 7600 pasażerów, o 612 więcej, niż mógł pomieścić poprzedni rekordzista, Cud Mórz (co pokazuje, jak wąska jest pula nazw dla tego typu jednostek). 2350 członków załogi. 365 m długości, czyli ponad trzy pełnowymiarowe boiska do piłki nożnej, i 20 pokładów. 40 restauracji. 8 obszarów tematycznych, zwanych dzielnicami. 7 basenów, do których wpada 6 zjeżdżalni. Mnóstwo rozrywek, w tym lodowisko, co naprawdę trudno uzasadnić w przypadku okrętu, który zdecydowaną większość czasu pozostawać będzie w tropikalnych szerokościach geograficznych.

Można też podejść do tematu od strony konsekwencji pojawienia się Ikony Mórz na oceanicznych szlakach. Jak wylicza stacja Euronews, niskoemisyjne statki wycieczkowe nowej generacji emitują ok. 250 g dwutlenku węgla na pasażera na kilometr. Dla porównania – samolot pasażerski na krótkim dystansie utrzymuje tę wartość na poziomie 110 g. Nie chodzi tu o dokładne zestawienie jednego z drugim, bo wycieczkowce poruszają się raczej po długich trasach, ale liczby te dają wyobrażenie o szkodliwości takich statków. Samoloty w końcu nie zabierają na pokład kilku tysięcy osób. Operator Ikony Mórz, Royal Caribbean, włożył sporo wysiłku w zbudowanie jej wizerunku jako najmniej szkodliwej jednostki tego typu w historii, głównie dzięki napędzaniu jej ciekłym gazem, LNG. Firma mówi, że w ten sposób wypuści do atmosfery o jedną czwartą dwutlenku węgla mniej. Jednak dla aktywistów klimatycznych to nic innego jak *greenwashing*, chwalenie się pozornie ekologicznymi rozwiązaniami, które w rzeczywistości powodują jeszcze więcej zanieczyszczeń.

Cytowany przez brytyjski dziennik „The Guardian" Bryan Comer, dyrektor Międzynarodowej Rady ds. Czystego Transportu (ICCT), jest zdania, że z powodu zastosowania LNG emisja dwutlenku węgla, owszem, spadnie, ale gazów cieplarnianych statek w czasie każdej podróży wyprodukuje aż o 70-80% więcej w porównaniu ze scenariuszem, w którym użyto by zwykłego paliwa morskiego. Wszystko z powodu wyciekającego metanu.

W silnikach napędzanych LNG, tłumaczy Comer, nie zawsze spala się całe paliwo, które potem dostaje się do atmosfery. A że metan jest 80 razy bardziej szkodliwy od dwutlenku węgla pod kątem absorbowania ciepła i tym samym podnoszenia globalnych temperatur, trudno Ikonę Mórz uznać za statek ekologiczny.

Jak meteory

W dziewiczy tygodniowy rejs po Morzu Karaibskim Ikona Mórz wypłynęła 27 stycznia z Miami. Ceny biletów zaczynają się od 1,8 tys. dol. za osobę, choć tych najtańszych jest niewiele. Najdroższa jest oferta za Ultimate Family Townhouse, trzypoziomowy apartament, mogący pomieścić osiem osób – tu zapłacić

eprasa.pl bf0249a9d2

trzeba 100 tys. dol. za tygodniowy rejs. Organizatorzy przekonują, że warto, bo kupuje się praktycznie osobny dom na wodzie. 234 m kw. powierzchni, własna zjeżdżalnia, stół do ping-ponga, jacuzzi, dwa prywatne tarasy. Ale to już tylko marzenie, apartament jest zarezerwowany na wszystkie rejsy do końca 2024 r.

Pięć razy większy od Titanica statek może się poruszać z maksymalną prędkością 45 km/godz., aczkolwiek przez większość pierwszego rejsu ma na liczniku mniej więcej połowę tej wartości. Royal Caribbean podkreśla, że choć to absolutny gigant, na szczególnie niespokojnym morzu pasażerowie i tak będą czuć, że Ikona się kołysze.

Na tym można by właściwie zakończyć opowieść o największym wycieczkowcu w historii, redukując go do ciekawostki. Ale pojawienie się Ikony Mórz może być impulsem do znacznie poważniejszej dyskusji, dotyczącej sposobu spędzania wolnego czasu, podróżowania, odpoczywania oraz konsumpcji.

Wycieczkowce nie cieszą się dobrą prasą, i słusznie, bo to diabelskie wytwory ogromnie szkodliwego, skomercjalizowanego przemysłu, jakim jest globalna turystyka. I chodzi nie o same zanieczyszczenia, ale generalnie o wpływ na otoczenie, wszędzie tam, gdzie te statki się pojawiają. Są tak wielkie, że dewastują dno morskie i infrastrukturę portową. Wystarczy minimalne odchylenie od kursu i może dojść do tragedii, a w najlepszym razie do gigantycznych szkód. Tak zresztą stało się w czerwcu 2019 r., kiedy 13-pokładowy statek uderzył w nabrzeże w Wenecji, raniąc pięć osób. Jednak nawet jeśli nic podobnego się nie wydarzy, pojawienie się takiego giganta oznacza często wyrok dla miejscowości, do której przypływa. Choć zanim ten wyrok się zrealizuje, minie trochę czasu, a na początku jest całkiem słodko.

Regularne przybijanie wycieczkowców do takich miejsc jak Wenecja, Dubrownik, czarnogórskie Portonovi, greckie wyspy czy dziesiątki innych punktów zwłaszcza na śródziemnomorskiej mapie trwale przekształciło gospodarkę tych obszarów. To już miasta niemal w całości uzależnione od łatwego pieniądza pochodzącego od turystów. Wycieczkowce zawijają do portów najczęściej późnym porankiem, w okolicach godz. 10, po czym wypuszczają na ląd tysiące turystów jednocześnie. Adriatyckie miasteczka są dla takiego rodzaju turystyki idealne, bo da się je obejrzeć w całości w dzień, czasami krócej. Goście przypuszczają więc szturm na restauracje, bary, kawiarnie, sklepy z pamiątkami. Zamawiają portrety u ulicznych karykaturzystów, kupują magnesy, wyrzucają trochę śmieci z plecaków i odpływają. Zostawiają sporo pieniędzy, chociaż i to nie zawsze się sprawdza. Przede wszystkim jednak blokują pośrednio rozwój lokalnej gospodarki poza strefę usług. Bez turystów te miejsca upadłyby, a ponieważ w większości nie oferują tyle atrakcji, by gości zatrzymać np. na tygodniowy pobyt, są skazane na meteory w postaci statków wycieczkowych.

Zjeżdżalnia to za mało

Ile faktycznie nadmorskie kurorty zarabiają na gościach z wielkich jednostek, nie wiadomo. Pracujący dla armatorów eksperci mówią, że turysta schodzący na ląd dokłada średnio 100 dol. do lokalnej gospodarki. Nie ma jednak na to potwierdzenia. W 2013 r. policzono zyski z wycieczkowców w norweskim Bergen, popularnym porcie dla rejsów po północnych fiordach. Wyszło, że miasto zarabia nie 100 dol., ale 23 euro – kilka razy mniej. Ponadto aż 40% pasażerów w ogóle nie schodziło na ląd. Temu akurat nie ma co się

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl bf0249a9d2

dziwić, bo jeśli ma się do dyspozycji kino, spa, baseny, sale masażu i każdą inną możliwą rozrywkę, po co marznąć na norweskich ulicach czy przepychać się w tłumie na adriatyckim wybrzeżu?

Po to zresztą wycieczkowce wyposaża się w dziesiątki dodatkowych elementów rozrywkowych. Większość jest dodatkowo płatna i za ich pośrednictwem odbywa się walka o pieniądze pasażerów. Jeśli nie wykupili sobie pakietu atrakcji wraz z biletem, nic straconego, mogą dopłacić na miejscu. Z punktu widzenia Royal Caribbean czy innych firm operujących tymi statkami lepiej, by zostawili swoje euro i dolary na pokładzie, nikt więc nie będzie ich zachęcał do zwiedzania lądu.

W ujęciu globalnym to potężny biznes, dający co roku 18,6 mld dol. przychodu. Rośnie w szybkim tempie, kilkanaście procent rocznie. Ale liderzy sektora doskonale zdają sobie sprawę, że to dość specyficzna, czasami męcząca forma wypoczynku. Nie każdy potrafi się zrelaksować na środku oceanu, przez kilka czy kilkanaście dni skazany na towarzystwo tych samych ludzi, bez możliwości dłuższej ucieczki czy chociażby skrócenia pobytu. Dlatego, podobnie jak cała branża turystyczna, operatorzy wycieczkowców starają się spersonalizować doświadczenia swoich gości. Jak? Tak samo jak wszyscy, za pomocą zbieranych na potęgę danych.

Przeszłością są bowiem statki, na których w momencie wejścia trzeba zapomnieć na tydzień lub dwa o internecie. Dostępny jest dzięki łączności satelitarnej, ale też za opłatą. A przede wszystkim za zgodą, że przewoźnik będzie sobie ze śladu cyfrowego pasażerów do woli korzystał. W ten sposób firmy dowiadują się, co pasażerowie wyszukują, a to z kolei przekłada się na wiedzę, czego na pokładzie brakuje im najbardziej. Według raportu opublikowanego na branżowym portalu PhocusWire aż 80% operatorów statków wycieczkowych korzysta z danych w celu personalizacji atrakcji i pakietów wypoczynkowych, a transakcje wygenerowane dzięki cyfrowej wiedzy o preferencjach turystów urosły w 2023 r. o jedną trzecią w ujęciu rocznym. Aż 56% pasażerów, którym firmy przygotowały pobyt skrojony pod ich potrzeby, zdecydowało się na wykupienie kolejnej wycieczki, co też jest wzrostem, o 7% rok do roku.

Sektor nie odbił się jeszcze w całości po czasach pandemicznych. Przed covidem z wycieczkowców korzystało ok. 30 mln pasażerów rocznie. Teraz ta liczba waha się – według różnych danych – od 20 do 22 mln, przy czym tendencja jest wyraźnie wzrostowa. Skoro zatem tak wielu ludzi ciągle decyduje się na rejs jako formę wypoczynku, musi być w tym coś szczególnego. Bo trudno uwierzyć, że dla turystów magnesem są zjeżdżalnie i lodowiska. Co więc jest w wycieczkowcach takiego fajnego?

Ucieczka na morze

Perspektywę entuzjasty przedstawił niedawno na łamach magazynu „Monocle" David Seminara, amerykański dziennikarz i eseista współpracujący m.in. z „New York Timesem". Dla niego najważniejsza jest atmosfera na pokładzie, ale chodzi mu nie o współpasażerów, lecz o załogę. „Bardziej międzynarodowe towarzystwo spotkać można chyba tylko na posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego ONZ", pisze Seminara. I wymienia kolejne korzyści z wybrania takiej formy wypoczynku.

Po pierwsze, wygoda w podróży, nieporównywalna wręcz z lataniem, bo w samolotach „siedzenia są ciasne, a jedzenie beznadziejne". Po drugie, punktualność. Wycieczkowce nie są właściwie ograniczone żadnymi normami ruchu, dziennikarz zatem może się pochwalić, że nigdy „nie był na pokładzie statku wycieczkowego, który nie rozpocząłby i zakończył podróży o czasie". Do tego dochodzi poetycko wręcz opisana wysoka jakość usług, możliwość nawiązania relacji z członkami załogi oraz „nienachalny" sposób zwiedzania miejsc, w których do tej pory się nie było. Wynika on właśnie z możliwości wyboru. Nie zawsze przecież trzeba schodzić na ląd, a poznawanie miast w trybie jednodniowym nie jest ani bardzo kosztowne, ani obciążające dla umysłu kogoś, kto chce po prostu się relaksować. I rzeczywiście Seminara ma rację, mówiąc, że załogi wycieczkowców są często niesłychanie zróżnicowane pod względem narodowości, bo wielu pracowników znajduje na pokładzie ucieczkę od wszystkiego, co na lądzie było nieznośne.

Ikonę Mórz trudno zakwalifikować jako statek zbudowany w celach relaksacyjnych, to bardziej pływająca dyskoteka (z racji kształtu ochrzczono ją w mediach społecznościowych „ludzkie lasagne"). Niemniej jednak dane z sektora i teksty takie jak esej Seminary pokazują, że pogłoski o śmierci wycieczkowców, ochoczo szerzone przez obrońców środowiska i aktywistów organizacji ekologicznych, są zdecydowanie przedwczesne. Co więcej, branża będzie się rozwijać. Tylko do 2030 r. Royal Caribbean chce zwodować trzy kolejne statki tej samej klasy co Ikona Mórz. To niemała operacja, bo oprócz kosztów spore znaczenie ma tu czas. Ikona budowana była przez 10 lat. I choć technologia idzie do przodu, te widełki mogą się zmniejszyć tylko nieznacznie. Popyt jest więc całkiem spory i nic nie wskazuje, żeby miał zmaleć.

Zwłaszcza że nawet miasta, które wprowadzają regulacje ograniczające wpływanie do portu wycieczkowców lub wprost tego zakazujące, nie są potem w stanie tych zasad egzekwować. To przypadek Wenecji, która takie przepisy wprowadziła jeszcze w 2021 r. A wycieczkowce wciąż tam są. Możliwe, że mniejsze niż kiedyś, bo ustanowiono maksymalne limity wyporności, ale desanty tysięcy turystów (w przypadku Wenecji to 73% wszystkich odwiedzających, lecz odpowiedzialnych za raptem 18% przychodów tamtejszego sektora turystycznego) wcale się nie skończyły. Głównie dlatego, że władze Wenecji nadal nie zbudowały odpowiedniego terminala portowego dla dużych statków poza granicami miasta.

Innymi słowy, chodzi nie o to, żeby wycieczkowce w ogóle wyeliminować z pejzażu, ale żeby je schować. Turyści będą schodzić na ląd gdzieś indziej. A fakt, że nic to nie zmieni, ani dla miast, ani dla środowiska, jest dla branży mało istotny.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl bf0249a9d2

JOLKA

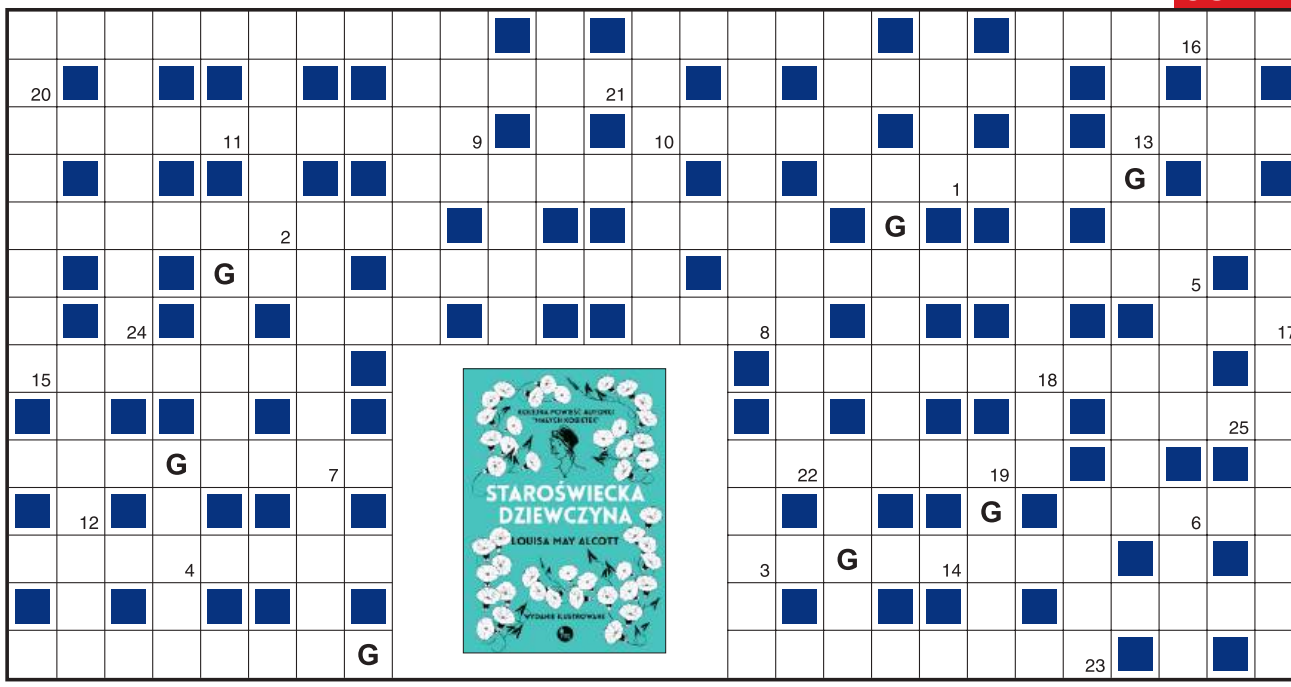

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery G ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- detektywistyczna Pinkertona
- szał lub zapamiętanie się
- góry, gdzie żyje kondor wielki
- uskrzydlony Michał lub Gabriel
- łuki krużganka
- „…paniki”, komedia Pawła Maślony
- obrobiony pień, kloc
- za dziewczynami albo na posyłki
- dać go – dać znać, ostrzec
- gamma, delta...
- przybudówka przed wejściem
- nieczysta albo pozorów
- oznacza oś rzędnych
- odcięła głowę Holofernesowi
- wigilijna ryba
- owocowo-mleczny napój z blendera
- garncarskie lub fortuny
- i typ nadwozia, i polski zespół
- misa do deserów
- głośny płacz, skarga, zawodzenie
- oblegany latem punkt gastronomiczny
- imię Chagalla lub Allégreta
- bułka z nim to łatwizna
- na łóżku albo w sali gimnastycznej
- płaksa
- świetlny – broń z „Gwiezdnych wojen”
- ukochana Rodolfa w „Cyganerii”
- kukurydziany meksykański chips
- efekt pracy fuszera
- strzelać w nie Panu Bogu – niecelnie
- rozeznanie w sytuacji, odnajdowanie kierunku
- stolica Kanady
- środek, substancja lub zakonserwowany organizm
- wojskowa torba na dokumenty
- odrodzenie, ponowny rozkwit
- świętomarciński wypiek
- do obsadzenia i odegrania
- ruch na nim po okręgu wokół wysepki
- łoskot, gruchot, zamieszanie
- …Spade grany przez Bogarta
- skrzynia z mumią
- silny strumień światła
- wręczana figurka, np. Oscara
- zapinany na guziczki ubiór duchownego
- karczmarz, oberżysta
- pan Kleks trzymał w niej piegi
- do obserwacji ciał niebieskich
- brytyjski pies pierwotnie myśliwski
- samochód od Elona Muska
- dramat Gerharta Hauptmanna
- smar do maszyn
- rządy satrapy
- państwo nad Jeziorem Wiktorii
- o sytuacji bez wyjścia – ślepa…
- wagon z urobkiem ze Śląska
- konny, psi lub św. Mikołaja
- wołowy po nelsońsku
- członek dziecięcej drużyny harcerskiej

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1155”. Do rozlosowania książki „Staroświecka dziewczyna” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 11 lutego 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1152” z nr. 3: *Niedosyt wynika czasem z przesytu.* Nagrody otrzymują: Danuta Kawińska z Łodzierzy, Beata Kordon z Tychów, Zdzisław Otmianowski ze Świnoujścia.

eprasa.pl bf0249a9d2

Po drugiej stronie Traktu

Tydzień temu wspominaliśmy o siedmiu wiceministrach, których w MSZ zainstalował Radosław Sikorski (jeszcze raz: nie gratulujemy rekordu), więc teraz przespacerujmy się dalej Traktem Królewskim, za Aleje Jerozolimskie, i zerknijmy do Kancelarii Prezydenta.

To zresztą swoisty fenomen, gdyż Kancelaria Prezydenta od jakiegoś czasu stała się poczekalnią, z której wyfruwa się na placówki. Krzysztof Szczerski, Paweł Soloch, Jakub Kumoch to nazwiska najbardziej znane, ale w puli prezydenckich ambasadorów są także urzędnicy innego kalibru. I teraz pytanie: czy prezydent Duda nad tym ruchem panuje? Kto kogo wykorzystuje w tej grze? Czy on ich, czy oni jego?

Bo że jakaś gra wciąż się toczy, to wiemy. Że w trójkącie Duża Kancelaria-Mała Kancelaria-MSZ trwa nieustający targ o ambasadorów, też wiemy. I to jest silniejsze od wszystkiego. Szefowie MSZ z pisowskiego nadania, np. Witold Waszczykowski, skarżyli się głośno, że ich kandydaci na ambasadorów miesiącami czekają na prezydencką nominację. A niby jedna ekipa…

Jak będzie teraz? Gdy mamy konflikt na górze? Zapowiada się ciekawie.

W Kancelarii Prezydenta również mieliśmy roszadę – Marcin Przydacz wybrał Sejm. Za to z MSZ ewakuowało się do niej dwóch urzędników: dotychczasowy wiceminister Wojciech Gerwel i szef departamentu Ameryki Stanisław Peltz, zwany Staszkiem (pisaliśmy o nim swego czasu).

Peltz objął stanowisko wicedyrektora Biura Polityki Międzynarodowej. To mu wystarczy, by mieć oko na MSZ. Szefem biura jest Marcin Łapczyński, który z MSZ ma luźny związek. Łapczyński był urzędnikiem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, tam w Departamencie Współpracy z Zagranicą zaczynał karierę. W latach 2015-2019 był też dyrektorem Instytutu Polskiego w Wilnie (i jednocześnie radcą ambasady RP). To jest jego dorobek, jak zatem widać, sprawy wewnętrzne MSZ to nie jego dziedzina.

Ale jest jeszcze Gerwel, absolwent uczelni kanadyjskich, pracownik amerykańskich think tanków, później przez 15 lat dyplomata, a potem ambasador, w Wietnamie. Gerwel w Kancelarii Prezydenta objął stanowisko prezydenckiego doradcy. Etatowego, a nie społecznego. Wiadomo więc, że będzie do specjalnych poruczeń i spraw personalnych.

To dla Sikorskiego wiadomość zarazem dobra i zła. Dobra – bo będzie miał po drugiej stronie partnera wykształconego w kulturze anglosaskiej, gdzie deal jest rzeczą dobrą. Czyli takiego, który będzie lubił się dogadywać. Zła – gdyż Gerwel będzie partnerem wymagającym. Byle kogo na ambasadora nie będzie można mu proponować. A gdy minister będzie chciał kogoś odwołać – też trzeba to będzie dobrze uzasadnić.

Próba sił między Kancelarią Prezydenta a MSZ jest nieuchronna, jakąś grupę ambasadorów minister będzie musiał ściągnąć do kraju. Pytania nasuwają się same. Którą grupę? Za jaką cenę? Jak w tej grze będzie działał Gerwel? I na kogo będzie musiał zwracać większą uwagę – na Dudę czy na Mastalerka?

Attaché

Nowo narodzona żyrafa z mamą i starszym rodzeństwem. Rezerwat Masai Mara w Kenii.

FOT. SOLENT NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl bf0249a9d2

PENETRACJE

Press

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Jak zapowiadał Marek Czyż: wpuszczajmy w rury, którymi płynęła breja propagandy, czystą, ożywczą wodę. Ale róbmy to bez kunktatorstwa – czysta woda jest dobrem powszechnym i należy się wszystkim. Nawet wrogom demokracji. Może ich choć trochę odtruje. Jak często przypomina ks. Adam Boniecki: „Dziennikarz nigdy nie klaszcze, dziennikarz nigdy nie płacze, dziennikarz nigdy się nie obraża". Boję się, że my długo jeszcze będziemy klaskać rządzącym i płakać ze wzruszenia, gdy do nas łaskawie przemówią. Jeśli w ostatnich latach drwiliśmy z dziennikarzy sprzyjających władzy, to dziś nie stańmy się ich karykaturą.

Monde diplomatique

AGNIESZKA PAJĄCZKOWSKA,
KULTUROZNAWCZYNI

To zdjęcie zostało wraz z innymi nadesłane w 1983 r. na konkurs „Fotografia chłopów polskich" organizowany wspólnie przez redakcje magazynów „Fotografia" i „Nowa Wieś". Maria Bijak i Aleksandra Garlicka, redaktorki z zespołów obu czasopism, uznały, że chłopskie zdjęcia (te domowe, prywatne, pamiątkowe) są ważne dla kultury, warte zebrania i pokazania. Ruszyła lawina. Odzew przerósł oczekiwania, zmieniając konkurs w wieloletnie, monumentalne przedsięwzięcie, zwieńczone wystawą w warszawskiej Zachęcie. Przesyłki płynęły ze wszystkich stron kraju, z terenu wszystkich dawnych zaborów, czasami były to pojedyncze fotografie, czasami całe kolekcje rodzinnych zdjęć, ale zawsze oryginalne odbitki. Łącznie nadesłano ponad 6 tys. fotografii wykonanych przed 1948 r.

na szczycie

DOROTA SZPARAGA,
ZDOBYWCZYNI DŁUGODYSTANSOWYCH SZLAKÓW

Nie ma ani krzty przesady w tym, że podróże kształcą. One otwierają umysł. To podróże sprawiły, że zdecydowałam się na zmiany, o których myślałam od wielu lat, ale nie miałam tyle odwagi. Rok temu przeprowadziłam się w góry, a mogłam to zrobić praktycznie już w 2020 r., po przejściu Głównego Szlaku Beskidzkiego (GSB). Pracę powinnam rzucić po zrobieniu Alp, rzuciłam dwa lata później. Każda z podróży sprawia, że myślę o jakiejś istotnej zmianie w swoim życiu. A lawina zdarzeń zaczęła się tak naprawdę od GSB. Poprosiłam o urlop bezpłatny, wcześniej bym się nie odważyła… Teraz zaczynam realizować wszystkie swoje pomysły, które odkładałam od 15 lat. W końcu mam na to przestrzeń.

Twój STYL

DOROTA SUMIŃSKA,
LEKARKA WETERYNARII

Piszę codziennie, choćby zdanie czy dwa. To mój wieloletni rytuał. Jeśli nie napiszę czegoś do artykułu lub książki, nad którymi pracuję (a piszę coś cały czas), uważam, że nie spełniłam swojego dziennego obowiązku. Dawniej codzienne notatki robiłam na kartkach, lecz wciąż mi ginęły. Dziś wszystko zapisuję w komputerze – nie ginie nic. Technologie mają swoje zalety.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), AMEM, KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA

eprasa.pl bf0249a9d2

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.

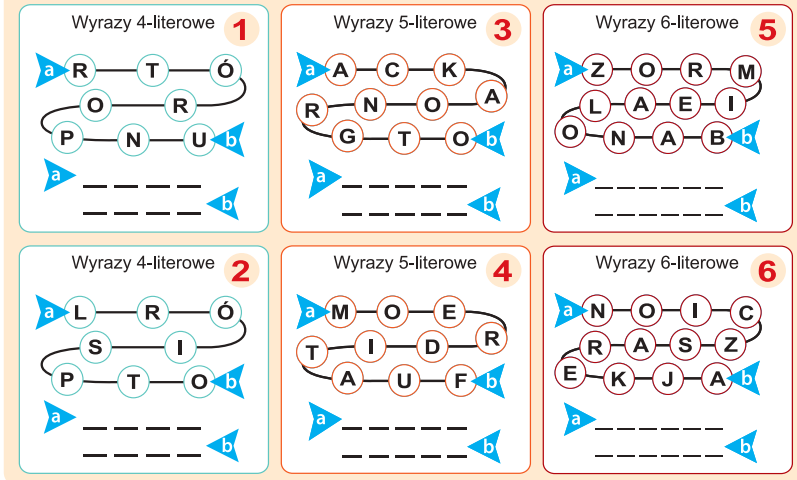

ROZWIĄZANIA: TRON, UPÓR, LIST, OPÓR, KONTO, GRACA, MEDIA, FUTRO, ZMIANA, BOLERO, CZARKA, JESION

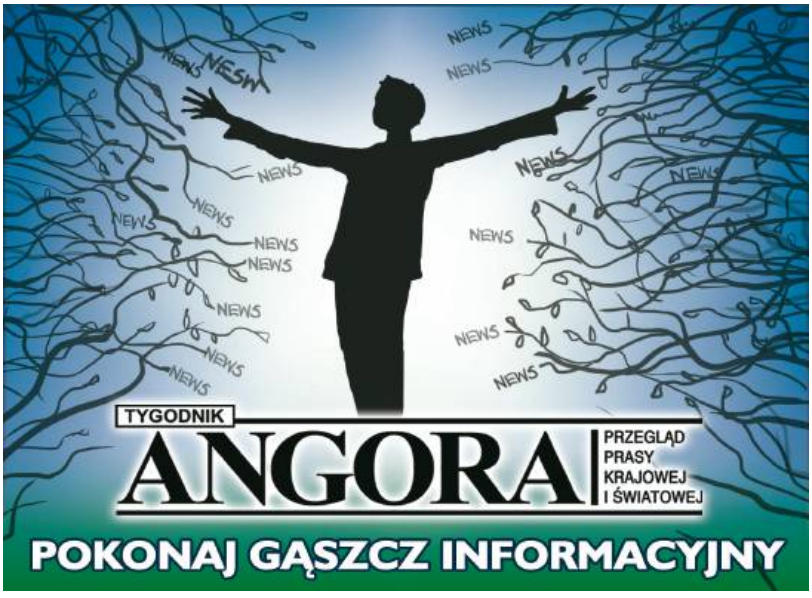

Aby język giętki…

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO
O POLSKIM FATUM

Kłótliwość. Nieumiejętność dialogu. Brak zdolności wsłuchiwania się w cudze racje. Wsłuchiwania się, a nie ulegania.

PROF. FRYDERYK ZOLL
O RELACJI KOŚCIOŁA Z PiS

Partia stała się świecką ręką Kościoła. A Kościół religijną ręką PiS.

HENRYK MARTENKA
O MICIE LECHA KACZYŃSKIEGO

Legenda Lecha Kaczyńskiego jako wyjątkowego męża stanu żyje tylko w najwęższym kręgu.

JULIUSZ BRAUN O TVP

Dziwnie została przygotowana ta zmiana.

MAGDALENA SROKA
O KOMISJI DS. PEGASUSA

Kamiński i Wąsik to ludzie, którym ogromną przyjemność sprawiało to, że mogą bezkarnie wykorzystywać służby. Ręcznie sterowali niedozwolonymi działaniami.

GRAŻYNA WOLSZCZAK O PLANACH

Moje myśli zajmuje głównie czas przyszły. Ważne jest to, co przed nami, a nie to, co już z tyłu.

SONIA BOHOSIEWICZ O UDAWANIU

Sama tego nie robię, u innych natychmiast wyczuwam i dekonspiruję.

BORYS SZYC O MUZYCE GÓRALSKIEJ

Jak ją słyszę, to coś to robi we mnie, w sercu mi zaczyna wibrować w środku i totalnie się wzruszam.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl bf0249a9d2

Kinga Flasza Najlepiej widzę, kiedy zamknę oczy

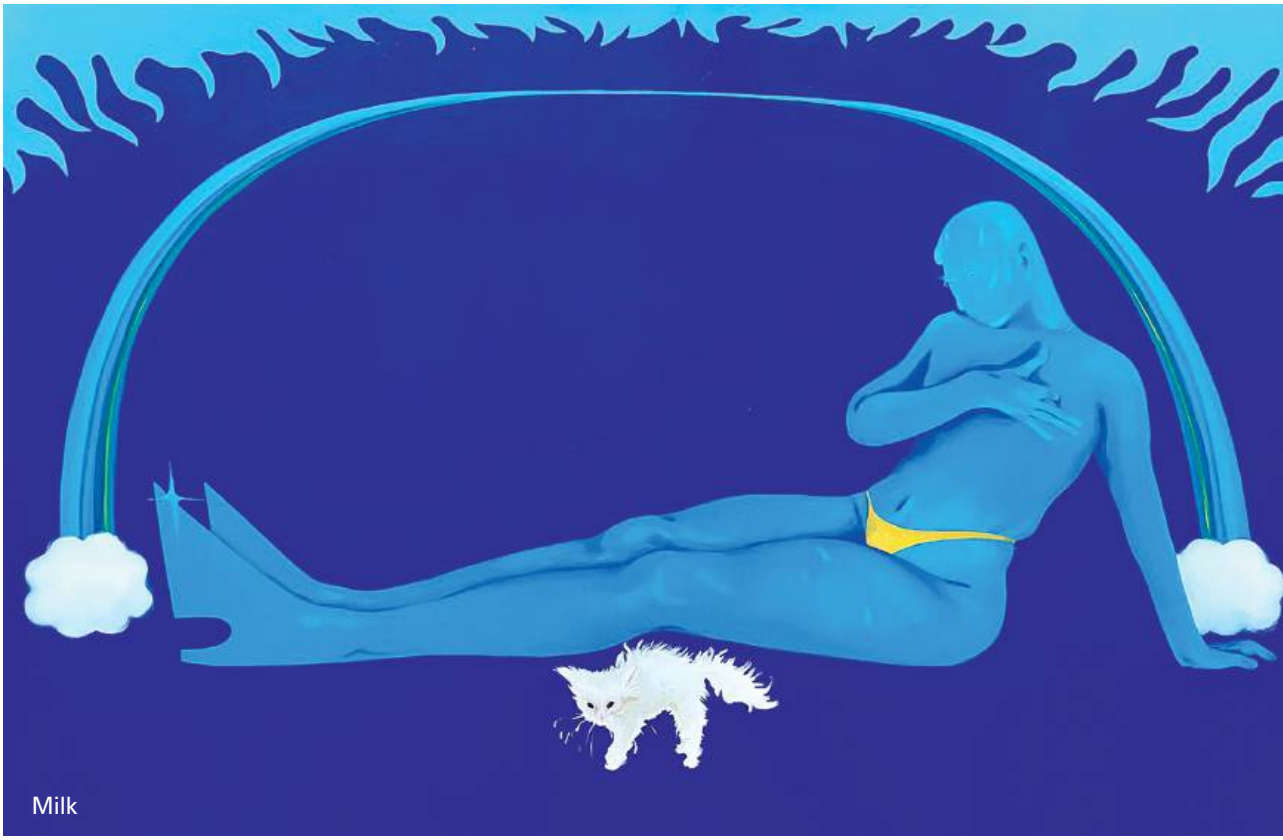
Milk

Kinga Flasza, rocznik 1999, to absolwentka Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu. Laureatka grand prix ubiegłorocznej edycji konkursu Postawy, w 2023 r. także finalistka Nagrody Eibischa i Ogólnopolskiego Przeglądu Malarstwa Młodych PROMOCJE. Jej twórczość to przestrzeń improwizacji, źródło radości wynikającej z ciągu luźnych skojarzeń, mieszanka obrazów z internetu, instagramowych kotków i piesków, filmowych scen z pogranicza BDSM i codziennych bodźców wzrokowych podszytych lękami, fascynacjami i humorem. Prezentowane na wystawie obrazy i hafty można potraktować jako ilustracje do abstrakcyjnych opowiadań, których treść leży po naszej stronie.

mia ART GALLERY
Wrocław, plac Solny 11
do 10 lutego

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

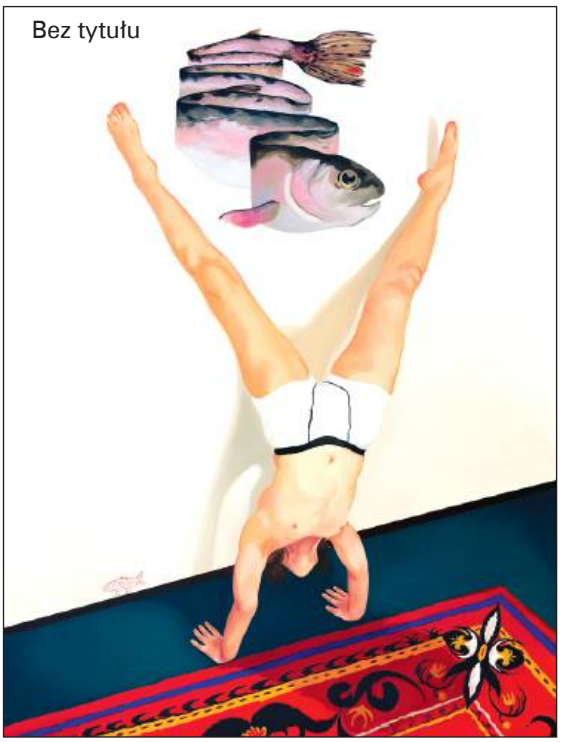
Bez tytułu

Lilo

eprasa.pl bf0249a9d2

FESTIVAL DE CANNES
NAGRODA JURY

EUROPEJSKIE NAGRODY FILMOWE
5 NOMINACJI

MFF SAN SEBASTIAN
NAGRODA FIPRESCI

FILMFEST MÜNCHEN
NAGRODA PUBLICZNOŚCI

MFF CHICAGO
SILVER HUGO

ZŁOTE GLOBY
2 NOMINACJE

OSCARS©
NAJLEPSZY FILM MIĘDZYNARODOWY
SHORTLISTA

NAPEŁNIA DOBRYM SAMOPOCZUCIEM
The Guardian

TO PO PROSTU PIĘKNE KINO!
GAZETA.PL

TEN FILM BŁYSZCZY JAK KLEJNOT
The Hollywood Reporter

OPADAJĄCE LIŚCIE

REŻYSERIA
AKI KAURISMÄKI

W KINACH OD 9 LUTEGO

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

eprasa.pl bf0249a9d2

TEATR CAPITOL

NAJLEPSZE KOMEDIE • PIKANTNE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY

Zakochaj się w Teatrze

#WALENTYNKI

12 - 17 lutego 2024

Świętuj Walentynki razem z nami!

• KUP BILET • www.teatrcapitol.pl •

Patroni Medialni

RMF MAXXX, onet, Rzeczpospolita, Tele Tydzień, Kobiety, ams, Familie.pl, Przegląd

Partnerzy Teatru

kicket, O bag, mokosh, Aktywna Warszawa, Trefa Music, mzo

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl bf0249a9d2